

ARCHIWUM TUSZOWE

Tadeusz Poziński

FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI

Białystok. 1990

I POWROT

W piękny, mroźny i słoneczny dzień w końcu stycznia 1945 roku szliśmy z Ojcem ze Zrobek do Bargłowa. Śnieg skrzypiał pod stopami. Szliśmy w milczeniu. Nie wiem o czym myślał Ojciec, mnie myśli kłębiły się w mojej chłopięcej głowie. Na przestrzeni tych kilku kilometrów jak w kalejdoskopie przypominały mi się wydarzenia ostatnich dni, miesięcy i lat.

Bargłów, to najcudowniejsze, jak mi się wówczas zdawało, miejsce na świecie. Tam przed wojną w latach 1935 - 1939 przeżyłem najlepsze w dotychczasowym moim życiu chwile. Ciężka praca Ojca we młynie i Mamy prowadzącej gospodarstwo domowe, wspierającej wysiłki ojca, stabilizacja materialna i poczucie jakiegoś dobrobytu, które mi się szczególnie kojarzy - to z miesiąca na miesiąc rosnącym wkładem na mojej książeczce PKO.

Bo to przecież Tadzik będzie się już w niedalekiej przyszłości kształcił i trzeba na ten cel zrobić zapas gotówki - mawiała Mama i co miesiąc niosłem na pocztę i wpłacałem na książeczkę PKO 5 złotych. Zawsze z wielką niecierpliwością czekałem przede mną wakacje, bo to wtedy przyjeżdżała Ciocia Lodzia Brymowa ze swoją córką Haliną, Heronim najmłodszy brat Ojca najpierw ze szkoły w Suwałkach, następnie z Warszawy, a potem z Lidy, gdzie służył w 5 pułku lotniczym jako mechanik. Często też przyjeżdżał z Grajewa Stefan Klesicki mój cioteczny brat, syn rodzzonego brata Mamy.

Z wielką niecierpliwością czekałem na doroczne święta, szczególnie Boże Narodzenie. Wtedy nie było tylu gości jak w wakacje. Właściwie, poza domownikami to znaczy Rodzicami, Babką po nieczu i Mamą, przyjeżdżał tylko Heronim. Ale to były cudowne i wzruszające chwile. Trzask łamanego opłatka, różnorodne

Większa całość to sześćdziesiąt lat mojego życia - 1930-1990. Fragment to dziesięciolecie 1945-1955. Dziesięciolecie, w którym dorastałem, chodziłem do szkoły, zdobywałem zawód, sposobiłem się do dorosłego życia. Dziesięciolecie to jest także bardzo trudnym, wręcz tragicznym okresem w dziejach mojej Ojczyzny. Radość z zakończenia wojny, entuzjazm odbudowy zniszczonego Kraju, powroty najbliższych, ale także Stalin, Bierut i Mikołajczyk, NKWD, UB i AK, ZHP i ZMP, ksiądz prefekt i dyrektor szkoły, przyjaciel i prowokator. Śmiem twierdzić, że okres ten wywarł niemały wpływ na ukształtowanie mojej osobowości. Uważałem więc za stosowne temu właśnie okresowi mojego życia poświęcić może nieudolnie napisane rozdziały moich wspomnień. Mam nadzieję, że przeczytają je moi najbliżsi, szczególnie ci, dla których te lata są i będą historią.

potrawy wigilijne, wśród których tradycyjnie w naszej rodzinie, od pokolei naczelną rolę zajmowała kapusta z grzybami z grochem gotowanym na sucho. No i Święty Mikołaj. Jakież to było przeżycie dla mnie, kiedy w czasie ostatniej przed wojną wigilii w 1938 roku Święty Mikołaj "wypuścił spod choinki strzelający z karabina maszynowego wojskowy samolot myśliwski".

Ile to było radości !

Ten samolot zacząłem oczywiście z Peconimem i jego lotniczą profesją. Miałem nadzieję, że znajdę go w skrzyni, gdzie był zakopany wraz z innymi cennymi rzeczami.

Białystok, ta wspomnianą, jak mi się wtedy wydawało, jedyną miejscowość na świecie, do której tak mocno tęskniłem w ostatnich, bogatych w wydarzenia miesiącach. Tutaj przeżyłem także okrutne lata okupacji, najpierw sowieckiej, jak się to wtedy mówiło, w latach 1939 - 1941, a potem niemieckiej w latach 1941 - 1944.

Najpierw terror NKWD, aresztowania, wywóz na Syberię sąsiadów, znajomych i kolegów. Jak żywo stanął mi w pamięci dzień 10-tego lutego 1940 roku, kiedy to przy czterdziestu stopniowym mrozie żołnierze z NKWD z długimi karabinami i jeszcze dłuższymi bagnietami na nich, zabierali ludzi na Syberię. Bałem się wtedy panicznie. No i dzień 17-tego lutego 1941 roku kiedy to NKWD przyszło po mojego Ojca. Szczęśliwie w czerwcu 1941 roku po przyjeździe Niemców Ojciec wrócił z więzienia w Grodnie.

Potem niemiecka żandarmeria i gestapo. Następny okres pogardy i bezlitosnego wyniszczenia narodu polskiego. Aresztowania, rozstrzelania, obozy koncentracyjne /jak mało wtedy o nich wiedziałem/. No i konspiracja Ojca, o której dokładnie ~~nie~~ wiedziałem. Za tę konspirację, której uprawiania w czasie okupacji ogromnie się bałem /może nie tyle o Siebie co o Ojca/, teraz byłem Ojcu wdzięczny. W pierwszym momencie, kiedy o tym pomyślałem, chciałem Ojca pocałować w rękę. Ta moja wdzięczność była tym większa, kiedy uświadomiłem sobie, że przecież w tych bardzo trudnych i niebezpiecznych latach, kiedy na naszym terenie nie mogło być mowy o nauce, Rodzice zapewnili mi możliwość ~~uczenia się~~ ^{ukochanie} na tajnych kompletach

piątej i szóstej klasy szkoły powszechnej. Teraz w tej nadchodzącej wraz z Ruskimi jakiejś tam Polsce, będę mógł pójść do szkoły średniej. Pewnie jakiejś ~~szkoly~~ szkoły zorganizują myślałem.

Szliśmy dalej polną drogą nikogo nie spotykając. Dzień był pełen słońca, tak go sobie zapamiętałem. A może było pochmurnie, tylko powrót do Bargłowa był wydarzeniem słonecznym.

Jak to się właściwie stało, że musieliśmy Bargłów opuścić? Jak to było?

Front zbliżał się do nas szybko. Coraz większy ruch cofających się wojsk niemieckich na szosie, nad którą leży Bargłów, zwiastował zbliżający się koniec wojny. W lipcu 1944r. wydawało się, że lada moment zobaczymy wjeżdżające do Bargłowa czołgi z czerwoną gwiazdą i nagle wszystko zatrzymało się. Front zatrzymał się na kanale augustowskim odległym o kilka kilometrów, Niemcy jakgdyby nabrali nowych sił.

Powrócił Komisarz, pojawili się znowu Żandarmi, ustabilizowało się. Żyliśmy w strefie przyfrontowej. Samoloty, artyleria, w nocy rakiety oświetlające teren. Było jednak jakoś spokojniej niż jeszcze przed kilkoma miesiącami. Było niebezpiecznie. Często trzeba było uciekać, kryć się. Nikogo jednak nie aresztowano, nie było gestapo. Było wojsko niemieckie, które werbowало mężczyzn do budowania umocnień. Było to niebezpieczne, ale było to jakieś "bezpieczniejsze" niebezpieczeństwo. Można było też zginąć od bomby lotniczej czy pocisku artyleryjskiego, ale ruch oporu, w który był zaangażowany Ojciec, zawiesił swoją działalność i nie trzeba było bać się gestapo, a to naprawdę było bezpieczniejsze.

Wreszcie 18-go października przyszli do nas wojskowi żandarmi /tacy z "blachami" na piersiach/ i kazali opuścić wieś w ciągu bieżącego dnia wynosząc się w kierunku zachodnim.

Ojciec zdecydował, że póki co wyniesiemy się do Zrobek, gdzie mieszkali nasi kuzyni w domu, który w tym czasie jeszcze stał, a w którym to domu w 1902 roku urodził się mój Ojciec, a jeszcze wcześniej w 1878 roku urodziła się moja Babcia.

Wiele cenniejszych rzeczy Ojciec zakopał w skrzyni pod szopą. Rodzice zdecydowali jednak, że z domu trzeba co się da wywieźć, w związku z tym Mama poszła do Zrobek po furę,

Ojciec z Babką przygotowywali rzeczy do zabrania. W rezultacie Ojca Niemcy zabrali do pracy przy budowie umocnień, transport rzeczy do Zrobek musieliśmy zorganizować sami.

Po dwóch dniach Ojciec odnalazł nas w Zrobrach. Opowiadał, że Niemcy cała ^{gromada} ~~gromada~~ zorganizowali do budowy umocnienia aż w Augustowie nad jeziorem Necko. Po dniu pracy ludzi tych zwalniali, a 24 października wycofali się z Augustowa. W tym rejonie front zatrzymał się we wsi Netta w połowie drogi z Bargłowa do Augustowa i taki stan utrzymał się aż do 23-go stycznia 1945r.

By natomiast w pierwszej połowie listopada zostaliśmy wypędzeni ze Zrobek i zatrzymaliśmy się w Dziejodzie u Dziadka po kądzieli. 2-go grudnia wróciliśmy spowrotem do Zrobek, gdzie w gronie rodziny przetrwaliśmy aż do wyzwolenia, które nastąpiło 23-go stycznia 1945 roku.

Nie miałem już czasu na dalsze rozważania, bo oto wchodziliśmy do Bargłowa. Wiedzieliśmy o tym, że część wsi, łącznie ze szkołą, była spalona w wyniku nalotów lotniczych i ostrzału artyleryjskiego, szczególnie w dniu 2-go sierpnia 1944 roku. Wiedzieliśmy też, że zrujnowany był kościół, jeszcze we wrześniu Niemcy wysadzili w powietrze wieże. Jedna z nich zrujnowała się do samego fundamentu i zwała się na zewnątrz kościoła zasypując gruzem cementarz i przebiegająca obok szosą. Druga wieża natomiast zrujnowała się tylko do stropu części głównej, ale za to zwała się na kościół zwalając w ten sposób dach i strop zarówno nawy głównej jak też obu naw bocznych oraz napełniając wewnątrz kościoła olbrzymią kupą gruzu. Ostało się tylko sklepienie nad prezbiterium mocno jednak popękane, grożące w każdej chwili zawaleniem. Oczywiście dzwony poszły się na kawałki, jak też całkowitemu zniszczeniu uległy organy.

O tych zniszczeniach wiedzieliśmy i nie zrobiły one na nas większego wrażenia. Stwierdziliśmy dalej, że część pozostałych domów, które ocalały z poprzedniej pożogi, jest zrujnowana, a te domy, które ocalały w dużym stopniu są zdewastowane. Utkwił mi w pamięci brak płotów, które kiedyś towarzyszyły zabudowaniom.

Niedaleko kościoła przy kapliczce św. Jana był wysadzony most. Obok mostu był przejazd "wbród" przez rzeczkę, przez

który przejeżdżały kolumny wojska z całym wojennym sprzętem. Na wierzbach, które rosły obok mostu były poprzywiązywane przeciwpancerne miny "zelenowe" ^{to zielone} - jak je nazywaliśmy. Koło kapliczki św. Jana stał uszkodzony czołg, z czerwoną gwiazdą, obok którego kręciło się kilku żołnierzy. A obok studnia z pompą, którą zostawił po sobie jako jedną z nielicznych inwestycji przedostatnich przed wojną ^{wojt gminy} ~~moj~~ kuzyn Józef Lenczewski.

Ogrody i łąki w okolicach zerwanego mostu były zaminiowane. Stojący obok murowany dom z powybijanymi oknami robił przygnębiające wrażenie. Był to dom znanego i cenionego w okolicy felczera Jana Kwapisza, którego wraz z żoną NKWD-yści wywieźli na Syberię. W okresie okupacji niemieckiej mieszkała tu najmłodsza córka Państwa Kwapiszów Gabriela Ponikarczyk wraz z mężem Zygmuntem i dwoma synami. Nie wiedzieliśmy wtedy, że Kwapisz z Syberii nie wróci - zmarł tam zaraziwszy się od swoich pacjentów jakąś chorobą, oraz że nie wróci do domu Pan Zygmunt aresztowany przez Niemców już w 1944 roku i nie wiadomo gdzie zamordowany.

Spotkaliśmy w tych okolicach wsi kilka znajomych osób, powitaniom nie było końca, wszyscy radowaliśmy się, żeśmy przeżyli.

Wieś pełna była maszerującego na zachód wojska. Ja nawiązałem rozmowę z młodym oficerem, miał na naramiennikach dwie gwiazdki i dziecianną twarz. Pamiętam usiłowałem go przekonać, że Bargłów to jeszcze nie tereny niemieckie, a do Prus Wschodnich trzeba przebyć drogę prawie 10 kilometrów. Twierdził on bowiem, że Berg znaczy po niemiecku ^{gora} ~~góra~~ i stąd nazwa naszej miejscowości posiada niemieckie pochodzenie.

Żołnierze ci zrobili na mnie pozytywne wrażenie. Przede wszystkim wszyscy mieli pagony, na których szarże były różnie oznakowane. Ci z paskami na naramiennikach to pewnie podoficerowie myślałem, a ci z gwiazdkami to oficerowie. Nie było między nimi takich "bolszewików" z 39-go roku bez naramienników, a z szarżami oznakowanymi "kubikami" na kołnierzach. Co ważniejsze nie było między nimi tych z niebieskimi otokami i długimi "widelcami" na karabinach ^{z osobieniem} ~~z osobieniem~~ których do dzisiaj pozostał mi w pamięci ^{szalejący} ~~szalejący~~ w latach

1940 - 1941 w Bargłowie niewielkiego wzrostu lejtnant Czawrikow. Takich wśród nich nie było.

Wydało mi się wtedy, że nastąpiła jakaś zmiana, że z tymi Ruskimi można współżyć, że nie są to ci sami Ruscy, których od nas wypędzili Niemcy. Myślałem, że wypędzą Niemców, wycofują się, a my Polacy odbudujemy swoją Ojczyznę. Jak połączą się ci co idą ze wschodu z tymi co walczą na zachodzie, to odbudujemy wszystkie ruiny i zbudujemy Polskę jeszcze potężniejszą niż ta z przed wojny. Byłem chłopcem i naiwnie po chłopięcu myślałem, ale to miało okazać się później.

Poszliśmy wreszcie pełni niepokoju zobaczyć jak przetrwało nasze gospodarstwo. Nagle oczom naszym ukazał się przerażający widok. Po drewnianym, dwupiętrowym młynie zostały tylko fundamenty. Obok, powyrzucane na zewnątrz leżały porozbijane maszyny młyńskie. Obok stał murowany budynek motorniczy z wielką dziurą w jednej ścianie wybitą pewnie przez pocisk artyleryjski ~~niewielkiego~~ niemieckiego kalibru.

No i najgorszy widok, po naszym domu zostały tylko fundamenty oraz podłoga, a na niej kupa gruzu po tym co stanowiło niegdyś komin i ~~trzon kuchenny~~.

- o Boże! - krzyknąłem, a łzy spłynęły mi po policzkach.

Nie pamiętam co wtedy powiedział Ojciec. Wiem, że miał zaciśnięte wargi i coś mruczał pod nosem.

Dom, ten nasz kochany dom, który był dla mnie uosobieniem szczęśliwego ogniska rodzinnego, nie istniał ?

- Jak to teraz będzie, jak my będziemy żyć bez naszego domu ? - myślałem. - Przecież w tym domu wszystko miało swoje miejsce i każdy miał swój kąt.

Stałem na gruzach i przypominałem sobie jak to jeszcze niedawno było.

Wchodziło się po kilku stopniach schodków do dobudowanej do domu sieni, pod którą był obszerny kurnik. W sieni stał tak zwany "okraśnik", były schody /a właściwie drabina/ po których wchodziło się na strych oraz były drzwi, przez które wchodziło się do kuchni. Po lewej stronie w kuchni stała ława,

na której znajdowały się dwa wiadra z wodą. Dalej kredens kuchenny, który dotykał do ściany zewnętrznej. W tej ścianie było okno, pod którym stał stół i obok niego krzesła. Na przeciwległej do wejścia ścianie był ~~trzon~~ kuchenny z okapem, duchówką i zlokalizowanym na dole piecem chlebowym.

Po prawej stronie od wejścia był mały pokój Babki. Stało tam łóżko i kufer. Lubilem na tym kufrze siadać i słuchać opowiadań Babki. Była tam też jakaś półeczka z toczonymi, chyba przez Heronima, wspornikami, na której znajdowało się szereg różnych rzeczy oraz zdjęć rodziny, między innymi zdjęcie Babki z nieboszczykiem Dziadkiem, który wiele lat przed moim narodzeniem w 1922 roku zmarł.

Z kuchni, pomiędzy ~~trzonem~~ kuchennym a ścianą z oknem były drzwi, przez które wchodziło się do pokoju stołowego. Na wprost stało małe biurko z jedną szafką, a za nim szafa ubraniowa z bieliźniarką. Przy przeciwległej ścianie stał tapczan z oparciem, a między szafą i tapczanem stał rozsuwany stół prostokątny z "toczonymi nogami". Były tutaj też "szupki" zwane też "tumbkami", na których były ustawione kwiaty oraz na jednym stało popiersie Chopina. Za stołem, między tapczanem i szafką, było okno, pod którym stał stolik z radiem. Na ścianach były makatki, zdjęcia, między innymi portret Ciotki Łodzi Brymowej oraz w ramkach pocztówka przedstawiająca Piłsudskiego wraz z szefem sztabu gen. Sosnkowskim. W pokoju stołowym był też piec, który służył do ogrzewania całego mieszkania. Paliko się oczywiście drzewem.

Obok tapczana było wejście do sypialni. Stało tu łóżko rodziców, moje żelazne łóżko dzieciinne z siatką, kufer. Na ścianach makatki, jakieś zdjęcia no i na jednej ścianie okno.

Całe mieszkanie było oświetlane dostarczanym z młyna prądem elektrycznym, znaczyło to, że jak młyn "szedł", to był prąd. W niedzielę i święta z reguły trzeba było oświetlać mieszkanie lampami naftowymi, w przygotowywaniu których, co w zasadzie sprowadzało się do uzupełniania nafty i wyczyszczenia szkła, wyspecjalizowała się Babka. Nikt tak nie wyczyścił szkła jak właśnie Babka.

Z zadumy wyrwał mnie głos ojca:

- No chodźmy stąd, ważne żeśmy sami przeżyli -

Wracaliśmy do Zrobek w milczeniu. W pewnym momencie Ojciec powiedział z przekonaniem:

- A ~~wiecie~~ ^{wiesz} co? Wybudujemy sobie mieszkanie w ocalałej motorowni.

W moim pojęciu był to cudowny pomysł! Nagle szybki powrót do Bargłowa stał się realny!

Dalej milczeliśmy. Odczuwaliśmy wzmagający się na wieczór mróz. Ja w swojej chłopięcej wyobraźni widziałem już ten dom w murowanej motorowni. Było to w mojej ocenie bardzo realne i przybliżało bardzo upragniony powrót na stałe do Bargłowa. Ojciec pewnie też idąc w milczeniu rozmyślał jak ten plan zrealizować.

Następnych kilka dni poświęciliśmy z Ojcem na gromadzenie materiałów budowlanych. Chodziliśmy po prostu w okolicach Bargłowa i penetrowaliśmy wybudowane przez Niemców "ziemianki" mieszkalne dla wojska z myślą o przetrwaniu tutaj zimy. Niektóre z nich były pomysłowo i komfortowo, jak na takie warunki, urządzone

Ojciec bezbłędnie, nie wiem poczym, rozpoznawał.

- To jest drzewo z naszego młyna - i taką ziemiankę rozbieraliśmy gromadząc materiał. Innym razem mawiał:

- Nie, to nie nasz materiał - i szliśmy dalej.

Tak zgromadziliśmy sporo materiałów, które niestety nigdy nie zostały wykorzystane zgodnie z ich przeznaczeniem. Bieg dalszych wydarzeń pokrzyżował plany.

Pewnego dnia, a było to 8-go lutego 1945 roku, jak Ojciec zanotował w swoich pamiętnikach, odnalazł Ojca w Zrobkach posłaniec z Bargłowa i wręczył kartkę następującej treści:

"Panie Józefie został Pan mianowany przez Starostę Wójtem gminy Bargłów. Proszę możliwie natychmiast rozpocząć urzędowanie. Ja obejmuję stanowisko Sekretarza gminy - Władysław Kierkło".

Mama radziła Ojcu ukryć się.

- Bo to nie wiesz Józek zaraz przyjdzie NKWD. Oni Ciebie znówu posadzą -

Ojciec jednak zdecydował inaczej. W zaplanowanej akcji "Burza" AK miała odtworzyć, zorganizować i objąć całą administrację terenu. Ojciec był przekonany, że ta nominacja to widoczny znak realizacji planu organizacji administracji terenu.

W dodatku znał pana Kierklo jako solidnego człowieka i dobrego Polaka, z jego dziećmi Józkiem, Konradem i najmłodszą Danusią uczyliśmy się w czasie okupacji niemieckiej potajemnie u Pani Sabiny Niedźwieckiej. On sam w tym czasie pracował w swoim zawodzie i był kierownikiem mleczarni.

Ojciec w rezultacie objął funkcję wójta, co z jednej strony pokrzyżowało plany budowy mieszkania w motorowni, z drugiej jednak strony zdecydowanie przyspieszyło nasz powrót na stałe do Bargłowa.

W końcu lutego, albo na początku marca przeprowadziliśmy się do Bargłowa i zamieszkaliśmy w prawie całkowicie ocalałym, dużym murowanym domu Józefa Masłowskiego, gospodarza, na wydzierżawionym placu, od którego stał nasz młyn. Na górcie był hol i dwa pokoje, z których jeden zajmowali Państwo Niedźwieckcy, a drugi my. Na dole poza gospodarzami mieszkali Państwo Kierklowie i rodzina Wasilewskich, których dom stał po sąsiedku i w czasie działań wojennych został też zburzony.

Na teren Bargłowa i całej gminy zaczęła zdecydowanie wkraczać Polska. Ojciec z Panem Kierklo organizowali administrację. Wybory sołtysów, radnych... Były to wtedy patriotyczne manifestacje. Po tylu latach ~~nie było~~ wreszcie biało-czerwone flagi wywieszano wszędzie - "Jeszcze Polska nie zginęła" i "nie rzucim ziemi skąd nasz ród" ^{nie było} śpiewano gromkim głosem przy różnych okazjach.

Coraz częściej wdywano się polskich żołnierzy. Sierżanta polskiego zobaczyłem jeszcze w Zdrobkach w początkach lutego. Był to starszy sierżant Zalewski, który 10 lutego 1940 roku został wywieziony z *ze NSI Netta Folgerke* na Syberię, a teraz, przyjechał odwiedzić swoje strony jako

"Kościuszkowiec". Byłem wzruszony, chciałem chociaż dotknąć jego polskiego munduru, pocałować w rękę. Ta nasza polska rogatywka na jego głowie ! Tylko denerwowała mnie ta "wrona" na jego czapce zamiast naszego polskiego orzełka. Opowiadał Ojcu o wojsku polskim w ZRRR. O dywizji im. T.Kościuszki, o walkach z Niemcami. Opowiadał tych nie pamiętam, nawet nie wiem czy byłem ich świadkiem - wiem o tym ze wspomnień Ojca.

Spotkanie z "Kościuszkowcem" Zalewskim przypomniało mi inne wydarzenie jakie miało miejsce w Bargłowie przed niespełna rokiem. Wiosną 1944r. kiedy jeszcze nie było słychać odgłosów zbliżającego się frontu, Niemcy zarządzili wiec mieszkańców wsi przed szkołą. Ustawiono mównicę i przywieziono samochodem polskiego żołnierza. Był to barczysty mężczyzna, wysokiego wzrostu. Był ubrany w polski mundur, nakryty był na ramiona płaszczem wojskowym, na głowie miał rogatywkę. Opowiadał jak to bolszewicy zorganizowali wojsko z Polaków wywiezionych na Syberię, wojsko to następnie posłali na bój z Niemcami. Z tyłu za tym wojskiem szli NKWD-yści i strzelali do cofających się. On ocalał bo szczęśliwie dostał się do niewoli do Niemców. Dalszych szczegółów tych opowiadań nie pamiętam, ale ten "Kościuszkowiec", bo tak siebie nazywał, głęboko utkwiał mi w pamięci.

Trzeba było energicznie zabrać się za organizowanie szkolnictwa. Funkcję kierownika szkoły w Bargłowie objął Pan Franciszek Niedźwiedzki, Ojca towarzysz z AK. Ojciec zorganizował urządzenie klas szkolnych w połowie ocalałego po wojnie budynku gminnego i w całej, ocalałej też, remizie strażackiej. Pracę w szkole podjęli przedwojenni nauczyciele: Maria Rowińska i Sabina Niedźwiedzka oraz nie posiadające pedagogicznego w owym czasie wykształcenia Gabriela Ponikarczyk i Jadwiga ~~Cogh~~żona po zaginionym w czasie działań wojennych oficerze I-go pułku ułanów Krechowieckich z Augustowa, która w owym czasie znalazła się z trzema córkami w Bargłowie.

Przyszła też pora zająć się moją dalszą edukacją. Miałem skończoną szkołę powszechną ucząc się potajemnie w czasie okupacji niemieckiej u Pani Niedźwiedzkiej.

Komunikacja w owym czasie z Augustowem była conajmniej utrudniona. Szosa Bargłów - Augustów była nieprzejezdna, była ona jeszcze zaminowana, a wszystkie mosty były pozrywane. Taki stan rzeczy pozostawili po sobie wycofujący się Niemcy. Rosjanie z tego szlaku komunikacyjnego nie korzystali, wchodzące na opuszczane przez Niemców tereny wojsko korzystało z trasy dalszej, ale zato bezpieczniejszej, prowadzącej przez Nette i Bargłów Dworny.

Wydawało się także, że w Augustowie nie ma jeszcze w pełni zorganizowanego życia. Augustów po nieregularnym bombardowaniu we wrześniu 1944r oraz po zniszczeniach jakich tam dokonano w okresie październik 1944 - styczeń 1945r, nie prędko zorganizuje się do normalnego życia - tak chyba wtedy wydawało się rodzicom, kiedy wraz z Państwem Kierkło podjęli decyzję, że zanim się sprawy wyjaśnią, będziemy nauki gimnazjalne pobierali u Pani Niedźwiedzkiej. My z Konradem zabraliśmy się za klasę pierwszą, starszy od nas o rok Józek, Dzidek jak go wtedy nazywano, za klasę drugą. Pierwszą klasę miał już przerobioną w czasie okupacji.

Pozostał problem łaciny i języka obcego. Lekcje łaciny i języka niemieckiego zorganizowano nam u księdza Józefa Bieniewskiego, który w owym czasie był wikarym w Bargłowie, a z którym rodzice utrzymywali bliższe kontakty.

Tak więc wydawało się, że problem naszej edukacji jest, przynajmniej narazie, rozwiązany.

Wokół było wiele ciekawych i wabiących swoją tajemniczością różnych rzeczy. Naboje, pociski, miny i inny pozostawiony sprzęt wojskowy - wszystko to było tajemnicze, niebezpieczne, a tym samym ciekawe. Zabawiliśmy się więc nieraz narażając swoje życie i zdrowie.

Nieraz ^{zabawiliśmy} zdarzyło się, że wsią wstrząsnął potężny wybuch. Potem okazywało się, że to eksplodowała mina na ogrodzie koło kapliczki św. Jana. Był to efekt zabawy młodzieńców, którzy rzucali kamieniami do celu.

Z za budynku rzucali w kolejności kamieniami na zaminowany ogród, ten wygrywał zakład czyj kamień pierwszy trafi na minę. To były bardzo niebezpieczne zabawy.

Miny były przyczyną wielu wręcz katastroficznych wypadków.

Oto na przykład dwaj młodzieńcy w drodze ze szkoły znaleźli w rowie przy drodze minę. Zaciągnęli ją w pole i tam chcieli rozkręcić. Potężna eksplozja wstrząsnęła okolicą. Zrozpaczeni rodzice zbierali potem ich drobne szczątki.

M...

W czasie okupacji niemieckiej Konrad, Szidek i ja oraz Sławek Rólkowski pełniliśmy funkcję ministrantów. Codziennie służyliśmy do dwóch mszy świętych, o siódmej rano odprawiał wikary ks. Józef Bieniewski i o ósmej proboszcz ks. Kowalczyk. Ci sami księża teraz też byli w Bargłowie, a nabożeństwa odprawiały się w zrujnowanym kościele. Ołtarz główny i prezbiterium było wykorzystywane. Tynk sypał się ze sklepienia, wiatr hulał, czasem nawet zawiewało śniegiem, ale takie to wtedy były czasy.

Pamiętam, było to chyba w pierwszy piątek miesiąca, pewnie kwietnia. W dostępnej części kościoła było zgromadzonych dużo ludzi. Właśnie ksiądz Kowalczyk rozdzielał komunię świętą. Wziął w palce kolejny komunikant i podając mówił:

- Corpus Domini nostri Jezusa ^{Chr.} ~~Christus~~

Nagle kościołem wstrząsnęła okropna eksplozja, głos księdza zawisł w powietrzu. Z góry zaczął się sypać tynk i spadać kawałki sklepienia. Ludzie w popłochu opuszczali kościół.

Ksiądz Kowalczyk w pośpiechu zakończył nabożeństwo, a my wybiegliśmy szybko z kościoła, żeby zobaczyć co się stało.

Biegliśmy w kierunku przejazdu przez rów obok zerwanego mostu tuż przy domu Kwopisza, gdyż tam zobaczyliśmy sporą gromadę ludzi. Nagle oczom moim przedstawił się makabryczny widok. Oto w rowie leżał obmywany płynącą wodą strzęp ciała ludzkiego. Rozszarpane ciało zmieszane ze strzępami wojskowego munduru, sterczący pas, ładownice... Przeróżający widok, którego nie zapomnę do śmierci.

Chciało się, że był to ktoś z Augustowa. Nie wiem czy wykonując swoje obowiązki służbowe, czy działając jako "saper amator" zdjął jedną z min przywiązanych do rosnących tam wierzb. To właśnie co widziałem powstało w wyniku rozbrajania tej miny, chciał po prostu odkręcić zapalnik.

Innym razem w tych samych okolicach minę rozbierał jakiś ruski żołnierz. Efekt tego był taki, że z drzew zdejmowano strzępy jego munduru. Tyle z niego zostało.

Zarząd gminy dostał polecenie, aby na szosie do Augustowa na swoim terenie odbudować wszystkie zrujnowane mosty. Nakazywano ludziom z terenu gminy prace te wykonywać w ramach tak zwanego "szarwarku". Prace te nadzorował pełniący funkcję dróżnika Raczkowski.

Była to niebezpieczna-praca, bo obok zrujnowanych mostów znajdowały się niewypały i miny.

Przy jednym z takich właśnie mostów, położonym na trawie kilometry od Bargłowa, doszło do tragedii. Był to most, który już miał swoją historię. W końcu czerwca 1940 roku, spod tego mostu wyskoczył ktoś, kto z pistoletu oddał kilka śmiertelnych strzałów do Prawdziha. Był to Polak, który w owym czasie pełnił funkcję przewodniczącego kołchozu, współpracował z sowietami, między innymi wyznaczano ludzi do zsyłki na Sybir.

Przy odbudowie tego mostu pracowało kilka osób. Oficer rosyjski, który chyba z ramienia swojej armii kontrolował tą pracę, usiłował rozbroić minę, którą tam znaleźiono. Oczywiście eksplozja i wszyscy tam pracujący ludzie zginęli /Raczkowski, Łatwajtych, Zalewski i Sawicki - nazwiska te zapamiętał moj Ojciec /z. w swoim pamiętniku w załączniku/

Przedziwny wypadek zdarzył się też mojemu ciocięzemu bratu Tadeuszowi Karpowowi. Jego ojciec, zmarły na gruźlicę w 1943 roku, oficer legionowy i obrońca Lwowa, przed wojną nauczyciel w Augustowie, był organizatorem i pierwszym komendantem ZWZ-AK na terenie powiatu augustowskiego. Po przejściu frontu Tadzik rozpoczął pracę /miał wtedy 17 lat/ jako nauczyciel, aby zarobić na utrzymanie matki i młodszego brata. Pracował, o ile dobrze pamiętam, w Tobyńce. Było to w miesiącu marcu. Wybrał się on kilkoma wyznaczonymi przez sołtysów furmankami do Augustowa po sprzęt szkolny. Jechali z Bargłowa tą właśnie zastępczą drogą przez Bargłów Dworny, Mettą - którą uprzednio przeszły całe kolumny wojska. W pewnym momencie Tadzik szedł koło fury /było zimno i w ten sposób chciał rozgrzać się/, kiedy na tej właśnie drodze koń

trafił kopytem na minę ! Oczywiście eksplozja, właściciel fury został zabity, konie też, a Tadeusz, jak się potem okazało bez żadnej rany, został odrzucony kilka metrów na pole obok drogi.

Oczywiście panika ogarnęła pozostałych przy życiu gospodarzy. Na szczęście zaraz nadjechał samochód z polskimi żołnierzami, którzy ściągnęli Tadeusza z pola. Gospodarze wrócili w popłochu do domu zabierając nieżyjącego sąsiada. Tadeusza przewieziono ze złamaną szczęką do szpitala w Augustowie, gdzie po pewnym czasie doszedł do siebie. Lekko skrzywioną szczękę miał do samej śmierci.

Miny i groza z nimi związana skończyły się wtedy, kiedy do Bargłowa zawitała jednostka polskich saperów. Miny zbierano, układano je na gromady i eksplodowano. Były to jednak kontrolowane eksplozje. Wtedy poruszanie się po terenie było już bezpieczne.

Nie tylko miny stanowiły w tym okresie niebezpieczeństwo, były jeszcze inne. Minę można było ominąć lub od niej uciec, ona nie pędziła i nie strzelała.

Równoległe z organizacją gminy powołano Milicję Obywatelską. Stanowili ją młodzi chłopcy, przeważnie z wojska i występujący początkowo w wojskowych mundurkach. Byli to ludzie różnego *autoraamentu*. Było ich w pewnym okresie kilkunastu. Pamiętam ich marsze w szyku po wsi i z piosenką:

Marsz, marsz Polonia

Marsz dzielny narodzie.

Odpochniemy po swej pracy

w ojczystej zagrodzie.

Komendanci milicji często bardzo zmieniali się, stosunki Ojca jako Wójta różnie się układały z nimi.

Pamiętam pierwszym komendantem MO był niejaki kapral Jabłoński, o którym Ojciec bardzo niepochwlebnie się wyrażał.

Dochodziło czasami do różnych scysji pomiędzy Ojcem i MO. Ale były i takie sytuacje jak następująca:

W piękny wiosenny, kwietniowy dzień Ojciec około południa wpadł przerażony do domu i krzyknął do mnie:

- zbieraj się, uciekajmy ! Prędkiej !

Nie pytałem o co chodzi, szybko wybiegłem wraz z Ojcem z domu. Pobiegliśmy na cmentarz, gdzie skryliśmy się w krzakach.

Dowiedziałem się od Ojca, że jest jakiś napad i trzeba się skryć. Po kilku godzinach wróciliśmy do domu.

Okazało się, że to nie żadna banda tylko "nasi stróże porządku" z Augustowa, to znaczy funkcjonariusze już wtedy działającego Urzędu Bezpieczeństwa i opiekujący się nimi, czy raczej nadzorujący ich rusczy NKWD-yści, wracali z jakiejś libacji pewnie niedopici. Zdenerwował ich jakiś strzał - to milicjanci zorganizowali sobie jakieś ćwiczenia. Nieproszeni goście rozpędzili posterunek i pobiegli do gminy. Ojciec i Pan Kierklo uprzedzeni przez woźnego o zbliżającym się niebezpieczeństwie, uciekli przez okno. Ojcu udało się to, a Kierklo wrócił jeszcze schować maszynę do pisania, która stała na biurku i został ogarnięty przez nadbiegającą "watachę". Posadzony o różne niecne rzeczy został zabrany wraz jeszcze z kilkoma osobami do Augustowa. Następnego dnia wrócił mocno przestraszony.

Władzę ludową trzeba było utrzymywać, a "gdzie drwa rabia tam wióry lecą".

Innym niebezpieczeństwem, które przez cały 1945 rok i nawet dłużej czyhało, były samochody rosyjskie z pijaną naogół obsługą, załadowane różnymi dobrami przewożonymi z terenu Prus Wschodnich w głąb Rosji. Były to pojedyncze samochody, rzadziej zorganizowane większe kolumny. Z tych przejazdów mogły też wynikać i korzyści. Od takich zwycięzców ~~wiozących~~ "trafiei" można było różne rzeczy kupić poczynając od jakichś drobnych rzeczy kuchennych, a nawet na fortepianie koncertowym skończywszy. Oczywiście walutą obiegową była samogona. Także załoga samochodu jak szybko i korzystnie sprzedawała wiezione przez siebie "trofiei", zawracała z powrotem po następny transport. Jak oni to robili i z kim się rozliczali?

Kto to wie.

DEUGI KORYTARZ

Ojciec i pan Kierklo zdecydowali, że trzeba chłopców oddać do Gimnazjum. Właśnie w Augustowie, już w marcu, została uruchomiona szkoła średnia - Państwowe Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące. Według rozeznania Rodziców, szkoła ta pracuje "pełną parą".

Decyzję tę Rodzice podjęli chyba w końcu kwietnia. Była to słuszna decyzja, może nawet trochę spóźniona. Pani Niedźwiedzka, zajęta pracą w szkole i swoją rodziną, z trudem znajdowała czas dla nas. Łacinę i niemiecki u księdza Bieniewskiego rozpoczęliśmy dosyć późno, tak że cała edukacja w tym zakresie skończyła się na dwóch, najwyżej trzech lekcjach i to bez żadnych, jak pamiętam, podręczników.

Ojciec i pan Kierklo napisali do dyrekcji szkoły podania, załączali do nich wystawione przez panią Niedźwiedzką zaświadczenia o dotychczasowej naszej edukacji i na tej podstawie zostaliśmy do szkoły przyjęci - my obaj z Konradem, do klasy pierwszej, Dżdek natomiast - do klasy drugiej.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że kończy się dla mnie okres beztroski i - co tu dużo mówić - kilkumiesięcznego "objiania się". Cieszyłem się wolnością, cieszyłem się tym, że wreszcie swobodnie i oficjalnie mogliśmy powycinać z blachy z puszek po konserwach polskie orły i poprzyczepiać je do czapek. Oczywiście były to "prawdziwe" polskie orły z koroną, a nie jakieś tam niewiadomego pochodzenia "wrony".

Rówieśnicy nasi, jak na przykład mój serdeczny przyjaciel Władek Purwin, którzy się w czasie okupacji nie uczyli, poszli po naukę do szkoły powszechnej w Bargłowie. Myśmy tylko trzej mieli otwartą drogę do szkoły średniej w Augustowie.

Przygotowania do wyjazdu do Augustowa, przynajmniej z naszej strony, były krótkie. Pewnego pogodnego dnia wsiedliśmy na furę,

wraz z nami nasi ojcowie i pojechaliśmy do Augustowa szosą, którą już w swoim życiu wiele razy przemierzałem. Przeważnie jeździłem, oczywiście nigdy dotychczas Sam, autobusem, w czasie okupacji najczęściej furą.

Jechaliśmy więc, znaną mi bardzo dobrze drogą. Wydawało mi się jednak, że jedziemy przez zupylenie nieznane tereny. Mosty na trasie prowizoryczne, nawierzchnia pełna dziur, co się szczególnie odczuwało jadąc furą. Domy, których się kiedyś na tej trasie sporo spotykało, po prostu nie istniały. W zasięgu wzroku, po jednej i po drugiej stronie szosy, widziało się zniszczony sprzęt wojenny - wraki popalonych czołgów, samolotów, różnego rodzaju pojazdów. No i groby, pełno grobów takich z krzyżami i takich z wbitymi jedynie kołkami, na których czasami wisiał hełm lub wojskowa furażerka. Szczególnie mocno przeżyłem moment, kiedy przejeżdżaliśmy przez "pierwszą linię", pomiędzy Netką i Żarnowem. Najpierw linia okopów niemieckich, kilkadziesiąt metrów dalej rosyjskich. Między tymi liniami, po prawej stronie szosy, w odległości może dwustu metrów od niej, stał wrak spalonego czołgu.

- Ile się rozegrało tragedii ludzkich - myślałem - w czasie walk pozycyjnych, jakie toczyły się tutaj od końca października 1944 roku do końca stycznia 1945 roku ?

Tuż pod Augustowem, niedaleko szosy prowadzącej do Białoobrzeg , leżał nieżywy koń, wyglądający jak jakaś potężna góra.

No i wreszcie Augustów. Ulica Krakowska, w większości zrujnowana, a następnie rynek, przed wojną Plac Piłsudskiego, cały wypalony, a między szczątkami istniejących tam domów, wrak budynku augustowskiego magistratu, na którym spokojnie, jakby się nic nie stało, wmurowana przed wojną tablica głosiła chwałę "cudu nad Wisłą w sierpniu 1920 r.". W końcu ulica Nowomiejska 12, gdzie w częściowo zrujnowanym domu mieszkała ciotka Karpowa z Tadzikiem i Ryśkiem. Tu właśnie miałem zamieszkać. Dzidek i Konrad natomiast zamieszkać mieli niedaleko stąd, przy ulicy Mostowej, w wynajętym pokoiku.

Wreszcie Żarzecze i ogromny, jak mi się wtedy wydawało, gmach Gimnazjum. Takiego wielkiego budynku jeszcze w życiu nie widziałem. To strach przed tym, co mnie właśnie tutaj czeka, paraliżował mnie i odbierał chyba poczucie rzeczywistości.

Zbliżając się do tego budynku, w pewnym momencie przypomniałem sobie, że ja go już przecież widziałem przed wojną. Było to przy okazji chyba 3-go maja 1939 r. Przechodziliśmy koło tego budynku wraz z Ojcem oraz wujem Antonim Karpem, Tadzikiem i Ryśkiem, kiedy

szliśmy do koszar I-go Pułku Ułanów Krechowieckich na mającą się tam odbyć rewję. Pamiętam defilujących wtedy, kolorowych, pięknie ubranych ułanów z lancami i chorągiewkami, jakiś sprzęt wojenny wieziono na grzbietach koni, jakieś armaty. Przypomniało mi się jak wtedy Wuj Antoś mówił do Ojca:

- Patrz Józek, jakie mamy wspaniałe wojsko. Czasem wydaje mi się, że nie musimy Niemców się bać -

To była chwila zapomnienia, strach przed nieznanym znowu doprowadził mnie do rzeczywistości.

Kancelaria, jakieś tam krótkie formalności, pamiętam przyjazny uśmiech pani Lekszyckiej, która prowadziła w szkole kancelarię, no i oficjalny głos starszego pana, który nie wymawiał "r":

- No a teraz chłopcy zaprowadzę was do waszych klas -

Ten starszy pan, to był pan Wołosewicz, przedwojenny dyrektor tej właśnie szkoły. Okupację szczęśliwie przetrwał i teraz wrócił na swój posterunek.

Zbliżało się to, czego bałem się najbardziej. Jak przyjmie mnie klasa? Jak ja potrafię dogadać się z dziewczynami i chłopcami z miasta? Ja, chłopak ze wsi, czy będę umiał w ogóle zachować się w takim towarzystwie?

Wyszliśmy z dyrektorem Wołosewiczem z kancelarii. Nagle uświadomiłem sobie, że znaleźliśmy się na ogromnym, długim korytarzu!

- Takiego drugiego chyba nie ma na świecie - pomyślałem.

Potem schody i znaleźliśmy się na piętrze, gdzie znowu przytłaczał mnie drugi, taki sam ogromny i długi, korytarz.

Po drodze zostaliśmy sami z Konradem pod drzwiami klasy, do której dyrektor wprowadził Dzidka. Staliśmy w milczeniu. Nie wiem o czym myślał Konrad, ja prosiłem Pana Boga, żeby ten czas oczekiwania przedłużył się w nieskończoność.

Po przeraźliwie krótkiej chwili wyszedł z klasy dyrektor i ze słowami - teraz wy - skierwał się w stronę odchodzącego w lewo od dużego korytarza, małego korytarzyka. Otworzył w końcu tego korytarzyka drzwi i znaleźliśmy się wszyscy trzej w klasie lekcyjnej.

Wszyscy w klasie na widok dyrektora wstali, a zza stołu na początku klasy patrzył na nas przez okulary młodszy od dyrektora pan profesor. Był to pan Wróblewski, który prowadził lekcje języka polskiego.

Nie pamiętam, co mówił dyrektor. Zorganizowano nam miejsca przy jakimś, jak gdyby czekającym na nas stoliku. Dyrektor wyszedł, a prof. Wróblewski prowadził dalej lekcję, w ogóle nas nie zauważając. Tematem lekcji były jakieś sprawy związane z "Iliadą" Homera.

Wreszcie dzwonek. Profesor wyszedł i tak rozpoczęła się pierwsza w moim życiu przerwa w szkole średniej. Zacząłem rozglądać się po klasie. Pewnie poczułem się, kiedy podszedł do mnie Rysiek Karp, który właśnie w tej klasie I^a się uczył. Za chwilę spostrzegłem przyjazny uśmiech Bolka Liszewskiego z Solistówki, łączyło nas podobno jakieś tam pokrewieństwo. On też był chłopakiem ze wsi i wcale nie zauważało się, że odstaje od tych z miasta. Poczułem się niecc pewniej.

Tak to się zaczęło. Potem przyszły inne lekcje. Zajęcia w szkole były rozplanowane z myślą o przerobieniu materiału klasy pierwszej w skróconym okresie - lekcje miały się odbywać do końca lipca, na odpoczynek wakacyjny pozostawiono tylko sierpień.

W krótkim czasie okazało się, że nasze wiadomości z niektórych przedmiotów są niewystarczające. Trzeba było je uzupełnić. Nie ze wszystkim sami mogliśmy dać radę.

Najwięcej kłopotów mieliśmy z łaciną, którą wówczas prowadziła pani Jackowska. Sprawę tę załatwiliśmy korepetycjami, których nam ta pani udzieliła. Okazało się, że ta łacina nie jest wcale taka straszna, nawet przypadła mi do gustu.

Matematykę prowadził znakomita przedwojenna nauczycielka tego przedmiotu, pani prof. Helena Mikołajewska, pieśczośliwie przez uczniów od przed wojny "skorupą" zwana. W tym przedmiocie, w ramach pomocy koleżeńskiej, wspierał mnie jeden z najlepszych w klasie matematyków, kol. Janusz Kruszewski. Zresztą do matematyki miałem - jak to się mówi - niezłą głowę. Mimo to pamiętam, że jeszcze w drugiej klasie Janusz udzielał mi pomocy.

Największe kłopoty miałem z angielskim, z którego, można rzec, "ani be ani me" nie wiedziałem. Język ten prowadziła jakaś starsza pani i właściwie nie wiem, jak przez przedmiot ten w ogóle przebrnąłem. Potem, w drugiej klasie, brak nauczyciela zmusił do zmiany języka na francuski. Zacząłem wtedy od początku.

Biologię prowadził pan Bosiacki, który po drugiej klasie przestał w szkole pracować.

Historię, o ile pamiętam, prowadziła pani Melania Naruszewicz. Geografię i gimnastykę pan Kacper Rogowski, pochodzący z Rajgrodu, który przed wojną skończył Instytut Wychowania Fizycznego w Warszawie i był sierżantem podchorążym trzeciego pułku szwoleżerów w Suwałkach.

Religii nauczał ksiądz Podbielski, chyba przedwojenny prefekt. Nauczycieli z pozostałych przedmiotów nie pamiętam.

Augustów w owym czasie był bardzo zniszczony, ruiny i zgliszcza.

Most na ulicy Mostowej oraz śluza i most przy młynie wodnym były zniszczone. Na zarzecze, a więc do Gimnazjum chodziło się przez jedyny w tym czasie funkcjonujący, prowizoryczny most na Netcie. Był to zbudowany przez rosyjskich saperów most, wykorzystywany przede wszystkim przez wojsko. Był on bardzo wąski, a na jego długości były zbudowane dwie, tak zwane, "mijanki". Polegało to na tym, że właśnie w tych miejscach most był szerszy i tylko tam mogły wymijać się jadące w przeciwnych kierunkach pojazdy. W późniejszym okresie, na miejscu zerwanego mostu na ul. Mostowej wybudowano przejście dla pieszych. Z nasypów po obu stronach prowadziły drewniane schody nad dół, a tuż nad rzeką położono kładkę z poręczami z obu stron.

Ja w tym czasie cieszyłem się wolnością. Mogłem, bez żadnych obaw, demonstrować swoją polskość. W szkole panowała, tak mi się wydawało, przedwojenna atmosfera, tylko to ruskie wojsko na każdym kroku. Wydawało mi się to normalne - przepędzą Niemców i pójdą sobie.

W szkole wydano nam zaświadczenia w dwóch językach, polskim i rosyjskim, stwierdzające, że jesteśmy uczniami gimnazjum.

Polityka mnie w tym okresie nie interesowała w ogóle. Nie byłem w domu, gdzie pewnie widziałbym różne wątpliwości Ojca i jego dalsze zaangażowanie w konspirację. W domu u Karpów na te tematy nie rozmawiało się. Różne rzeczy działy się obok mnie, poza mną. Żyłem wyalienowany z politycznej, skomplikowanej sytuacji. Wszystko wydawało się jasne i proste. Chodziłem do szkoły, a to uważałem za najważniejsze. Wstyd się przyznać, ale nie znajduję w swojej pamięci żadnego faktu związanego z zakończeniem wojny. Nie wiem, jak się to mogło stać, żeby taki ważny moment mógł ująć mojej uwadze. Pewnie to wydarzenie było wtedy dla mnie tak mało ważnym epizodem, że nie zauważyłem go. Byłem wyczerpany nadmiarem wrażeń okupacyjnych, pragnąłem za wszelką cenę spokoju. Nadchodzące wydarzenia miały jednak wyrwać mnie z tego błogiego stanu.

Tymczasem przedłużony rok szkolny, w którym w przyśpieszony sposób przerabialiśmy pierwszą klasę Gimnazjum, zbliżał się ku końcowi. Cieszyłem się bardzo, że chociaż miesiąc wakacji będę mógł spędzić w gronie rodziny i przyjaciół w ulubionym Bargłowie. Za tym właśnie tęskniłem. Przeżywałem takie chwile, że chciało mi się to wszystko w Augustowie porzucić i "na skrzydłach" lecieć do Bargłowa. Rozum dyktował jednak co innego.

Pod koniec lipca przyszła do nas, do Augustowa, Babka. Chciała odwiedzić ciotkę i jej chłopaków, jak też i mnie wesprzeć na duchu.

Po zakończeniu roku szkolnego mieliśmy we dwoje wrócić do Bargłowa. Tak się jednak nie stało, plan swój mogliśmy zrealizować dopiero później.

W końcu lipca, zaraz po przyjeździe do nas Babki, Ruscy przeprowadzili pacyfikację Augustowa. Okrążyli szczelnym pierścieniem miasto, nikogo do miasta nie wpuszczali, jak też i nikogo nie wypuszczali z miasta. Zdarzało się tak, że ludzie, którzy przyjechali do miasta na kilka godzin, nie mogli do domów wrócić i zmuszeni byli pozostać tutaj przez kilka czy nawet kilkanaście dni. Taki właśnie los spotkał naszego kuzyna, Józefa Lenczewskiego z Kukowa, który wraz z koźmi musiał pozostawać w Augustowie.

W mieście natomiast przeprowadzano aresztowania. Były one skierowane przeciw bardzo szeroko na tym terenie rozprzestrzenionej Armii Krajowej. Na terenie miasta i całego powiatu, w czasie okupacji, nie działały żadne inne organizacje i tajne związki poza AK. Nie było też nawet śladu działalności komunistycznej. Pacyfikujący Augustów mieli na celu "uciszyć" ten nadal zakonspirowany, nieprzychylny dla Ruskich, nastawiony prołondyńsko, element. Wszystko jednak wskazuje, jak to wspomina Ojciec, że działania te były prowadzone bez rozeznania i tylko przypadkowo natrafiano na ludzi, przeciw którym była skierowana pacyfikacja. Niemniej jednak ludzie, których wtedy zabrano, nie powrócili do swoich domów już nigdy.

Około 10 sierpnia podjęliśmy z Babką próbę wyjścia z miasta. Na rogatkach miasta, w końcu ul. Krakowskiej, stał żołnierz z "pepeszą". Kiedy zbliżyliśmy się do niego, on rozkazał:

- stoj, kuda wy?

Oświadczyliśmy, że idziemy do domu i pokazaliśmy dokumenty. Mieliśmy, wystawione przez gminę, zaświadczenia pisane w dwóch językach, tzn. polskim i rosyjskim, stwierdzające, że jesteśmy mieszkańcami wsi Bargłów. Oczywiście na tych dokumentach, pod tekstem, widniał odcisk okrągłych pieczęci z orłem, które, według obowiązujących wówczas wymogów, uwiarygodniały dokument. Ja ponadto wylegitymowałem się zaświadczeniem ze szkoły, też w dwóch językach stwierdzającym, że jestem uczniem tej właśnie szkoły.

Tłumaczyliśmy się, że Babka wraca do domu, a ja, korzystając z wakacji, idę odwiedzić rodziców. Kontrolujący nas żołnierz uznał nasze dokumenty za wiarygodne, tłumaczenie nasze przyjął za prawdopodobne, bo machnięciem ręki w kierunku, w którym szliśmy oraz słowem "paszli", zezwolił nam pójść. Byliśmy szczęśliwi.

Trzyście kilometrów marszu i znaleźliśmy się w Bargłowie.

W domu zastaliśmy wszystko w porządku. Rodzice bardzo ucieszyli się z naszego powrotu.

Trzy tygodnie tych skróconych, pierwszych po wojnie wakacji, minęły bardzo szybko i trzeba było wracać do szkoły. Robiłem to niechętnie. W domu było tak dobrze, spokojnie i cicho. Ojciec był co prawda bardzo zaabsorbowany gminą, ale na każdym kroku czułem opiekuńczą troskę Matki, czego najbardziej brakowało mi w Augustowie i do czego, w czasie dalszego tam pobytu, tęskniłem.

W dalszym ciągu zamieszkałem w Augustowie u ciotki Karpowej. W międzyczasie Ojciec postarał się o odremontowanie rozbitego domu ciotki. Posłużyły do tego deski podłogowe, które pozostały po naszym przedwojennym domu, częściowo drzewo, które zorganizowaliśmy w pierwszych dniach po wyzwoleniu oraz blacha na pokrycie częściowo rozbitego dachu, kupiona za samogonkę od żołnierzy ^{wiosną} z Prus Wschodnich "trafiei".

Ojciec zorganizował mi też, w podobny sposób /butelka samogony, żołnierze z "trafiejami"/, rower. Miałem już wtedy ułatwiony kontakt z domem. Gnany tęsknotą do domu, w każdą sobotę po lekcjach, jechałem tam rowerem. Wracałem do Augustowa dopiero w poniedziałek rano. W domu tak było dobrze!

We wrześniu rodzice zmienili miejsce zamieszkania, przeprowadzili się do opuszczonego przez folksdeutscha Mulewskiego domu. Mulewski, był to Polak z dziada, pradziada, który w czasie okupacji niemieckiej pełnił obowiązki furmana ~~komisarza~~ /niemiecki wójt/ i podpisał folslistę. Teraz musiał za to zapłacić. Odebrano mu dom i musiał z tego terenu uciekać.

Teraz warunki mieszkaniowe w domu były dobre. ~~Rodzice zajmowali~~ Rodzice zajmowali dwa pokoje, trzeci pokój zajmowała teściowa Mulewskiego, Korzeniecka z synem, kuchnia była wspólna.

Ja, mieszkając w Augustowie, odbywałem swoje cotygodniowe jazdy do domu. Czekałem na sobotę, ażeby, zaraz po lekcjach, pojechać. Po prostu "spalata" mnie tęsknota do domu. Demobilizowało mnie to bardzo i przeszkadzało w nauce.

Tymczasem w szkole nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora. Wyjechał Wołosewicz, a funkcję tę objął Ludwiński. Był to człowiek raczej niewysoki, z łysiejącą czupryną i zawsze, pamiętam, chodził w skrzypiących butach. Wydawało mi się, że jest groźny, ale jednocześnie trafiający jakoś do serca. U nas nie prowadził żadnych zajęć, ale lubiłem, jak pod nieobecność któregoś z nauczycieli, przychodził do nas w zastępstwie. Przynosił wtedy ze sobą jakąś bardzo ciekawą

książkę, której fragmenty czytał. "Dziadostwo umysłowe", mawiał czasami o nas, ale myśmy to odbierali jako określenie wypowiediane z "przymrużeniem oka".

Ludwiński kierował szkołą przez dwa kolejne lata szkolne. W tym właśnie czasie miało w szkole miejsce wiele różnych wydarzeń artystycznych inspirowanych i kierowanych przez dyrektora. Były to wydarzenia mające mało wspólnego z polityką, z "utrwalaniem władzy ludowej", które na zewnątrz dokonywało się. Szkoła była, kiedy teraz po latach przypominam te czasy, taką wyizolowaną oazą z politycznych napięć i tych wszystkich bezceństw, które gdzieś tam na zewnątrz się działy. Była to przysłowiowa cisza przed burzą, która miała w następnych latach natąpić.

Największym chyba wydarzeniem w tym czasie w szkole było wystawienie przez młodzież komedii Aleksandra Fredry "Damy i huzary". Oczywiście inspiratorem, organizatorem i reżyserem był pan Ludwiński. Ile to kosztowało wysiłku! Zobaczyliśmy wreszcie na scenie sali teatralnej, wystawione jak w prawdziwym teatrze, "Damy i huzary".

Ja w przedstawieniu tym nie brałem udziału, nie miałem nigdy predyspozycji aktorskich. Pamiętam, majora kreował wspaniale Zdzisio Falicki /maturę zdawał chyba w 1948 r./. Z naszej klasy udział w tym przedstawieniu brali: Romek Stankiewicz - Rembo, Leszek Kopiczyński - Grześ, Michał Lekszycki - kapelan, Marian Błachno, no i dziewczyny, które powinienem był wymienić na wstępie: Jasia Roszkowska i Marysia Potapowiczówna.

"Damy i huzary" - było to wydarzenie w szkole pierwszej wagi. Następną była "Zemsta". Próby były już na ukończeniu, ale, o ile pamiętam, do wystawienia tej sztuki w pełnej gali nie doszło. Zdecydowały o tym jakieś, tajemne dla mnie w tym czasie, siły. Pan Ludwiński odszedł, jego miejsce objął Ludwik Jaworski, przedwojenny nauczyciel szkoły, komunista /utopiiny rzecz można/, nastąpiły zasadnicze prze-wartościowania, rozpoczęła się "szkoła nowego".

Na razie byłem uczniem drugiej klasy, która funkcjonowała jak *ba* każda inna w normalnych warunkach. Byli uczniowie bardzo dobrzy, którzy zawsze wszystko umieli, byli słabsi i całkiem słabi, jak zresztą w każdej klasie.

Pamiętam takie komiczne wydarzenie. Geografię prowadził u nas pan Kacper Rogowski. Na jednej z lekcji pytał między innymi, jak nazywają się stolice poszczególnych państw europejskich. Pytanie to pan Rogowski skierował do jednego z kolegów, który raczej orłem nie był. Nauczyciel podawał państwa, a wzywany do odpowiedzi uczeń musiał podawać nazwy ich stolic. Wszystko było dobrze, gdy chodziło o Związek

Radziecki, Polskę, Czechosłowację, Niemcy, Francję, ale jak doszło do Holandii, biedny chłopak zaczął rozpaczliwie machać ręką za plecami, domagając się od kolegów podpowiedzi. Siedzący za nim w ławce Leszek Kopiczyński podpowiedział "dla kawału" - Madagaskar. Biedny chłopak powtórzył to głośno. Kacprowi o mały okulary nie spadły z nosa, a klasa miała ogromną uciechę.

Dookoła działały się jednak różne, charakterystyczne dla tego okresu, rzeczy. Przede wszystkim dawały o sobie znać pozostałości działań wojennych. Nie do rzadkości należał widok, kiedy to zrozpaczona rodzina przywoziła furą do szpitala pokaleczonego chłopca. Szpital mieścił się początkowo w budynkach przy ul. 3-go Maja, vis a vis przedwojennego kina, później przeniesiono go do budynku szkolnego, na zarzeczu, niedaleko Gimnazjum. Bóg wojny zbierał nadal obfite żniwo.

W Augustowie stacjonowali w tym czasie polscy żołnierze, którzy intensywnie pracowali nad rozminowaniem okolicznych terenów. Zdarzało się, że któryś żołnierz ginął przy tej bardzo niebezpiecznej robocie - urządzano mu wtedy uroczysty pogrzeb.

Można wtedy bało zobaczyć wśród tych żołnierzy księdza Kapelana, nic to mnie nie dziwiło, nie wyobrażałem sobie inaczej. Można było zobaczyć tych żołnierzy idących zwartą kolumną do kościoła. Rano i wieczorem, na apelach słyszało się rozkaz "do modlitwy". Zdejmowali wtedy czapki z głów, odmawiali pacierz, a potem śpiewali:

"Pod Twą obronę Ojczyzna na niebie,
Grono Twych dzieci swój powierza los.
Ty nam błogosław, ratuj w potrzebie
I broń od zguby, gdy zagraża cios".

Ale byli wtedy też i inni żołnierze. Też chodzili w mundurach wojskowych i stacjonowali, a raczej "urzędowali" u "Turka" - był to budynek, gdzie przed wojną Turek prowadził cukiernię. Teraz mieścił się tam powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Z tym wojskiem miałem w przyszłości zapoznać się bliżej.

Zdarzały się też w tym okresie uroczyste pogrzeby z orkiestrą i przemówieniami. Tak grzebani byli ludzie, którzy, jak to się wtedy mówiło, ^{brali} usiłowali władzę ludową i ginęli od kul bandytów /tych przeciwnych władzy ludowej/. Takie to były czasy.

Był to też czas powrotów i odnajdywania się. Przede wszystkim powracali z Syberii ludzie tam wywiezieni w latach 1940-41. Były rodziny takie, które wracały z tej koszmarnej podróży w komplecie, ale wielu było takich, którzy na tych właśnie szlakach złożyli swoje

kości na wieki. Z moich najbliższych przyjaciół na przykład Lubek Karpio pozostawił tam siostrę, a Stasio Połubiński siostrę i ojca. Nadawałem się z ich powrotu, opowiadaniom nie było końca, przeważnie opowiadali oni o swoich tam przyżyciach, ja słuchałem.

Powracali też ludzie z "zachodu". Coraz częściej widywało się mężczyzn, którzy w charakterystycznych mundurach, najczęściej w beretach na głowie, paradowali po mieście.

Wracali polscy oficerowie, którzy wojnę przeżyli w niemieckiej niewoli. Wrócił, między innymi, z oflagu pan Edward Rzepecki do swojej siostry, która mieszkała w domu przy ul. Nowomiejskiej, vis a vis domu ciotki. Pan Edzie, jak go ciotka nazywała, natychmiast rozpoczął pracę w naszej szkole. Zorganizował gimnazjum dla spóźnionych, gdzie w przeciągu dwóch lat przerobiono program czteroletni w zakresie tak zwanej wówczas "małej matury".

To właśnie "przyspieszone nauczanie" przeszedł, po powrocie z Syberii, Lubek Karpio. Dzięki temu mogliśmy spotykać się razem w liceum i razem zdawać maturę.

Miały też miejsce nasze rodzinne, powojenne odnalezienia się. Przede wszystkim nawiązaliśmy kontakt z mieszkającą w Chicago siostrą Ojca. O nią i jej rodziny los byliśmy zupełnie spokojni, bo na terenie Stanów Zjednoczonych nie było przecież żadnych działań wojennych, nikt z jej najbliższej rodziny nie podlegał służbie wojskowej. Już potem okazało się, że Ojca stryjeczny brat Franek Poziemski zginął na terenie Francji, jako żołnierz amerykański.

Wielką radość sprawiła nam wiadomość pochodząca od Heronima z Anglii. Przez Zaleszczyki, Rumunię, Francję, dostał się do Anglii. Jako mechanik lotniczy przesłużył w polskim wojsku całą wojnę. Heronim, najmłodszy brat Ojca, był tylko dziesięć lat ode mnie starszy. Miał on tylko dwa lata, kiedy zmarł dziadek Poziemski, a cały trud jego wychowania spadł na Ojca, jako najstarszego w rodzinie. Nic więc dziwnego, że traktowałem go jako swego starszego brata. Stanowił on mi zawsze wzór do naśladowania. Byłem dumny z jego wojennych przeżyć.

Przyszły też wiadomości od brata Mamy, wuja Józefa Krzesickiego. Służył on przed wojną parę lat w policji. Nic więc dziwnego, że w 1940 roku został przez NKWD aresztowany i osadzony gdzieś w głębi Rosji w więzieniu. Dostał się do Armii Andersa. Następnie, przez Persję, Palestynę, Afrykę do Włoch, gdzie stracił nogę i zakończył swoją wojaczkę. Teraz był w Anglii i nie zamierzał do Kraju wrócić.

Ogromnie ucieszyła mnie też wiadomość pochodząca od mego ciotecznego brata, Stefana Krzesickiego, syna wuja Józefa /Ziuńka, jak go

w rodzinie nazywano. Starszy ode mnie kilka lat Stefan już przed wojną był uczniem Gimnazjum w Grajewie. W 1939 roku, wraz z całą patriotyczną młodzieżą, zaczął konspirować. Osadzony przez NKWD w więzieniu. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, w czerwcu 1941 r., wyszedł z więzienia w Białymstoku. Ale Niemiec też był wrogiem, Stefan cały czas pamiętał o swoim obowiązku Polaka, konspirował dalej. Tym razem został aresztowany przez Gestapo i w konsekwencji znalazł się w obozie koncentracyjnym. Wyzwolili go w 1945 roku Amerykanie. O powrocie do Polski też na razie nie myślał.

III. ZHP

Wakacje w 1946 roku spędziłem w domu. Wyjeżdżałem kilka razy do Ełku, gdzie mieszkały ciocia Krzesicka ze swoją córką, a moją cioteczną siostrą, Heleną. Wujek Ziuniek i Stefan nie zapowiadali powrotu do Kraju, Helena, pracując, uzupełniała swoje średnie wykształcenie w szkole wieczorowej, a ciocia prowadziła gospodarstwo domowe. Nie było wtedy żadnej bezpośredniej komunikacji. Trzeba było pieszo iść do Borzym /to już były ziemie odzyskane/, a stamtąd bardzo powoli jadącą kolejką wąskotorową dojeżdżało się do Ełku.

Pamiętam, przy którymś wizycie w Ełku widziałem taki obrazek: ulicą, a właściwie chodnikiem uciekał jakiś młody człowiek z gołą głową i w wojskowej marynarce. Za nim biegli dwaj wojskowi, jeden z nich strzelał do góry i krzyczeli:

- Złodziej, złodziej! Trzymajcie złodzieja!

Nikt jednak nie usiłował zatrzymać uciekającego, przechodnie szybko schodzili z drogi.

- Nikt nie wie, jaki on złodziej i jacy są oni wojskowi - pomyślałem szybko chowając się do najbliższej bramy.

Z początkiem września rozpocząłem nowy rok szkolny, byłem już uczniem trzeciej klasy. Od tego czasu zamieszkałem u państwa Kierklów. Pan Władysław podjął pracę w starostwie w Augustowie, cała rodzina w związku z tym przeprowadziła się i zamieszkała w domu położonym tuż przy gimnazjum.

W szkole tymczasem mówiono o zakładaniu nowych organizacji. Ktoś tam usiłował zorganizować OMTUR, ktoś inny mówił o "Wici". Działo już harcerstwo, które najbliższe było memu sercu. Mundur, krzyż harcerski, rogatywka na głowie, wojskowe komendy, wszystko to mi odpowiadało, nawet bardzo. Zawsze żałowałem, że byłem za mały i nie mogłem wraz ze starszymi brać udziału w wojnie. W harcerstwie upatrywałem namiastkę tego wszystkiego, czego nie mogłem doświadczyć.

Postanowienie było nieodwołalne i jeszcze przed rozpoczęciem

roku szkolnego, dnia 25 sierpnia 1946 roku wstąpiłem do ZHP. 5-go października tego roku uzyskałem stopień młodzika. Pamiętam, jak to poważnie wyglądało. Komisja, meldunki, pytania, odpowiedzi. Trzeba było stanąć na baczność, zameldować się i wykazać się znajomością harcerskich tajników, które przedtem trzeba było dokładnie poznać. Bardzo poważnie to traktowałem i przeżywałem.

Autorytetami, które oceniały moją wiedzę byli, jak pamiętam: Komendant Hufca Augustów, druh Leon Paszkiewicz /ojciec jego, inżynier rolnik, pracował w starostwie i był rodzonym bratem generała Paszkiewicza, który w owym czasie wrócił z Zachodu do Kraju; Sam druh Leon był, w moim pojęciu, już starszym facetem, był bowiem żonaty i miał małą córkę/, druh Tymoteusz Basiński /uprawiał zawód fotografa i z tego utrzymywał rodzinę, potem uczył się w Technikum Budowlanym w Białymstoku/, druh Wysocki /był woźnym w szkole; jako instruktor harcerski - podharcemistrz, bardzo udzielał się w ZHP/.

No i wreszcie, 10 listopada 1946 roku, dzień ten będę pamiętał do śmierci. Pochylony sztandar, na nim złożone dwa palce prawej ręki, postawa na baczność, obok stojący ksiądz podharcemistrz Franciszek Miklaszewski /wtedy także nasz prefekt/. Przysięga harcerska, której rota brzmiała, jak ją sobie zapamiętałem: "mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętnie pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu!"

Na początku 1947 roku dostałem "książeczkę służbową" seria XLIII Nr 0012, podpisaną przez Komendanta Białostockiej Chorągwi Harcerzy, druha harcemistrza Stanisława Moniuszko w dniu 31 grudnia 1946 roku oraz krzyż harcerski seria XXX L 33. Dzisiaj, kiedy mając już siwą głowę patrzę przez okulary na ten mój harcerski krzyż, w uszach dźwięczy mi fragment słów piosenki, którą kiedyś tak lekko się śpiewało:

"... po latach, które przeminą,
harcerski zostanie krzyż..."

Cały rok 1946/47 upłynął w zasadzie pod znakiem harcerstwa. Dziewczyny miały swoją, żeńską drużynę w naszym Gimnazjum. Nasza, męska drużyna nosiła Nr 3, a za patrona obraliśmy króla Władysława IV, drużyna nasza nazywała się także drużyną Wodną, a nasz patron był królem, w okresie panowania którego wiele uwagi poświęcano morzu.

Taki właśnie wodny charakter drużyny spowodował, że nosiliśmy harcerskie mundurki nieco zmodernizowane. Były to normalne mundury harcerskie, do których zamiast chusty nosiliśmy kołnierze marynarskie, a zamiast rogatywki czapki marynarskie z kozerkami, podobne do czapek, które noszą oficerowie marynarki. Wszystkie pozostałe elementy /krzyże, lilijki, sznury, tarcze z herbem Augustowa, spraw-

ności/ były takie, jak u wszystkich harcerzy. Ładnie te nasze mundury wyglądały i chętnie w nich paradowaliśmy po mieście.

Jeden z moich pierwszych występów w szyku harcerskim był związany z uroczystościami powitania w Augustowie pierwszego po wojnie pociągu, który przybył po odbudowaniu linii kolejowej z Suwałk. Staliśmy wtedy w szyku na peronie, były przemówienia, był chyba minister.

Ponieważ byliśmy drużyną wodną, trzeba było zająć się zorganizowaniem, odbudową i budową sprzętu pływającego. Pamiętam, całą niedzielę poświęciliśmy na wydobycie z dna jeziora Białego, zatopionej kilkanaście metrów od brzegu, dużej żaglówki z kilem. Z wielkim trudem wyciągnęliśmy ją na brzeg, prowizorycznie załataliśmy otwór w dnie. Przecholowaliśmy ją następnie przez Klonownicę, jezioro Necko i rzekę Nette do przystani /tzw. Spartak/. Tutaj ją, po pewnym czasie, wyremontowaliśmy i uroczystie nadaliśmy jej imię "Puella" /wiadomo, dziewczyna po łacinie/. Była to nasza pierwsza duża jednostka pływająca.

Druga z kolei żaglówka, już mniejsza, nosiła nazwę "Atom", pamiętam, była bardzo wywrotna. Potem przyszały inne jednostki żaglowe i wiosłowe. Chętnie pracowaliśmy przy ich odbudowie, drobnych naprawach, remontach i konserwacji.

Poza naszymi gimnazjalnymi drużynami, w mieście działało jeszcze kilka innych drużyn. Były to drużyny z innych szkół. Odnosiło się wrażenie, że całe miasto jest pełne harcerzy. Bardzo często jakaś drużyna, ze śpiewem, w szyku, czwórkami, przechodziła przez miasto. Zdawało się, że dwie lub więcej drużyn robiło to.

Całe miasto rozbrzmiewało harcerskim śpiewem, ze śpiewem lepiej się maszerowało. Najczęściej były to piosenki harcerskie, chociaż były i np. takie:

Już zachodzi czerwone słońeczko
za zielonym gajem
Ubodzy powstańcy, ślascy wojownicy
idą na bój krwawy

albo

Hej po polu dmie wichura
Błoto, słota, istny kram
Lecz co znaczy dla piechura
Choćby nawet diabeł sam.

Często zdarzało się, że maszerowaliśmy poza miasto, gdzie w okolicznych lasach organizowaliśmy podchody czy inne zabawy. Jak wspaniale maszerowało się czwórkami, ze śpiewem, na przykład:

Jak dobrze nam zdobywać góry
I młodą piersią wchłaniać wiatr
Prężnymi stopy deptać chmury
I palce ranić ostrzem skał.
Hejże hej, hejże ha,
Żyjmy więc, póki czas,
Bo kto wie, bo kto wie,
Kiedy znowu ujrzym was.

Wspaniale brzmiała druga zwrotka tej piosenki, kiedy wieczorem wracało się do domu:

Jak dobrze nam głęboką nocą
Wędrować jasną wstęgą szos,
Patrzeć, jak gwiazdy niebo złocą
I czekać, co przyniesie los.

Urządzaliśmy też krótkie biwaki. Szło się w określone miejsca z całym majdanem, częściej majdan jechał transportem wodnym, rozbięto się namiot, organizowało różne zajęcia często związane ze zdobywaniem sprawności, przygotowywało się wyżywienie. W niedzielę na wieczór, pełni wrażeń wracaliśmy do domów.

Duże, wojskowe namioty otrzymaliśmy z demobilu, podobnego pochodzenia było pozostałe wyposażenie obozowe. Artykuły żywnościowe, jak konserwy, a przede wszystkim sproszkowane zupa grochowa, której wspaniały smak pamiętam jeszcze do dzisiaj, pochodziły z dziękującej po wojnie UNRRA. Pamiętam taki biwak za jeziorem Białym, kiedy wypadło mi po raz pierwszy w życiu stać na warcie w nocy, w czasie między godz. 24-tą o 2-gą. W namiocie spała smacznie cała drużyna, las huczał tajemniczo, było ciemno, a ja sam stałem z kijem przed wejściem do namiotu. Jakoś było mi "nieswojo", czas dłużył się, czasami wydawało mi się, że z głębi lasu coś skrada się w kierunku namiotu, chciałem wszcząć alarm. Przemogłem jednak strach. Oswoliłem się wreszcie i nawet kilka razy przeszedłem dookoła namiotu, co prawda z duszą na ramieniu.

Niezapomnianych wrażeń dostarczały ogniska harcerskie, na które poza nami przychodzili także mieszkańcy miasta. Płonące ognisko, otoczone dokoła pierścieniem młodzieży, a na zewnątrz szumiący, ciemny las. Tradycyjnie zaczynało się pieśnią:

Płonie ognisko i szumią knieje,
Drużynowy jest wśród nas.
Opowiada starodawne dzieje,
Bohaterski wskrzesza czas.
Kaźda twarz się w uniesieniu płoni,

Każdy laskę krzepko dzierży w dłoni,
A ponad nami wiatr szumi, wieje
I dębowy huczy las.

Potem wspólne śpiewy, występy poszczególnych drużyn i zastępów, które przygotowały różne monologi, skecze, piosenki lub inne atrakcje. Po występach jednej grupy, inne chwaliły jej produkcję okrzykami:

Brawo, brawo, brawissimo,

albo

Ale wyją, ale wyją, ale wyjątkowo ładnie

albo

Tomachołem - równo, tomachołem - sztywno,
tomachołem równo, sztywno, z bukietem w rękę,
ita, ita, siółem, machołem laj, laj, laj,
talili laj, laj, laj, talili laj,

albo jeszcze jakiś inny okrzyk rozchodził się po lesie.

Było cudownie, wszyscy czuliśmy się jakoś zjednoczeni, stanowiliśmy jedną, całą, zwartą rodzinę.

Wreszcie czas ognisko kończyć, wtedy rozbrzmiewało tradycyjnie:

Już do odwrotu głos trąbki wzywa,

Alarmując ze wszech stron.

Staje wiara w ordynku szczęśliwa,

Serca biją zgodny ton.

Każda twarz się w uniesieniu płoni,

Każdy laskę krzepko dzierży w dłoni,

A z młodzieńczej się piersi wrywa

Pieśń potężna, pieśń jak dzwon

Potem wszyscy stojąc i trzymając się za ręce:

Idzie noc, słońce już

Zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz.

W cichym śnie spocznij już

Bóg jest tuż, Bóg jest tuż.

I jeszcze to samo murmurando.

Wszyscy rozchodzą się w milczeniu i głębokiej zadumie, wzmocnieni na duchu, spokojni, zespoleni. Jest cudownie.

W każdą niedzielę obie nasze gimnazjalne drużyny wchodziły przede mszą szkolną do kościoła, gdzie zajmowaliśmy w zwartym szyku miejsce na środku nawy głównej. Kulminacyjnym punktem mszy było zawsze odśpiewanie na jej zakończenie modlitwy harcerskiej. Pełnym głosem śpiewaliśmy:

Ojcie

O Panie Boże nasz
W opiece Swej nas miej
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz
Nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując chcemy żyć
Harcerskim prawem w życia dniach
Wiernymi zawsze być.

W szkole tymczasem życie płynęło bez specjalnych zakłóceń. Trzeba było odrabiać lekcje, odpowiadać na pytania nauczycieli, otrzymywało się oceny nie zawsze pozytywne, te złe trzeba było poprawiać. Jak to w każdej normalnej szkole.

Pojawili się nowi nauczyciele. Przede wszystkim lekcje łaciny z początkiem roku 1946/47 zaczęła prowadzić przedwojenna nauczycielka tego przedmiotu, pani Czesława Bielawska. Była to samotna kobieta, mieszkała w budynku szkolnym, w jednym z pokojów. Pamiętam, że była przesądna, nie lubiła piątek i daty trzynastego, a kiedy trzynastego wypadało w piątek byliśmy pewni, że nie będzie pytała. Lubiła jubileusze, numerowaliśmy w zeszytach lekcje, szczególnie uroczysto obchodziliśmy 25-tą i 50-tą lekcję. Miała orli nos i była podobna do Rzymanki, chociaż była blondynką. Miała bardzo szerokie wiadomości, także historyczne, które umiejętnie nam przekazywała, co uatrakcyjniało prowadzone przez nią lekcje. Przekazywała nam wiele przysłów łacińskich i powiedzonek ludzi sławnych, nauczyła nas wiele piosenek. Polubiłem łacinę, chociaż wtedy nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę. Dzisiaj, po wielu latach, tkwią nienaruszone w mojej pamięci te przysłowia, wiersze, piosenki, fragmenty prozy, których się wtedy uczyłem na pamięć.

Pamiętam na przykład początkowy fragment słynnej mowy w Senacie Cicerona przeciwko Catilinie, a gdy na początek roku akademickiego śpiewa się "Gaudeamus", to zawsze staje mi w pamięci pani Bielawska i początkowy polski tekst tej pieśni, którego ona nas nauczyła:

Gdy wierzorem marzę sam,
To w mej wyobraźni,
Stają widma młodych lat,
Szczęścia i przyjaźni.
Gwar wesołych, młodych słów
W głowie mej się cieśni,
Zda się słyszę z dala ton
Ulubionej pieśni:

Gaudeamus igitur
Juvenes dum sumus...

Nawet nie pomyślałem wtedy, że po latach wielu, kiedy pani Bielawskiej nie będzie już wśród żywych, z łezką w oku będę wspominał tę pieśń.

Pracę w szkole podjęła też pani Lidia Pinsker, która przyjechała do Augustowa wraz z matką. Były to Żydówki, nie wiem jak i gdzie przeżyły wojnę. Zamieszkały w budynku szkolnym, w dwóch pokojach położonych po przeciwnych stronach korytarza. Właściwie mieszkały w jednym pokoju, gdzie między innymi było pianino. Często słychać było poważne melodie, pani Lidia była bowiem muzykalna, szczególnie lubiła grać Chopina. Drugi pokój spełniał rolę spiżarki i był przez nas zwany "cebulnik". Pani Lidia prowadziła język francuski i rosyjski. Była to pani, która nie zawsze przywiązywała, a raczej nie przywiązywała wagi do ubioru. Można było na przykład zobaczyć, jak była ubrana w dwa różne papucie lub jak z papucia wystawała i ciągnęła się za nim szmata.

Kiedys, dla draki, przed lekcją języka francuskiego, koledzy natarli tablicę cebulą, bo to Żydówka powinna lubić ~~więc~~ zapach cebuli, a to powinno poprawić jej humor. Pani Lidia prowadziła lekcję bez zakłóceń, tylko trochę ślizgała się kredą po tablicy. Następną lekcją była matematyka i przyszła na nią pani Mikołajewska. Po wejściu do klasy, zatrzymała się przy drzwiach i stwierdziła:

- tu śmierdzi, ja w takich warunkach nie będę prowadziła lekcji -

i wyszła. Mieliśmy sporo kłopotów, musieliśmy potem panią Mikołajewską przeproszać.

Historię objął pan Aleksander Frąckiewicz, historyk z wykształcenia, posiadający wielkie zdolności plastyczne. Wielki romantyk, zapamiętałem go jako wspaniałego człowieka. Zawsze bardzo gładko uczesany, wydawało się nam, że jest bardzo czuły na dziwczęce wdzięki. Lekcje prowadził ciekawie i bardzo zajmująco. Fakty historyczne, szczególnie dotyczące naszej historii wieków XVIII - XX, podawał z wielkim osobistym zaangażowaniem. Czuło się, jak przeżywa nasze narodowe klęski i jak cieszy się kiedy mówi o tym jak sprawy polskie zwyciężały. Często lekcje ilustrował fragmentami książek, których akcje dotyczyły omawianych okresów historycznych. Dzięki właśnie panu Aleksandrowi polubiłem historię i ta miłość pozostała do śmierci.

Był pan Aleksander wielkim romantykiem, jak już się powiedziało. W ostatnich latach przed maturą, w czasie tych trudnych lat, które niebawem nadeszły, był naszym wychowawcą. Zaprzyjaźniliśmy się, bardzo go lubiliśmy, chociaż nigdy nie doszło do zwierzeń z tych okrop-

nych chwil, które przeżywaliśmy. Opowiadał nam natomiast o swoich młodzieńczych przeżyciach, o tajnej organizacji, którą założyli, a która nic z polityką wspólnego nie miała. Nazywała się ona KATEŻE. Nazwa ta była skróttem pochodzącym od słów: "Kochać, to żyć", z niej wynikał charakter organizacji.

Państwo Frąckiewiczowie mieszkali na terenie budynku szkolnego, a żona pana Aleksandra, pani Halina, była szkolną higienistką.

Wrócił też z obozu koncentracyjnego Ludwik Jaworski, biolog, przedwojenny komunista i nauczyciel tej szkoły. W swoich przekonaniach, które teraz nieskrępowanie mógł wyznawać, wręcz demonstracyjnie dawał upust swoim utopijnym poglądom, które cechował infantyizm. Jego poglądy i wręcz nieżyciowe, pozbawione rzeczywistych podstaw pojmowanie nowego ładu, który właśnie kształtował się, w najbliższych latach miały w znaczący sposób zaważyć na naszym wychowaniu.

Przede wszystkim Luis, jak go wtedy nazywaliśmy, ogród dzkolny podzielił na działki, które przydzielał poszczególnym klasom. Według stanu tych działek oceniał uczniów klasy, przy czym decydujący wpływ na ocenę miało osobiste zaangażowanie ucznia w pracę nad pielęgnowaniem rosnących tam roślin. Nigdy nie miałem szczególnych w tym kierunku zainteresowań, ale dzisiaj, po latach stwierdzam, że to właśnie Luis nauczył mnie, między innymi, nie lubić botaniki, biologii oraz uprawy roślinek.

Luis zamieszkał na terenie budynku szkolnego i z początkiem roku szkolnego 1947/48 objął dyrekturę szkoły po panu Ludwińskim. Nadchodziły ciężkie czasy.

Na świecie i w Polsce działy się różne rzeczy dziwne, dla mnie nie zawsze zrozumiałe. Nie mogłem pojąć, dlaczego naszą Polskę tak po wojnie okrojono terytorialnie. Zachodnie Ziemie Odzyskane oraz Warmia i Mazury musiały nam przypaść. Nikt nam nie robił łaski, walczylśmy przecież z hitlerowskimi najeźdźcami najdłużej, wyszliśmy z wojny jako państwo zwycięskie i z tego powodu należały się nam profity, w dodatku, że chodziło tu o nasze historyczne ziemie, przed wiekami nam odebrane. Ale dlaczego odebrano nam Lwów i Wilno, miasta pełne naszej polskiej kultury, jak Polska będzie teraz funkcjonowała bez tych miast? W dodatku o tej stracie nawet wspominać nie można było.

Prasa szeroko rozpisywała się na temat imperializmu anglo-amerykańskiego, o miłującym pokój Związku Radzieckim i o Józefie Stalinie, wielkim wodzu, coś tam się działo w Chinach, na terenie Kraju prowadzono walki z bandami, wszystko to jednak w tym czasie nie bardzo do mnie docierało.

Czasem jednak jakieś wydarzenia docierały do mojej świadomości. W końcu marca 1947 r. zobaczyłem na urzędach państwowych opuszczone do połowy masztów flagi państwowe przepasane czarnymi wstążkami. Dowiedziałem się, że to w związku ze śmiercią jakiegoś polskiego generała, który nazywał się Swierczewski i zginął gdzieś na południu Polski w walce z bandami. Wtedy pierwszy raz o nim usłyszałem.

Jak gdyby "obok" przeszły też takie wydarzenia, jak referendum w czerwcu 1946 roku i pierwsze po wojnie wybory, w styczniu 1947 r. Pamiętam plakaty "3 X tak Polaka znak". W dniu wyborów natomiast wieczorem wracałem z miasta do domu na Żarzecze. Było już ciemno, szliśmy chyba z Rajmundem Sadowskim przez służbę. Po minięciu młyna wodnego zostaliśmy przez patrol zatrzymani i wylegitymowani.

Wydarzeniem, które głęboko przeżyłem była amnestia. W ostatnim dniu wyznaczonego terminu ujawniania się, wkroczył do miasta w szyku i z pełnym uzbrojeniem oddział z lasu. Były jakieś przemówienia, była uroczysta msza w kościele, a potem partyzanci ci, bo nie byli to w moim pojęciu bandyci, dokonali aktu ujawnienia i złożyli broń.

W tym właśnie dniu ujawnił się też i mój Ojciec. Ojciec w czasie okupacji był bardzo zaangażowany w działalność konspiracyjną w AK. Wiedziałem o tym, przez nasze mieszkanie przechodzili różni, związani z konspiracją, ludzie. Nie sposób było tę Ojca działalność ukryć przed dorastającym chłopcem, który przed wojną ukończył dwie klasy i miał wszczepioną miłość do Ojczyzny zarówno przez Rodziców, jak też wychowawcę, wielkiego patriotę, pana Józefa Samotyho, oraz miał świadomość utraty niepodległości, czuł potrzebę walki z okupantem i wierzył w zwycięstwo. Po wojnie jednak nie mieszkałem w domu, nie widziałem Ojca na codzień i nie bardzo wiedziałem, czy to zaangażowanie ustało, czy też trwa nadal. Nigdy Ojciec ze mną na ten temat nie rozmawiał. Domyślałem się, że coś tam chyba nielegalnego w stosunku do władz się dzieje, ale nie byłem pewny.

Ojciec przez cały czas sprawował funkcję wójta. Utrzymywał bliskie stosunki z księdzem Wincentym Gogasem, który od lipca 1945r. był proboszczem w Bargłowie. Były to zarówno kontakty towarzyskie, jak również, ~~Ojciec~~ o czym wiedziałem, Ojciec był zaangażowany w pomoc przy budowie zniszczonego kościoła. Ojciec witał też, w imieniu administracji terenu, wizytującego parafię biskupa. ✓

Wiedziałem też, że na początku 1947 r. był aresztowany przez UB pan Niedźwiedzki, mąż mojej nauczycielki z okresu okupacji, ówczesny kierownik szkoły w Bargłowie. O działalności Ojca i powiązaniach z Niedźwiedzkim i innych sprawach dowiedziałem się dopiero później.

Ujawnienie Ojca było swego rodzaju sensacją w Augustowie - jeszcze przed kilkoma miesiącami oferowano przeciw Ojcu stanowisko starosty w Godapi~~ż~~, którego oczywiście nie przyjął. Nie wiedziałem, co z tego wyniknie, obawiałem się o dalszy los Ojca.

Nadchodzące jednak miesiące miały mnie całkowicie zaabsorbować sprawami harcerskimi, co odwróciło znowu moją uwagę od tych wydarzeń. Zbliżały się bowiem wakacje 1947 roku, najbardziej harcerskie wakacje w moim życiu. Kończyłem już trzecią klasę Gimnazjum. Już nieprzytomnie ^{nie} tęsnikiem do domu, a Bargłów nie był już najcudowniejszym miejscem na kuli ziemskiej. Koleżanki, koledzy, przyjaźnie - nie byłem już tym "nowym" w klasie chłopakiem ze wsi. Zbliżające się wakacje zapowiadały się bardzo atrakcyjnie. Mogłem uczestniczyć w dwóch obozach harcerskich. Rodzice to zaakceptowali. Nie wiem, czy i jakie wiązały się z tym opłaty. Nie pamiętam też dzisiaj, w jaki sposób były finansowane te nasze, harcerskie eskapady. Wiem tylko, że nigdy nie mieliśmy żadnych płatnych kucharek, intendentów, zaopatrzeniowców. Zawsze byliśmy sami i dawaliśmy sobie dobrze radę.

Cały miesiąc lipiec /31 dni/ spędziłem na stałym obozie szkoleniowym. Nosił on nazwę Szkoleniowy Obóz Wodny Augustów, w skrócie SCWA. Był to obóz zorganizowany przez Komendę Hufca i uczestniczyły w nim wszystkie drużyny wchodzące w jego skład. Obóz był zlokalizowany ~~na~~ za Jeziorem Białym, gdzie na lekkim wzniesieniu, wśród ciągle przyjaźnie dla nas szumiących drzew iglastych, były rozbite namioty. Były to duże, wojskowe namioty z demobilu. Każda drużyna miała swój namiot, był namiot gospodarczy i oczywiście namiot komendy obozu. Funkcję komendanta obozu pełnił komendant Hufca, druh Leon Paszkiewicz.

Na brzegu jeziora, w zaimprovizowanym "porcie", kotwiczyla cała chyba "flotylla", jaką wtedy Hufiec dysponował. Korzystając z tego sprzętu przeprowadzaliśmy różnego rodzaju szkolenia. Ponadto organizowane były różne zabawy i gry harcerskie /tzw. podchody/, zbieranie grzybów w celu urozmaicenia kuchni, alarmy nocne, marsze w terenie no i oczywiście ogniska, przygotowywanie programów których zabierało sporo czasu.

Moim osiągnięciem na tym obozie było uzyskanie stopnia "ówik" /stopień "wywiadowca" uzyskałem wcześniej - 16 marca 1947 r./ oraz, po odbyciu odpowiedniej próby, stopnia "sternika łodzi wiosłowej".

Po miesiącu spędzonym na obozie w lesie i kilkudniowej przerwie wyrudziłem na następny obóz, tym razem wędrowny, który trwał 20 dni. Był to obóz, jak się rzekło, wędrowny, po Gorcach, Pieninach i Tatrach. Wzięły w nim udział obie nasze drużyny z Gimnazjum, tzn. żeńska i męska, a komendantem był nasz prefekt, ksiądz Franciszek Mikla-

szewski, podharcemistrz.

Na stacji PKP w Augustowie - Lipowcu postawiono nam zakryty wagon towarowy, którym, wraz z całym swoim majdanem, pojechaliśmy "w Polskę". Rodzice moi należeli do nielicznych odprowadzających. Trochę mi nawet było wstyd, bałem się, żeby mnie nie nazwano "mamin-synkiem".

Wagon nasz zaczepiono na końcu składu, w związku z tym rzucało nim bardzo. Nie przeszkadzało nam to zbytnio.

Po trwającej około doby podróży wagon nasz odczepiono na przystanku Iasek, tuż przed Nowym Targiem. Cały swój majdan przywieziony wagonem załadowaliśmy na góralskie turmanki i przewieźliśmy do, oddalonej o kilka kilometrów, wsi Klikuszowa. Tutaj rozlokowaliśmy się w miejscowej szkole i urządziliśmy bazę wypadową do zaplanowanych wybieczek pieszych.

Z Klikuszową wiążą się cudowne wspomnienia. Przeżywałem je po raz drugi, kiedy w 1970 roku zajechałem samochodem ze swoją rodziną przed ten właśnie budynek. Eza mi się w oku kręciła, kiedy wspominałem tante, już wtedy odległe, lata.

W Klikuszowej zostaliśmy bardzo ciepło przyjęci przez miejscowych górali. Złożyło się na to chyba kilka przyczyn. Przede wszystkim czynił to fakt, że naszym komendantem był ksiądz. Chodził on zawsze w harcerskim mundurze i krótkich spodenkach. W tym czasie, kiedy przebywaliśmy w naszej bazie wypadowej, tzn. Klikuszowej, co miało miejsce na początku obozu i w przerwach pomiędzy poszczególnymi wypadami, zawsze rano, maszerowaliśmy do kościoła. Szły obie drużyny czwórkami, najpierw żeńska, a potem męska, a obok, zawsze w sutannie, szedł nasz ksiądz komendant. W kościele nasz ksiądz odprowadził mszę, myśmy zaś sprawowali obowiązki mimistrantów. Potem, w takim samym szyku, wracaliśmy do bazy. No i ten śpiew, ta pieśń, która stała się "szlagierem", wprost hymnem obozu:

Podhalańska idzie wiara
Z uśmiechem na ustach w dal
W oknie błyszczą oczu para
I buzia jak róży kwiat.
Bacność. Spośród mgły i chmur,
Z szumem orlich piór
Echo z dalekich gór
Pozdrowienia od stron rodzinnych
Niesie góralom wtór.

Hej górale, hej juhasy
Serce z dala się rwie

Porzucili swe szakasy
I piękne dziewczęta swe.

Baczność spośród...

Z tamtego obozu, poza tymi harcerskimi "zwykłymi" piosenkami, które na każdym kroku się śpiewało, dźwięczy mi w uszach i to:

Moja ciocia w Ameryce miała taki pech
Jej kanarek za sto marek wziął się i zdechł
Zdechł kanarek za sto marek, zdechł kanarek
Zdechł ~~na~~kanarek za sto marek, zdechł

Albo:

My jesteśmy karawaniarze
W swoim fachu amatorzy wielcy
A kto z państwa chce być wieczny
Niech się uda na spoczynek wieczny.
My mu zagramy i zaśpiewamy...

Takie to były, czasem bez sensu, przyśpiewki i zawołania, ale "fajnie" było.

Tymek Basiński był z nami wraz ze swoim nieodłącznym aparatem fotograficznym, dlatego z tamtego obozu pozostało wiele zdjęć. Pamiętam, kiedyś zapragnęliśmy zrobić zdjęcia w góralskich strojach. Zniesiono nam tyle góralskich strojów, że na każdego przypadło chyba po dwa.

Z Klikuszowej odbyliśmy trzy wyprawy, w zasadzie piesze. Pierwsza z nich to wyprawa w Gorce. Z tej wędrowki mało mi pozostało w pamięci. Pamiętam wąwóz "Homole", jakieś góralskie chaty spotykane po drodze no i Turbacz, a na nim jakieś schronisko, chyba w tym czasie nieczynne. Była to najkrótsza wyprawa.

Druga wyprawa prowadziła w Pieniny. Samochodem ciężarowym zostaliśmy zawiezieni do Czorsztyna, gdzie dołączył do nas przewodnik, prawdziwy góral, w góralskim kapeluszu, góralskich portkach i czarnej, "cywilnej" marynarce. Zwiedziliśmy ruiny zamku w Czorsztynie, potem, w dobrym jeszcze stanie zachowany, zamek w Niedzicy nad Dunajcem. Dalej marsz w górę na Trzy Korony, skąd roztaczał się wspaniały widok na "Przełom Dunajca" i na całą okolicę, w tym na Czechosłowację. Potem znowu w dół i trasą, którą nas prowadził przewodnik. Marsz w górach pokrytych drzewami, dla nas "ceprów" atrakcja nie lada. Trafiliśmy wreszcie na grotę błogosławionej Kingi, gdzie wśród kwiatów stała duża figura Patronki. Nieopodal góralski, mały domek, w którym żył pustelnik. Obok domku, na rusztowaniu, mały dzwonek,

sygnaturka, którym pustelnik wzywał okolicę do modlitwy. Pustelnik, był to mężczyzna w średnim wieku, z rzadką brodą i ~~krótkim~~ wysokim czółem, ubrany w brązowy habit. Pamiętam trumnę, w której pustelnik sypiał. Pustelnia stała na szlaku turystycznym, odniosłem wrażenie, że działalność pustelnika jest także nastawiona komercyjnie. Zostaliśmy poczęstowani herbatą z bardzo dużego czajnika, oczywiście za zapłatą, można było kupić jakieś drobne pamiątki - szkatułki, noże do przecinania papieru i inne rzeczy. Można też było kupić pocztówkę ze znaczkiem i wysłać ją z pozdrowieniami, korzystając z zainstalowanej na miejscu skrzynki pocztowej. Dziwna to była pustelnia i nie mieszczący się w moich kryteriach pustelnik.

Dalej nasz przewodnik prowadził nas sobie tylko znanymi drogami, drózkami i bezdrożami. Wreszcie, kiedy słońce miało się już ku zachodowi, zobaczyliśmy rozłożone w dole miasteczko - było to Krościenko. Kroki skierowaliśmy ku kościołowi, a właściwie położonej koło niego plebanii. Byliśmy bardzo zdrożeni. Pamiętam jakiś poczęstunek. Nasz ksiądz komendant zaproszony został "na pokoje", my wszyscy natomiast, łącznie z przewodnikiem, rozlokowaliśmy się w stodole. Spaliśmy twardo i smacznie.

Następny cały dzień maszerowaliśmy prowadzeni przez przewodnika. Pogoda popsuka się i prawie cały dzień padało. Miałem niemiecką wojskową "pałatkę", przykryłem się nią. Zabezpieczenie to jednak było marne. Przemokłem na wylot, wszystko na mnie było mokre.

Wreszcie, późnym wieczorem, gdy było już ciemno, dotarliśmy do Piwnicznej, gdzie zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek w budynku PKP. Niedługo mieliśmy pociąg do celu naszej w tym dniu wędrówki - Krynicy. Dojechaliśmy do Żegiestowa, gdzie był, jeszcze od wojny, nieprzejezdny tunel. Trzeba było opuścić ewagony, przejechać następny odcinek drogi podstawionymi ciężarówkami, a następnie jechać dalej do Krynicy pociągiem. Wszystko to działo się późnym wieczorem i przy padającym deszczu. Pamiętam, w tym zamieszaniu zgubiłem przytwierdzoną paskami do plecaka menażkę, musiałem potem używać zastępczo puszek od konserw.

Do Krynicy dotarliśmy około północy. Byliśmy ^zbardzo zmęczeni, ażeby szukać jakiegoś "godziwego" nożegu, postanowiliśmy więc przemocować na dworcu. Tylko nasz ksiądz Komendant, w towarzystwie jeszcze dwóch druhów, poszedł na niezawodną plebanię.

W dworcowej poczekalni stało kilka drewnianych ławek i na nich rozlokowały się nasze dziewczęta. My natomiast legliśmy "pokotem" pod ścianą na cemencie. Plecak pod głową, przemoczony mundur i mokry koc nie przeszkadzały nam spać twardo i głęboko - kiedy się ma szes-

naście lat, to takich "drobiazgów" się nie zauważa.

Jakie było nasze zdziwienie, kiedy rano zobaczyliśmy nasze dziewczęta leżące na podłodze w przeciwnym końcu poczekalni. Ławki były puste. Okazało się że koleżanki nasze zostały zmuszone do opuszczenia ławek przez okupujące je pluskwy.

Następny dzień, to zwiedzanie Krynicy i powrót pociągiem, przez Nowy Sącz, do obozu. Czekał nas tam kilkudniowy odpoczynek, trzeba było nabrać sił do następnej wyprawy.

Trzecią i ostatnią dużą wyprawę odbyliśmy w Tatry. Rano, pociągiem, pojechaliśmy do Zakopanego. Dzień wstał słoneczny i bezchmurny. Przed nami roztaczał się potężny masyw gór. Tajemniczy, milczący, pociągający. Cały czas byłem pod wpływem przeżyć, jakich dostarczyła mi lektura Tetmajera, "Na skalnym Podhalu" i ten wiersz, którego dzisiaj już chyba nie potrafię dosłownie zacytować:

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach szalony wiatr
I szare chmury pędzi.

W Zakopanem dołączył do nas jeden z miejscowych księży, który, ubrany "po cywilnemu", spełniał w dalszych naszych tatrzańskich wędrówkach rolę przewodnika.

Pierwszy etap to jazda kolejką linową na Kasprowy. Małe wagoniki, posuwające się na linie, pod stopami wierzchołki drzew, a dookoła wspaniałe widoki tych tajemniczych gór, widzianych wtedy przeze mnie pierwszy raz w życiu. Następny etap to pieszy marsz przez Swinicę, Zawrat, Dolinę pięciu Stawów Polskich do Morskiego Oka. Wspinaczka, nawet po klamrach umieszczonych na stałe, zejścia, marsz po zboczach. Potężne, wielkie skały, śnieg teraz, w sierpniu leżący z zapadniach. Wszystko to przytłoczyło mnie ogromnie, poczułem się nagle taki mały, mizerny, nic nie znaczący wobec tej potężnej, tajemniczej i wszechogarniającej Przyrody.

Noc spędziliśmy w schronisku nad Morskim Okiem. Następny dzień poświęciliśmy na penetrację okolic Morskiego Oka, wtedy po raz pierwszy i jedyny w życiu widziałem rosnące tylko na tym terenie limby. Potem Czarny Staw nad Morskim Okiem i powrót szosą, przygodnym transportem do Zakopanego, a stąd tylko krok do naszej Klikuszowej.

W drodze powrotnej do domu, na jeden dzień zatrzymaliśmy się w Krakowie. Niezapomniane i głębokie przeżycia wywołały, zwiedzane wtedy po raz pierwszy w życiu, pomniki naszej narodowej, bogatej w wydarzenia przeszłości. Wawel, a tam przede wszystkim Katedra

i groby królewskie, Kościół Mariacki, Sukiennice, Barbakan. To wszystko, chociaż wtedy pobieżnie zwiedzane, wywarło na mnie bardzo głębokie wrażenie. Wszystko to i inne zabytki Krakowa oglądałem nieraz w swoim życiu bardziej dokładnie, ale nigdy nie poruszyły mnie one tak dogłębnie, jak wtedy. Każdą komórką swego ciała czułem wspaniałą przeszłość swego narodu i byłem z tego dumny.

IV. MAŁA MATURA

Po pełnych wrażeń i głębokich przeżyć wakacjach 1947 roku, rozpocząłem naukę w czwartej klasie Gimnazjum, ukończenie której dawało tak zwaną "małą maturę". Było to wykształcenie, które, pamiętam, należało do liczących się już przed wojną. Ja miałem w tym właśnie roku takie wykształcenie uzyskać. Oczywiście nie było mowy, żeby na tym moją naukę przerwać. Marzeniem moich rodziców, moim zresztą też, było ukończenie przeze mnie studiów wyższych. Miałem zostać inżynierem. Nieraz ogarniały mnie wątpliwości, czy sobie poradzę?

W szkole tymczasem pozornie wszystko biegło normalnym trybem. Jak dotychczas, na początku pierwszej godziny lekcyjnej odmawialiśmy modlitwę:

"Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze,
dodaj nam ochoty i zdolności, aby ta nauka
była dla nas pożytkiem doczesnym i wiecznym"

A po ostatniej lekcji modliliśmy się słowami:

"Dzięki Ci Boże za światłość tej nauki.
Pragniemy, abyśmy nią oświeceni, mogli Cię zawsze
wielbić i wolę Twoją wypełniać"

Coraz bardziej rozprzestrzeniały się w szkole rządy dyrektora Jaworskiego. Ja narazie najbardziej to odczuwałem poprzez przymusową pracę w szkolnym ogrodzie. Ocena, jaką uzyskiwało się u Luisa z przedmiotów przez niego prowadzonych, zależała w bardzo dużym stopniu, a może nawet przede wszystkim, od zaangażowania w pracę w ogrodzie.

W jakimś sensie uzupełnieniem harcerstwa, w dużej też mierze jego przeciwwagą, były prowadzone w szkole zajęcia o charakterze

wojskowym. Zaczęto je początkowo prowadzić jako "przysposobienie wojskowe", tak zwane FW, potem była to organizacja "Służba Polsce", tak zwane SP, którą, jak pamiętam, objęta była cała młodzież w pewnym przedziale wieku.

Zajęcia z tego zakresu prowadzili, w różnym czasie, różni ludzie. Początkowo pamiętam niejakiego pana Kirklo. Był to starszy pan, jak mi się wtedy wydawało, który właśnie niedawno powrócił z Zachodu. Pewnie dla władz nie był godny zaufania, bo był u nas bardzo krótko.

Następny, którego pamiętam, to był człowiek młodszy, który miał za sobą nawet jakieś przeżycia frontowe, nazywał się chyba Budziński, maśmy go nazywali "Ciujka" /od wypaczonego słowa "Czujka"/. Posługiwał się niezbyt poprawną polszczyzną. Niestety takie to były czasy, że w Ludowym Wojsku Polskim obowiązywała zasada, wynikająca chyba z pogardy dla wszystkiego, co było przedwojenne: "nie matura lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera".

W ogóle był to okres, kiedy w Wojsku Polskim niżsi stopniem oficerowie byli tacy, co to "nie matura...". Z reguły wszyscy wyżsi oficerowie byli Rosjanami. Ci wyżsi oficerowie, Rosjanie, przeważnie mówili po rosyjsku. Tragicznie to wyglądało, jak z pozoru polski oficer, na przykład pułkownik, mówił tylko po rosyjsku. Niektórzy z nich silili się na język polski. Wtedy to też wyglądało niemniej tragicznie, jak noszący polski mundur mówił: "Kalumna samachadowa" lub inny polski pułkownik przemawiał: "My dzisiaj święta Kaptiuszki mamy. Na obiad padwójny gulasz, a tiepier rozejść się". Wtedy też, na pytanie: czym się różni podporucznik od pułkownika w wojsku polskim - istniała następująca odpowiedź: Podporucznik pisze gównem przez u otwarte, a pułkownik przez a.

Zdarzało się sporadycznie, że w wojsku polskim byli także wyżsi oficerowie Polacy. Kiedyś, nie pamiętam już w którym roku, mieliśmy spotkanie z pułkownikiem Zygmuntem Huszcą, późniejszym generałem. Był to pan, który tuż przed samą wojną złożył w Augustowie maturę, a potem, w roku 1940, został z całą rodziną wywieziony na Syberię. Potem dostał się do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, następnie Szkoła Oficerska, bitwa pod Lenino, gdzie zginął jego rodzony brat, kolejne awanse, a następnie wyższe studia wojskowe w Moskwie, po których, czy w czasie trwania których, odwiedził Augustów. Opowiadał nam różne rzeczy, szczegółów nie pamiętam. Pamiętam tylko, że "ciepło" mówił o towarzyszu Stalinie. Mówił też, że widywał go z bliska, między innymi, jak to w czasie jakiejś defilady stał tuż przy samej trybunie, na której centralną postacią był właśnie towarzysz Stalin. Pamiętam, jak to pani Mikołajewska zapytała:

- Ty Zygmunt, powiedz Ty, a będzie wojna?

Nie pamiętam, co późniejszy generał odpowiedział, utkwiło mi jednak w pamięci, że odpowiedź godna była Pytii z Delf, pamiętam takie właśnie skojarzenie.

Były też i inne wizyty w szkole. Pamiętam, głęboko mnie wzruszyła wizyta pułkownika Urbanowicza, jednego z asów polskiego lotnictwa na Zachodzie. Pochodził on gdzieś z okolic Augustowa czy Suwałk i aktualnie uczyły się w naszej szkole dzieci jego siostry /syn i córka, byli w młodszej klasie/. Opowiadał o walkach polskich lotników na Zachodzie, organizacji lotnictwa, udziału różnych służb. Opowiadania te były mi szczególnie bliskie i chłonałem je z wielką uwagą i przejęciem. Jakiś wkład w tych walkach miał przecież Heronim, czasami wydawało mi się, że to właśnie on mi opowiada. Wiele jednak lat musiałem czekać, żeby bezpośrednio z ust Heronima usłyszeć o jego wojennych przeżyciach.

Szkołę odwiedzali też i inni ludzie o sławnych nazwiskach. Jednym z nich był też lotnik, Janusz Meissner, też uczestnik wojny na Zachodzie, a jego książki, szczególnie "Żądło Genowefy" i "L-jak Lucy", cieszyły się ogromną poczytnością. Pamiętam jego wejście na salę powitaliśmy piosenką, a dyrygował nami kolega z klasy, Bogdan Dąbkiewicz, który miał muzykalne zdolności:

Lotnik skrzydlaty, władca świata bez granic
Ze śmierci drwi, a w twarz się życiu głośno śmieje
Drogę do nieba skraca, przestrzeń ma za nic
Troski mu z czoła wiatr zwieje...

Meissner opowiadał, a ja ciągle na tych szlakach wojennych widziałem Heronima. Pamiętam, jak ktoś zapytał Meissnera, dlaczego powrócił do kraju, przecież tylu ludzi pozostało na Zachodzie. Meissner odpowiedział, że jest Polakiem, do swej Ojczyzny musiał wrócić, obojętnie, jaka ta Polska jest, czy będzie.

Odwiedził nas też Arkady Fiedler. On też, między innymi, był autorem wojennych opowiadań, jak "Dziękuję ci, kapitanie" czy "Dywizjon 303", ale jego opowieści koncentrowały się szczególnie na wędrówkach po Kanadzie i związanych z tym przeżyciach. Mówił, że do wędrówek zmuszała go tęsknota za dalą. W naszej klasie była koleżanka, Idalia Folejewska, przez nas zwana Dalą. Żartowaliśmy potem, że Fiedler przyjechał do nas, bo tęsknił za Dalą.

Był też u nas Gustaw Morcinek i znany krytyk literacki, Ryszard Matuszewski. Innych sławnych gości nie pamiętam.

Rok szkolny IV klasy Gimnazjum 1947/48 minął raczej bez więk-

szych sensacji. Najbardziej pamiętam lekcje łaciny. Był to ostatni rok szkolny, w którym uczyłem się tego przedmiotu, stąd może pozostały mi w pamięci ciepłe o nim wspomnienia. Chociaż były i inne powody. Pamiętam, w końcu roku prowadziliśmy, razem z Michałem Lekszyckim, jeden zeszyt, oczywiście za zgodą pani Bielawskiej. W zeszycie tym ja prowadziłem notatki, Michał natomiast, do tekstu tych notatek, wykonywał obok bardzo dowcipne rysunki, miał on bowiem bardzo rozwinięte zdolności plastyczne.

W końcu roku szkolnego pisaliśmy ostatnią klasówkę z łaciny. Było to tłumaczenie tekstu łacińskiego na język polski, z możliwością posługiwania się słownikiem. Tekst był początkiem dzieła Cezara "De bello Galica" i brzmiał: "Galia est omnes divisa in partes tres, quorum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani, tertiam, qui ipsorum lingue Celti, nostram Galli apelantur". Nie wiem, czy po tylu latach udało mi się napisać to bez błędów.

Końcówka roku szkolnego mojej czwartej klasy upłynęła także pod znakiem ekshumacji żołnierzy radzieckich poległych w latach 1944-45 przy wyzwaniu powiatu augustowskiego. Władze powiatu postanowiły taką ekshumację wszystkich poległych na naszym terenie przeprowadzić i urządzić im uroczysty pogrzeb na specjalnym cmentarzu, położonym w lesie, tuż obok cmentarza katolickiego. W okresie walk w szkole naszej był zlokalizowany szpital, stąd też w pobliżu budynku szkolnego wiele było świeżych jeszcze mogił żołnierskich, przeważnie zbiorowych. Mogiły te otwierano, rozkładające się ciała zbierano do trumien i ponownie je grzebano we wspólnych mogiłach, już na cmentarzu w lesie. Te właśnie otwarte mogiły przedstawiały makabryczny widok. Powodowani ciekawością oglądaliśmy, jak przenoszono odkopane szczątki do trumien. Nie dbano jednak przy tym o dokładność. Pamiętam, były trumny, w których umieszczano kilka głów, były też i takie, w których nie było żadnej głowy. Patrząc na to myślałem, że ludzie ci będą mieli sporo kłopotów, żeby skompletować się na Sąd Ostateczny. Makabryczny to był widok, makabryczne myśli.

Pamiętam strzępy uroczystości, jakie odbyły się w związku z tym pogrzebem. Była jakaś orkiestra, my, jako junacy SP, staliśmy na honorowej warcie, były przemówienia. Między innymi swoją mowę wygłosił ówczesny burmistrz Augustowa Lech, którego, ze względu na jego mazurski język, nazywano "Ociec miasta". Nie pamiętam treści przemówień, nie pamiętam kto przemawiał, ale dokładnie pamiętam, jak "Ociec miasta" zakończył swoje przemówienie okrzykiem: "Niech syjo te. co tu lezo!".

Kończył się rok szkolny, a wraz z nim moja nauka w Gimnazjum. Po wakacjach miałem już być licealistasą, niebieskie wypustki na czapce i mankietach marynarki miały być zastąpione czerwonymi. Niektórzy koledzy wybierali się do szkół zawodowych, które poza maturą dawały konkretny zawód. Tak Konrad wybierał się do Liceum Budowlanego w Olstynie, ja też chciałem z nim tam pojechać. Rodzice sprzeciwili się i na następne dwa lata zostałem w Augustowie.

W szkole zorganizowano dwie klasy liceum: jedną przyrodniczą, gdzie większość stanowiły dziewczęta, drugą - o kierunku matematyczno-fizycznym, gdzie większość stanowiliśmy my, chłopcy. Na zakończenie roku szkolnego zorganizowano nam egzamin wstępny do liceum, który był chyba konieczną formalnością - egzamin ten wszyscy zdali.

Wreszcie wakacje 1948 roku. Ostatnie moje harcerskie wakacje. Załadowaliśmy się do wagonów towarowych w Augustowie. Dołączono do nas następnie wagony harcerzy z Suwałk, Potem był Białystok, gdzie sformowano cały pociąg, którym męska część białostockiej Chorągwi wyjechała na z góry upatrzone obozowiska na Śląskich Ziemiach Odzyskanych - tak to się wtedy określało. Stojąc długie godziny na dworcu w Białymstoku, gdzie formowano cały skład, mogłem tylko oglądać położony w pobliżu kościół Św. Rocha. Budowla ta jakoś dziwnie wyglądała i wcale nie mogłem skojarzyć jej z kościołem. Nie przypuszczałem wtedy, że z tym tajemniczym, nieznanym miastem, dziwne koleje losu, już za dwa lata, zwiążą mnie na całe życie.

Tymczasem, przez Warszawę, przez którą już w zeszłym roku przejeżdżałem, Wrocław, który zapamiętałem jako jedno wielkie morze gruzów, dobrnęliśmy do Barda Śląskiego, gdzie było miejsce przewidziane na obóz dla naszej augustowskiej grupy. Tutaj, na ładnej, obszernej polanie, ograniczonej porośniętymi lasem górą i rzeką, rozbiliśmy swoje namioty. Komendantem naszym był kolega z klasy, Romek Stankiewicz, który, z początkiem następnego roku szkolnego, rozpoczął naukę w Liceum Budowlanym w Białymstoku. W tej samej okolicy rozbili swoje namioty Suwalczanie.

Nie pamiętam, jak się to stało, że po kilku dniach pobytu w Bardzie, zostałem skierowany na chorągwiany kurs drużynowych. Wyjechałem więc do Komendy Chorągwi, która rozlokowała się w okolicach miejscowości Złoty Las, położonej ~~gdzieś~~ w lasach, gdzieś między Swidnicą a Wałbrzychem.

Zameldowałem się w Komendzie Chorągwi. Otrzymałem funkcję zastępowego, iluś druhów w zastępie i namiot, który rozbiliśmy w lesie, między drzewami, nieopodal budynku, w którym kwaterowała Komenda.

Przygotowany byłem na pracę, jaka mnie tu czeka w związku z planowanym przygotowaniem nas do funkcji harcerskiej.

Okazało się jednak, że moje oczekiwania były przesadzone. Owszem, na początku mieliśmy kilka zajęć nauki niesienia pierwszej pomocy w nagłych wypadkach. Kiedyś odwiedził nas starszy pan, który coś tam o socjaliźmie mówił nie bardzo zrozumiałym językiem. Potem uczył nas, skomponowanej przez siebie, nowej piosenki harcerskiej:

Dymią kominy Śląska
Wali stalowy młot
Nową wykuwa Polskę
Harcerskich milion rąk.
Nad Odrą traktor orze
Pola na nowy siew
Nad Nysą szumi nam zboże
Przeniczny śpiew

~~Wtedy postanowiłem...~~

Odczuwało się, że nikt się nie chce nami interesować, że nie jesteśmy nikomu potrzebni i po prostu nasi organizatorzy nie wiedzą, co mają z nami zrobić. Czuliśmy, że dzieje się coś niedobrego. Wtajemniczeni, a raczej bardziej domyślni spośród nas szeptali, że władze chcą wprowadzić nowe, inne, czerwone harcerstwo. Nasza stara Komenda sprzeciwiła się takim praktykom. Są tarcia i "ani "nowi" ani ci "starzy" w związku z tym się nami nie zajmują.

Kiedyś zarządzono nasz wyjazd, jako delegacji Chorągwi, do Wrocławia, gdzie odbywał się zjazd zjednoczeniowy młodzieży, na którym powstał Związek Młodzieży Polskiej.

Pamiętam, na wielkim placu morze pełnych młodzieży namiotów, a wśród nich kilka naszych, harcerskich. Myśmy nie jednoczyli się, wśród zgromadzonych tam harcerzy czuło się napięcie i jakby wrogość do tego, co się na tym placu działo. Bałem się, żeby nie doszło do jakichś bójek.

Cały prawie pobyt w Złotym Lesie/25 dni, wliczając w to wyjazd do Wrocławia/, spędziliśmy na zwiedzaniu okolic i marszach w terenie. Pamiętam jakieś zamki piastowskie, gdzieś przykuty do ściany kościotrup księżniczki, która nie posłuchała woli ojca i właśnie w takiej pozycji musiała umrzeć. Krzyż na skale, z której inna księżniczka wtrąciła w przepaść swego niechcianego narzeczonego.

W pamięci pozostały strzępy wydarzeń z tamtego, pełnego jakiegos niepokuju i niepewności, czasu. Na szlaku swoich wędrówek tra-

filiśmy kiedyś na żeński obóz harcerski. Druhny przyjęły nas bardzo gościnnie. Był jakiś poczęstunek, wspólne śpiewy i żarty, opowieści. Pamiętam parę pięknych, szarych oczu, które patrzyły na mnie zza okularów bardzo miło. Żegnały mnie przy rozstaniu te oczy ze smutkiem, z daleka widziałem, jak piękna zastępowa machała ręką na moje pożegnanie. Dzisiaj jeszcze pamiętam te duże, cudowne, patrzące na mnie oczy i, zda się, słyszę pieśń:

"Szara harcerko, piękne tve oczy..."

Dużo wędrowaliśmy, przeważnie śpiewając bardziej czymniej frywolne piosenki, których strzępy słów znajduję jeszcze dzisiaj w pamięci:

Szumcie nam jodły piosenkę
Rodacy podajcie nam rękę
Wśród lasów, wertepów,
Na ostrzach bagnetów
Wolności niesiemy jutrzenkę

Albo:

... Róż na buzi, w głowie sieczka
Oto jest pensjonareczka...

...Sztubak prawem pary
Zaiwania na wagary...

... A gdy przyjdą egzaminy
Łapie dwóje na tuziny.
Pije gorycz z pełnej czarki
A kto winien? Pensjonarki!...

Albo:

Po łące skacze żreback młody
Po prześcieradle skaczą pchły
I żabka skacze też do wody
A w moim sercu skaczesz ty
Ja śpiwam trilli
Dla swej Marylli
A mama/donna, uszczęśliwionna
Skacze z balkonna
Wprost w me ramionna.

Byliśmy młodzi, humory dopisywały, ale to była radość przez żzy. Czuliśmy, że coś niedobrego się dzieje. Sprowadzono nas tutaj i praktycznie nikt się nami nie zajmował, zostawiono nas samym sobie.

Ponad 20-dniowy nasz pobyt w Złotym Lesie zakończył się niczym.

Nie pamiętam, w jaki sposób zostaliśmy pożegnani. Wiem, że do domu wróciłem już ze swoją augustowską grupą. W swojej książeczce skutkowej, pod rokiem 1948, mam dwa wpisy. Pierwszy: "Augustowska Grupa Obozów H.S.P. Ziemie Odzyskane Bardo Śląskie. Przyboczny. 10 dni", potwierdzony podpisem Romek Stankiewicza, jako Komendanta Obozu. Drugi wpis: "Chorągwiany Kurs Drużynowych. Ziemie Odzyskane. Złoty Las. Zastępowy. 25 dni.". Ten wpis podpisał też, w zastępstwie, Romek.

Pozostałą część wakacji spędziłem w domu. Miałem już "małą maturę". Czuję się prawie dorosły.

V. ZMP

Z początkiem roku szkolnego 1948/49 zamieszkałem w internacie. Ostatnie dwa lata mieszkałem u państwa Kierklów. Od roku byliśmy tylko obaj z Konradem, Józek natomiast /tak teraz nazywaliśmy Dziadka/ mieszkał w Suwałkach. U nas w Augustowie, już od roku, nie było starszej od nas klasy, bowiem absolwenci ówczesnej IV klasy powyjeżdżali do innych szkół. Najbliższe Liceum, o kierunku matematyczno-fizycznym, istniało w Suwałkach i tam właśnie Józek uczęszczał. W tym roku wyjechał też do Olsztyna Konrad.

Internat mieścił się w budynku szkolnym, na poddaszu. Z jednej klatki wchodziło się do dwóch bardzo niskich sypialni chłopców, z drugiej natomiast do sypialni dziewcząt. Dziewczęta ponadto mieszkaly jeszcze w dwóch parterowych budynkach drewnianych, które stały w podwórzu - był to tzw. "folwark".

W suterenie, która od strony podwórza stanowiła raczej parter, znajdowały się różnego rodzaju pomieszczenia gospodarcze, z kotłownią włącznie. Była tutaj też zlokalizowana kuchnia oraz umywalnie i prysznice. Ciepłą wodę przygotowywano tylko okazjonalnie, kiedy zarządzano zbiorowe kąpiele poszczególnych klas. Stołówka mieściła się na parterze, natomiast na pierwszym piętrze, nad stołówką, mieściła się tzw. "sala rekreacyjna", gdzie odbywały się wszelkiego rodzaju większe uroczystości. Na bieżąco spełniała ona rolę czytelnicy, gdzie można było przeczytać różną prasę, początkowo nawet włącznie z prasą katolicką. Jaworski, w swoich utopijnych poglądach uważał, że młodzieży należy udostępnić także tę prasę reprezentującą "ciemnotę", jak to on określał, a zostanie ona "zmiążdżona" przez prasę państwową. Uważał, że młodzieży należy dać możliwość wyboru - co do wyboru nie miał żadnych wątpliwości, bo to przecież "ciemnota", nie jest w stanie obronić się. Jakaś jednak kontrola z kuratorium dopro-

wadziła Luisa do porządku stwierdzając, że nie można młodzieży udostępniać, za państwowe pieniądze, odurzającego "opium". Luis miał nieprzyjemności i prasa katolicka z czytelnikami znikła.

Z nowym rokiem szkolnym w klasie powstała nowa sytuacja, właściwie to była całkiem nowa klasa. W średnim szkolnictwie ogólnokształcącym wprowadzono wtedy reformę. Gimnazjum zlikwidowano, całość nazwano Liceum. Nie było więc już liceum w poprzednim wydaniu, a na to miejsce wprowadzono klasę X i XI /skąd ta numeracja, nie wiem/, zachowując jednak poprzednie kierunki. Była to więc klasa o kierunku matematyczno-fizycznym, gdzie było tylko kilka dziewcząt, gros stanowili chłopcy. Do klasy naszej dołączył też, i zamieszkał w internacie, mój kolega z Bargłowa, Lubek ~~Karxx~~ Karpio, który po powrocie z Syberii zdążył, w sposób przyspieszony, ukończyć cztery klasy Gimnazjum.

Ponadto w klasie naszej był i mieszkał w internacie, Rajmund Szadowski, syn nauczyciela z ~~AR~~ Rygańkowi. a potem z Lipska. Był też syn nauczycielki z Augustowa, ale mieszkający w internacie, Wacek Dyczewski. No i oczywiście Michał Lekszycki, mieszkający wraz z matką na terenie budynku szkolnego.

Po drugiej stronie korytarza zlokalizowana była klasa przyrodnicza, gdzie z kolei było tylko kilku chłopców /między innymi Bolek Liszewski - późniejszy ksiądz/, a gros stanowiły dziewczęta. Wielu kolegów z naszej klasy całe przerwy przesiadywało w klasie u dziewcząt, inni ulokowali swoje uczucie w swojej klasie i przerwy spędzali u siebie.

My, mieszkający w internacie, przebywając cały czas ze sobą, siłą rzeczy zżyliśmy się. Górował nad nami Michał. Ojciec jego, nieżyjący już od przed wojny, był inżynierem. Dziadek po kądzieli, doktor Jaworowski, był przed wojną znanym w Augustowie lekarzem. Zostawił po sobie kamienicę, była ona co prawda zajęta przez magistrat i mieściły się tam różne urzędy. Wszyscy jednak wiedzieli, czyją jest ona własnością. Michał był chłopakiem zdolnym. Miał, jak się już powiedziało, uzdolnienia plastyczne, jednak chyba pracowitością nie grzeszył. Zwierzał się, że najlepiej jest na studiach /jego starszy brat kończył właśnie studia/, bo tam można całe pół roku nic nie robić, a potem przez kilka nocy nauczyć się, pójść i zdać egzamin.

Jesienią 1948 roku przywieziono do szkoły wystawę "800-lecie Moskwy". Wystawę tę stanowił szereg plansz obrazujących rozwój miasta Moskwa w całym 800 leciu. Wszystko to ustawiało się na sztalugach, które razem przywieziono. Oczywiście naczelną planszę stanowił potężny, kolorowy portret Stalina, z czerwonymi naszywkami

na kołnierzach. Dyrektor Jaworski polecił nam, mieszkającym w internacie chłopakom, wystawę tę zestawić w sali teatralnej. Zabraliśmy się do roboty i w ciągu jednego popołudnia wystawa była gotowa. Oczywiście w czasie tej pracy "rej wodzik" między nami i pracą dyrygował Michał.

Po skończonej pracy, kiedy mieliśmy już salę opuścić i zameldować dyrektorowi o wykonaniu polecenia, Michał zatrzymał się przed planszą Stalina, wypowiedział pod jego adresem kilka "ciepłych" słów, przeważnie kończących się na "ó" i plunął na jego oblicze. Ślina zkalizowała się na czerwonej patce, na lewym kołnierzu "Wodza". Ja wyjąłem chusteczkę i, ze słowami:

- Jeszcze ktoś zobaczy -

usiłowałem wytrzeć ślinę pociągając chusteczką po planszy. Efekt był odwrotny od zamierzonego. Na lewej piersi generalissimusa została rozmazana czerwona plama. Gunką pościeraliśmy, plamy jednak zostały. Umówiliśmy się wtedy, że powiemy, iż takie właśnie plamy były na planszy dostarczonej do szkoły. Nikt jednak na te plamy nie zwrócił uwagi. Wydawało się, że do tej sprawy nigdy już nie trzeba będzie wracać. Niedługo miało być inaczej...

Na początku roku szkolnego zorganizowano wycieczkę do Wrocławia w celu obejrzenia eksponowanej tam już od pewnego czasu wystawy Ziemi Odzyskanych. Ja tę wystawę, pobieżnie co prawda, ale już oglądałem przy okazji Zjazdu Zjednoczeniowego Młodzieży, chciałem jednak wraz z koleżankami i kolegami pojechać tam raz jeszcze. Kiedy powiedziałem Ojcu o swym zamiarze /Ojciec wtedy bardzo często odwiedzał mnie w internacie przy okazji załatwiania różnych spraw służbowych w Augustowie/, Ojciec, sięgając do portfela, zapytał mnie: - ile ci na to potrzeba forsy? Dostałem z nawiązką na cukierki.

W pamięci odnajduję strzępy wydarzeń z podróży i z samego pobytu we Wrocławiu, nie to jednak jest istotne. Sama wystawa, jej ogrom, zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Tyle tam tego było. Myślałem sobie: przecież my jesteśmy tutaj tylko trzy lata, a tyle się przez ten czas zrobiło. Pamiętam, wróciłem z Wrocławia pełen optymizmu i nadziei na dobrą niedaleką przyszłość.

"Pokłosiem" tego wyjazdu była, pisana 20-go października 1948 r., praca klasowa z języka polskiego. Były do wyboru trzy tematy:

1. Kolebki ojczystego piśmiennictwa i języka literackiego
2. Literatura europejska w wiekach średnich
3. Wystawa Ziemi Odzyskanych w prastarym grodzie słowiańskim.

Ja wybrałem trzeci temat i za jego opracowanie otrzymałem ocenę: "dostat. minus", z następującym komentarzem: "Treść dość dobra, usterki stylistyczne, bł. ortogr. i niewłaściwy zeszyt".

Język polski prowadziła wtedy u nas pani Maria Winiarczyk, z którą mieliśmy przyjemność mieć kontakt aż do matury. Odnosiło się wrażenie, że nigdy nie jest pewna, czy wszystko to, co mówi jest zgodne z obowiązującą interpretacją, czy jej za to nie rozliczą i czy jakaś wizytacja się do niej nie przycepi.

Drugą, a właściwie pierwszą osobą spośród nauczycieli, z którą mieliśmy najwięcej do czynienia, była pani Helena Mikołajewska - prowadziła ona u nas "sztandarowe" przedmioty: matematykę i fizykę. Była ona bardzo dobrą nauczycielką, znającą wspaniale prowadzone przez siebie przedmioty, nie angażowała jednak do pracy całej klasy. Zawsze rozmawiała tylko z grupą najlepszych, a zabranie głosu przez kogoś z gorszych kończyło się najczęściej przykro.

Nie zawsze ci najlepsi byli w stanie odpowiedzieć na pytanie, spotykało się to jednak z wyrozumiałością. Kiedyś, z wysokości okna (lubiła siedzieć na parapecie) skierowała do klasy jakieś pytanie. Nikt do odpowiedzi się nie zgłosił. Wtedy pani Mikołajewska powiedziała:

- No, Michał, pewno ty wiesz -

Michał, który siedział na pierwszej ławce, jak pocisk dobiegł do tablicy, chwycił w rękę kredę, dotknął nią do tablicy, oraz, trzymając ją w tej pozycji, wolnym ruchem odwrócił zakłopotaną twarz w kierunku okna i powiedział nieśmiało:

- Nie wiem,

na co pani Mikołajewska zareagowała ostro:

- Czemu ty Michał od razu nie mówisz, tylko do tablicy lećisz?

A na to Michał nieśmiało:

- Ja do ostatniej chwili nie tracę nadziei -

Michał miał cały czas w sobie coś z aktora i ostatecznie aktorem został.

Zbliżał się zjazd zjednoczeniowy partii. Wiedziałem o tym z prasy codziennej i radia, ale nie robiło to na mnie specjalnego wrażenia. Nie zdawałem sobie sprawy, co się właściwie dzieje, nie mówiąc już o przewidywaniu, jakie z tego faktu mogą wynikać konsekwencje. Dyrektor uznał, że na tę historyczną chwilę trzeba przygotować budynek szkolny, uważał to nieomal za swoje partyjne posłannictwo. Prace z tym związane polecił wykonać naszej, już wypróbowanej przy zestawieniu wystawy, grupie. Pod kierownictwem Michała do pracy zabrali się: Rajmund, Lubek, Wacek i ja. Chodziło przede wszystkim o dekorację świetlicy. Hasła, napisy, emblematy, portrety dostojników, oczywiście na czele ze Stalinem i Bierutem - wszystko to musieliśmy przygotować i na czas powiesić.

Muszę przyznać, że odpowiadała mi atmosfera tej pracy. Michał tysował "od ręki" litery i emblematy na papierze, myśmy wycinali je i zaczepiali w odpowiednim porządku na ścianach. Za wyraźną zgodą dyrektora, nie obowiązywały nas godziny przeznaczone w internacie na odrabianie lekcji, mogliśmy też wykonywać tę pracę późno w nocy. Na prace te poświęciliśmy dużo więcej czasu, niż rzeczywiście było trzeba. Ostatecznie świetlica była gotowa na czas. Ładnie to wyglądało, dyrektor był uradowany.

Historyczny ten fakt "złania się" partii, bardzo dosadnie, ale trafnie, skomentował na wykonanym przez siebie rysunku Michał. Otóż rysunek ten przedstawiał następującą sytuację: do stojącego na podłodze nocnika z jednej strony siusiał dużym strumieniem dobrze zbudowany, atletyczny drab, z drugiej zaś strony to samo robił mizernie zbudowany mężczyzna, z tym, że jego strumień był cieniutki i częściowo pryskał na podłogę. Ten drab obrazował PPR, chudzielec natomiast PPS, z której część członków została usunięta i nie weszła do partii zjednoczonej, symbolizowały to te właśnie odpryski na podłogę. Nie wyobrażałem sobie, co byłoby, gdyby dyrektor ten rysunek zobaczył!

Praca harcerska, po rozpoczęciu roku szkolnego, wyraźnie straciła na rozmachu. Można było odczuć, że coś niedobrego dzieje się w naszej drużynie. Funkcję drużynowego pełnił, uczący się w naszej klasie, Bogdan Dabkiewicz. Nic godnego uwagi się nie działo. W Komendzie Hufca też czuło się zastój. Mówiono o jakichś nalotach i interwencjach UB, spodziewano się zmiany na stanowisku Komendanta. Sytuacja była conajmniej niejasna.

Ostatnią naszą harcerską uroczystością była wspólna wigilia zorganizowana przed samymi feriami świątecznymi. Wigilia ta odbyła się na mieście (o zorganizowaniu czegoś takiego w szkole nie mogło być mowy) i miała uroczysty, jak zwykle przy takiej okazji, charakter. Była choinka, opłatek, życzenia, drobne podarunki i kolendy. Całej tej uroczystości przewodził nasz prefekt, ks. Jan Skrzęczkowski, który był także instruktorem harcerskim.

Po uroczystości tej spóźniłem się do internatu na kolację, na którą przyszedłem bezpośrednio, w mundurze harcerskim. Poza mną, w takiej samej sytuacji znalazło się jeszcze kilka osób. Fakt ten został bardzo nieprzychylnie skomentowany przez Luisa.

Dyrektor szczególną opieką otaczał internat. Najbardziej uciążliwe i bardzo nie lubiane były tak zwane "pogadanki", które teoretycznie miały odbywać się raz w tygodniu, po kolacji. Praktycznie były takie tygodnie, w których pogadanki odbywały się prawie codziennie.

Polegało to na tym, że po zjedzonej kolacji wszyscy pozostawali na swoich miejscach. Przychodził dyrektor i wygłaszał pogadankę na jakiś wybrany przez siebie temat. Najczęściej w czasie referowania stał koło którejś dziewczyny, ściskając ją swoją potężną ręką za ramię. Biedne dziewczę cierpiało, ale nie pamiętam, żeby któraś kiedyś sprzeciwiła się.

Dyrektor sprawdzał bardzo często nasze wiadomości na omawiany temat, nierzadko wymagając od nas bieżących wiadomości z prasy. Padały pytania, na które najczęściej osoba wezwana do odpowiedzi nie była w stanie "wygadać się" w sposób odpowiadający dyrektorowi. Dyrektor denerwował się coraz bardziej, wzywał do odpowiedzi następne osoby. Obowiązywała zasada, że raz wezwana do odpowiedzi osoba stała do końca pogadanki. Często kilkanaście osób stało, a zdenerwowany dyrektor wymyślał tym kapuścianym głąbom, do których nie mogą dotrzeć nawet podstawowe zasady światopoglądu naukowego. Wypowiedziane w niepohamowanej złości uwagi ubliżały nam, bo czy nie obelgą były takie wypowiedzi:

- Ty dziewico orleańska, jesteś na poziomie pani Marii z kuchni (pani Maria, starsza, stateczna osoba pracująca w kuchni) w internacie). Tobie to tylko Rycerza Niepokalanej czytać, bo ty nic poważnego nie jesteś w stanie pojąć -
- Ty jesteś ~~jesteś~~ przedstawicielem tej złotej, sanacyjnej młodzieży -.

Nic więc dziwnego, że zawsze staraliśmy się bardzo szybko zjeść i uciec ze stołówki.

W końcu 1948 roku w szkole powstała organizacja młodzieżowa ZMP. Nie mogło być inaczej, była to organizacja masowa, która starała się swoim wpływem objąć całą młodzież. Jak spod ziemi wyrosli aktywiści. Coraz częściej widać było czerwone krawaty i znaczki ZMP. Wszystko to działo się poważnie, sztywno, ba, nawet najmniejszych, niewinnych żartów, w których dopatrywano się obrazy socjalizmu, związku Radzieckiego, czy nawet samego towarzysza Stalina. Zaczęły się odbywać sztywne, pompacyjne zebrania, szkolenia, akademie "ku czci" z różnych okazji. Młodzi gniewni i zawsze bojowo nastawieni aktywiści zaczęli zasiadać w radzie pedagogicznej, początkowo nieśmiało, potem coraz bardziej zdecydowanie, wtrącając ^{się} też, a nawet "ustawiając" i opiniując nauczycieli i ich pracę.

W naszej klasie też powstało koło ZMP, które przejawiało coraz większą działalność i do którego wstępowali prawie wszyscy po kolei.

Z upływem czasu coraz częściej rozbrzmiewał, śpiewany przy róż-

nych okazjach hymn:

Naprzód młodzieży świata

Nas braterski połączy dziś marsz,...

Szczególnie piosenka radziecka stawiała się coraz bardziej "obowiązująca" i to śpiewana zarówno w oryginale, jak też i w tłumaczeniu polskim. Słyszało się w szkole to wszystko, ~~sz~~ co należało w owym czasie znać i śpiewać, od:

Dolinami i wzgórzami

Niosła się bojowa pieśń...

po przez

Był kapitan dzielny chwyt,

Który zwiedził cały ~~śiz~~ świat...

do sławnej kantaty o Stalinie, co to

... Leninowski sztandar walęki podjął,

Z nim zwycięża ludu sierp i młot...

Repertuar był bardzo szeroki. Czasem odnosiło się wrażenie, że polska piosenka nie istnieje. Jaworski był uszczęśliwiony.

O działalności Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Augustowie wiedziałem coraz więcej. Wiedziałem, że Ojciec mój był tam często wzywany, że nachodzili moich rodziców w domu, najczęściej w nocy, jacyś tajemniczy oficerowie. Mój jednak pierwszy, bezpośredni kontakt z tą instytucją miał miejsce w styczniu 1949 roku.

Wtedy to właśnie dostałem, zaadresowane do mnie, wezwanie. Na poślednim gatunku papieru formatu A-5, w lewym górnym rogu podłużna pieczętka przedstawiająca orła, pod którym był napis: "Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Augustowie L.dz...". W prawym rogu moje nazwisko i adres oraz, podkreślone ciągłą kreską: termin dnia 8.I.1949. Treść była następująca: "Wezwanie świadka. Pow. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Augustowie wzywa Ob. do osobistego stawiennictwa dnia 8 stycznia 1949 o godz. 15⁰⁰ w Pow. Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. 3-go Maja Nr 10, w pokoju Nr 6, celem przesłuchania w charakterze świadka. Sekretarz". Na odwrocie były podane artykuły, zgodnie z którymi będę ukarany w wypadku niestawienia się. Wezwanie to otrzymałem na kilka dni przed terminem, na który zostałem wezwany.

Były to nerwowe dni. Do Ojca czepiają się - myślałem, teraz zabierają się za mnie. Czy dadzą mi dotrzeć do matury, nie mówiąc już o studiach, które koniecznie przecież chciałem ukończyć. Czekające mnie dorosłe życie chciałem zorganizować na bazie zawodu, który uzyskam na studiach. Takie było nastawienie w domu i inaczej sobie tego

nie wyobrażałem.

W wyznaczonym dniu, wydenerwowany, szedłem o określonej godzinie do "Turka". Wpuszczono mnie do mrocznego pomieszczenia, w którym stało kilka ławek, a mizerne oświetlenie zapewniało małe okienko pod sufitem. Przy wejściu zabrano mi wezwanie i kasało czekać.

Czas bardzo wolno płynął, wydawało się, że cały wiek nikt się mną nie interesuje. Potem ktoś zajrzał i zapytał mnie o nazwisko. Potem znowu długo nic się nie działo. Potem ktoś inny zajrzał i zapytał: "co ty tu robisz?", na co ja odpowiedziałem, że zostałem wezwany i czekam. Potem znowu nic się nie działo. Wreszcie, po jakimś długim czasie, ktoś wszedł, zapytał o nazwisko i oznajmił, że jest nieobecny ten, co mnie wzywał, w związku z czym przesłuchanie odłożono na dzień 10 stycznia. Wręczył mi też wezwanie, na którym, czerwonym atramentem poprawiono datę "8" na "10". Na odwrocie wezwania napisano, też czerwonym atramentem: "Przedłużono z powodu nieobecności wzywającego. Przedłużono do dnia 10.I.1949 r.". Pod tym napisem widniał nieczytelny podpis. Czy rzeczywiście wzywający był nieobecny, czy była to metoda "zmiękczenia" delikwenta.

Kiedy 10 stycznia zameldowałem się ponownie, wprowadzono mnie do pokoju na pierwszym piętrze. Pokój umeblowany był raczej skromnie. Naprzeciw drzwi stało biurko, za którym siedział, w mundurze wojskowym, podporucznik, blondyn z kręconymi włosami. Przed biurkiem, w odległości 2-3 metrów, stało krzesło, na którym gospodarz pokoju kazał mi usiąść.

Długo trwała cisza i jakby podporucznik mnie nie zauważał. Wyjął "z nogi" biurka grubą teczkę z jakimiś dokumentami i położył ją na biurku. Potem, ze środkowej szuflady, wyjął pistolet, długo go oglądał, wreszcie położył przed sobą na biurku. Nagle podporucznik przerwał ciszę, rzucając w moim kierunku:

- Życiorys!

Zrozumiałem, że mam przedstawić swój życiorys. W kilku zdaniach zaprezentowałem swój, bardzo jeszcze wówczas skromny, życiorys. W międzyczasie podporucznik przeglądał teczkę z dokumentami, czegoś tam szukał, czytał. Błąd strach mnie obleciał, czyżby w mojej sprawie tyle dokumentów zgromadzono?

Potem mój gospodarz coś więcej chciał wiedzieć o moim Ojcu.

- No tak, należał do bandy, ujawnił się, no taki to twój Ojciec

Kiedy nieśmiało zaprotestowałem, że to nie była banda, on stanowczo powiedział:

- My tam lepiej wiemy, co to było -.

~Dalej, pamiętam, mego rozmówcę interesowało to, że jestem mini-

strantem, co prawda w Bargłowie i bywam tam ostatnio coraz rzadziej, to nie miało znaczenia. Moja przynależność do Sodalicji Mariańskiej, moja obecność w każdą niedzielę w kościele i co myślę o głoszonych tam kazaniach. Co myślę o kolegach. Wiele miejsca w rozmowie zajęło harcerstwo. Na koniec mój rozmówca zapytał mnie, co mam zamiar zrobić po maturze. Kiedy nieśmiało odpowiedziałem, że myślę o studiach, on ze złością powiedział:

- Jak będziesz tak dalej postępował, to kaktus mi na dłoni wyrośnie, jak ty na studia się dostaniesz! -

Wreszcie polecił mi przysunąć się z krzesłem do swego biurka, położył przede mną kartkę papieru, dał mi pióro i kazał pisać. Podyktował mi tekst zobowiązania, że nikomu nie powiem o treści naszej rozmowy i jestem świadomy kary, jaka mnie czeka w przypadku niedotrzymania tego zobowiązania. Wyprowadził mnie następnie do wyjścia.

Był późny, mroźny styczniowy wieczór, kiedy znalazłem się na ulicy. Byłem oszołomiony, w głowie mi szumiało. Zapaliłem papierosa. Wtedy to, dokładnie pamiętam to, po raz pierwszy w życiu poczułem smak papierosa. Paliłem już wtedy po trochu, nosiłem ~~zawsze~~ nawet ze sobą papierosy i zapalki, ale robiłem to dla fantazji. Wydawało mi się, że w ten sposób demonstruję swoją męskość. Tym razem jednak zaciągałem się głęboko z rozkoszą i czułem, jak wdychany do płuc dym, przynosi mi ulgę, koi nerwy, jak ogarnia mnie błogi spokój.

Wiosną 1949 roku, w piękny marcowy dzień, poproszono Bogdana Dabkiewicza i mnie do gabinetu dyrektora. Bogdan pełnił funkcję drużynowego naszej drużyny. Był to już okres agonii naszej harcerskiej działalności, ale formalnie jeszcze ona trwała. Nie mogę sobie dzisiaj uświadomić, jaka była przyczyna mojej tam obecności. Pewnie przewidywano mnie do pracy w nowym harcerstwie, które usiłowano w tym czasie stworzyć.

Dyrektora w gabinecie nie było, jego miejsce zajmował ktoś, kto przedstawił się nam, jako przedstawiciel kuratorium. Był to przystojny pan w średnim wieku. Pod marynarką miał sweter z małym dekoltem, zza którego widać było skrawek krawata. Zaproszeni przez niego, usiedliśmy. Rozpytywał nas o naszą działalność harcerską. Mówił o nowych czasach, które idą i konieczności dostosowania harcerstwa do tych nowych czasów. Wyraził nadzieję, że nas nie zabraknie w szeregach tego nowego harcerstwa. Na koniec bardzo serdecznie nam radził, żebyśmy wstąpili do ZMP. Jest to organizacja, mówił, bez przynależności do której niczego w życiu nie dokona się. My jesteśmy jeszcze młodzi, przed nami całe życie, a ZMP jest organizacją, która pomoże nam dojść

do czegoś w życiu.

Po tej rozmowie wyszliśmy na boisko. Był ciepły, słoneczny, wiosenny dzień. Spacerowaliśmy w oczekiwaniu dzwonka na następną lekcję i rozmawialiśmy o tym, co przed chwilą usłyszeliśmy. Zgodnie doszliśmy do wniosku, że do tego ZMP trzeba chyba wstąpić, bo bez tego, jak wszyscy powiadają, nie ma co marzyć o studiach.

Po południu pojechałem na kilka godzin do domu/kursowała już wtedy regularna komunikacja samochodowa/, aby zasięgnąć rady Rodziców w tak ważnej sprawie. W domu zastałem księdza Gogasa. Kiedy powiedziałem, jakiej potrzebuję rady, Ojciec wyraził swoją opinię, że chyba trzeba wstąpić do tego ZMP, bo inaczej niei dażją żyć. Ksiądz Gogas początkowo przysłuchiwał się naszej rozmowie w milczeniu, a potem powiedział:

- Panie Józefie, musi zapisać się, ale musi mieć swój rozum. Musi przecież dostać się na studia, a po ich ukończeniu będzie mógł dopiero powiedzieć, co myśli -.

Ostatecznie, 1 kwietnia 1949 roku, wstąpiłem do Związku Młodzieży Polskiej. Brzemienno w skutki był to krok.

Wiosną 1949 roku nastąpiła zmiana komendanta hufca. Miejsce Leona Paszkiewicza zajął nowy komendant, który nosił nazwisko Szłyk. Był to człowiek dobrze już po trzydziestce, niewysoki blondyn, ze sterczącymi pod nosem, rzadkimi wąsami - takim go sobie zapamiętałem.

Nowy komendant zaczął wprowadzać nowe porządki. W swojej harcerskiej książeczce służbowej, pod datą ~~Pr04~~ 20.04.49 odnotowano mi przydział do "3 Drużyny Harcerzy im. Kar. Swierczewskiego". Numer 3 nosiła nasza gimnazjalna drużyna im. Władysława IV. Ja dostałem przydział do innej drużyny Nr 3. Wynikało to, jak mi się wydaje, z generalnej reorganizacji hufca obejmującej także numerację drużyn.

Drużyna, do której dostałem przydział, działała na terenie szkoły podstawowej i miałem w niej objąć funkcję drużynowego. Do objęcia przeze mnie tej funkcji ostatecznie nie doszło. Pamiętam jakieś nieporozumienia na tle nowej organizacji hufca i zupełnie nowego oblicza harcerstwa.

W konsekwencji z tej nowej drużyny zostałem zwolniony 5.09.49r. Tę samą datę nosi, dokonana czerwonym atramentem, notatka na pierwszej stronie mojej książeczki służbowej. Strona ta jest przekreślona też na czerwono, a notatka brzmi: "Zwolniony na własną prośbę. Zezwolono na zatrzymanie krzyża harcerskiego i książeczki służbowej". Tak skończyła się moja 3-letnia służba w ZHP.

"A po latach, które przeminęły,
Harcerski ~~został~~ krzyż..."

Na terenie szkoły wyraźnie ścierały się dwie siły. Jedna, reprezentowana przez dyrektora Jaworskiego, druga przez księdza prefekta Jana Skrzeczkowskiego, wśród młodzieży zwanego "Skrzecz". Z jednej strony "postępowe" poglądy dyrektora, materializm dialektyczny, Związek Radziecki, jako uosobienie wszystkiego co najlepsze na świecie, ZMP, akademia i pochody z okazji uroczystości państwowych. Z drugiej strony czarna sutanna i całkowicie łysa głowa księdza prefekta, wiara w Boga, Sodaliczka Mariańska, uroczystości i procesje, niedzielna msza i lekcje religii pełne żaźartych dyskusji. A po środku my, młodzież, pełna różnych wątpliwości, nie zawsze umiejąca właściwie ocenić sytuację i zająć odpowiednie stanowisko, podatna na podszepoty.

Trzeba przyznać, że z biegiem czasu ta pierwsza strona rozszerzała swoją sferę wpływu, druga strona natomiast pozornie traciła swoje pozycje, przechodziła do swego rodzaju konspiracji.

Czasami można było widzieć, jak dyrektor i ksiądz prefekt, spacerując ramię przy ramieniu po korytarzu czy boisku szkolnym, spokojnie ze sobą rozmawiali. Obserwując z daleka odnosiło się wrażenie, że mają wspólny pogląd na tematy przez siebie omawiane, że są w zupełnej zgodzie. Rzeczywistość jednak była inna.

Tymczasem, w którąś niedzielę majową 1949 roku, ksiądz prefekt, jak co tydzień, wygłosił kazanie, w którym jednoznacznie wyraził się o ZMP, nie wymieniając oczywiście nazwy tej organizacji. Aktywiści ZMP poczuli się urażeni. Jak "Skrzecz" śmie naruszać dobre imię tej wspaniałej, jedynej, postępowej organizacji! Zostało natychmiast zwołane zebranie całej szkolnej organizacji ZMP, które, pod okiem dyrektora Jaworskiego, uchwaliło, że do księdza Skrzeczkowskiego trzeba skierować odpowiednio ostro sformułowany protest w formie pisma, które podpiszą wszyscy członkowie. Protest ten został natychmiast napisany, a wszyscy obecni na zebraniu członkowie ZMP podpisali go. Pamiętam, że "łapano" tych wszystkich, którzy z różnych powodów nie byli na zebraniu i uzupełniano ich podpisy pod protestem.

Potem przyszedły wakacje, które spędziłem w domu. Pamiętam któreś niedzielne popołudnie, długą, wielowątkową rozmowę ze starszym ode mnie kolegą, Włodkiem Wielgatem, który w tym czasie był studentem któregoś roku teologii i oczywiście chodził w sutannie. Był dokładnie poinformowany o proteście skierowanym do księdza Skrzeczkowskiego, miał ten protest w ręce i wiedział dokładnie, kto go podpisał.

- Jak mogłeś to zrobić! -

mówił do mnie. Radził mi pójść do księdza prefekta, przeprosić go za to, co zrobiłem i wycofać swój podpis. Zapewnił, że prefekt przeprosiny te przyjmie.

Któregoś wrześniowego wieczora poszedłem do prefekta, ale niestety nie zastałem go w domu. Następnym razem już nie poszedłem.

VI. AUGUSTOWSKI FIMISZ

Kiedy przypominam sobie Augustów drugiej połowy lat czterdziestych, przed moimi oczami defilują wtedy całe zastępy ludzi, którzy w tym właśnie czasie byli związani z tym miastem, których tam wtedy widywałem, spotykałem, z którymi obcowałem. Pozostałe w mojej pamięci strzępy wspomnień pozwalają mi tylko w niewielu przypadkach kojarzyć twarze z nazwiskami i zdarzeniami.

Jeszcze w Bargłowie pamiętam jednego z pierwszych starostów augustowskich, Stańczykowskiego, który, w mundurze porucznika, przyjeżdżał Willisem do Ojca. Jan Szostak, jeden z kolejnych szefów Urzędu Bezpieczeństwa, który trafił tam z AK, a potem przez wiele lat po wojnie uprawiał działalność artystyczną, wykonując różne "cuda" z korzeni. Dobrenko - wysoki jegomość z bielmem na oku, działacz PPS, a po' zjednoczeniu - PZPR i jego żona "dobrze zbudowana" pani, działaczka na niwie oświaty /nwet nie przypuszczałem wtedy, że po latach zaprzyjaźnię się z jego synem - oczywiście ta ^zdobrze zbudowana pani nie była jego matką/. Ignacy Popowski, inspektor szkolny - zawsze podziwiałem jego elokwencję, kiedy przy okazji różnych uroczystości wygłaszał przemówienia. Ta swoboda wyrażania swoich myśli, te wielocłonowe, a jednocześnie jasno skonstruowane zdania. Kuczela, Wiński, Kruszewski, Łopatecki, Łopata... dziesiątki nazwisk pałęta mi się po głowie. Sierżant w Urzędzie Bezpieczeństwa, zawsze w mundurze, niewysoki, krępy, o czarnym baroście, którego po wielu latach widywałem jako szatniarza ~~z~~ w owalnych na twarzy, błędynów i brunetów, ludzi, których nazwisk nie sposób wygrzebać z pamięci.

Najbardziej jednak, spośród ludzi nie związanych bezpośrednio ze szkołą, utkwiała mi w pamięci postać burmistrza Augustowa owych czasów, Lecha. Na pewno był to człowiek, który obowiązki swoje spełniał szczerze i z dużym zaangażowaniem. "Ociec miasta" - tak go nazywano.

Jego naiwna szczerość doprowadzała nieraz do przekomicznych sytuacji. Oto przykłady jego rozbijającej szczerości.

Po zjednoczeniu partii w Warszawie wznoszono Dom Partii, na którego budowę przeprowadzano w całym kraju kwestę. Którejś niedzieli, wśród wychodzących z sumy ludzi, kwestował na ten właśnie cel "Ociec miasta" w towarzystwie dwóch pań z magistratu. Ponieważ ludzie nie chcieli dawać pieniędzy, Lech zachęcał następującymi słowami:

- Ludzie! Dawajta pieniądze! Partie diabli wezmo, a dom będzie stał! -

Zachęta rzeczywiście była przekonywująca. Nikt wtedy nawet nie pomyślał, że po 42 latach przewidywania Lecha się spełnią.

Innym razem, w 1949 roku, zorganizowano uroczystości związane z trzecią rocznicą powołania ORMO. Jednym z najważniejszych elementów tych uroczystości była akademія, która odbywała się w istniejącej w owym czasie w Augustowie "Sali Foksa", położonej nieopodal Domku Przędzińskiego przy śluźce. Naszą szkołę poprowadzono na tę akademię parami. W sali było sporo ludzi. Na scenie stał duży stół, jak zwykle przy takich okazjach przykryty czerwonym sukniem, przy którym zajęło miejsce kilka osób cywilnych i w mundurach. Obok trybuna. Dobrzeńko zagał akademię i zapowiedział wystąpienie burmistrza. Wszyscy ucichli, a "Ociec miasta" odezwał się z trybuny w te słowa:

"My dziś obchodzimy trzecie rocznice ORMO. Nie każdy wie, co to je ORMO, insy wie, a insy nie wie. Wy cywile nie wieta, co to je ORMO. Tu siedzą panowie wojskowe. Oni wiedzą, co to je ORMO. A ORMO to je takie ORMO. Jak z tyłu za wojskiem idzie rozwarwa, to tak za naso agustosko milicjo idzie nase agustoskie ORMO. Dzięki nasemu agustoskiemu ormoju Augustowowi nie było zobójstwów i morderstwów. Niech żyje nase ORMO, kochane ORMO, agustosko ORMO!"

Sala, bijąc brawo, skonduje: ORMO, ORMO! Orkiestra gra międzynarodówkę, a Lech szczęśliwy, że wygłosił takie ładne przemówienie, śmieje się jak księżyc w pełni.

Ostatni rok mojego pobytu w Augustowie obfitował w wydarzenia, które głęboko utkwily w mojej pamięci. Były to wydarzenia, które w bardziej lub mniej elegancki sposób kończyły moje "sztubackie", beztróskie życie oraz brutalnie rozpoczynały moje życie dorosłe.

Po ostatnich wakacjach zaczęły się w naszej maturalnej klasie coraz bardziej rysować podziały. Początkowo niby wszystko było w porządku, ale atmosfera coraz bardziej zagęszczała się.

Właściwie nieporozumienia wystąpiły jeszcze przed wakacjami. Głównym bohaterem tych, wydawałoby się nic wspólnego z polityką nie

mających epizodów, był Michał. Jak zwykle wyniosły, nie ukrywający pogardy dla otoczenia, pragnący narzucić swoją wolę i swój punkt widzenia innym Michał "zapałał" nagle miłością do pięknej Sławki z klasy przyrodniczej, której ojciec był znanym w mieście działaczem partyjnym, a brat, też uczeń naszej szkoły, aktywnym działaczem ZMP. Michał zawsze usiłował ostentacyjnie odprowadzać Sławkę do domu po lekcjach, czy po południu, po odbywających się czasami zajęciach pozalekcyjnych. Robił to tak, ażeby wszyscy widzieli. Dziewczynie to imponowało, że taki inteligent interesuje się nią, zawsze chętnie w czasie przerw przebywała w towarzystwie Michała i pozwalała się odprowadzać.

Proletariackiej, zaangażowanej partyjnie rodzinnie taki stan rzeczy nie odpowiadał. Sprawa ta "stała" na zebraniu ZMP, do którego Michał nie należał i lekceważył podejmowane tam uchwały. Sławka miała nieprzyjemności, ale sielanka trwała nadal. Michał, w ostatnie wakacje, zmobilizowany został jako junak SP do pracy na jednej z wówczas prowadzonych w kraju "budów socjalizmu". Cały czas prowadził jakąś tam kancelarię, ale fakt był faktem, "inteligencik" dostał nauzkę. Tak mogłoby się wydawać, ale po wakacjach było bez zmian.

W klasie była grupa chłopaków, którzy nałogowo palili papierosy. Początkowo robili to w ubikacjach. W ostatnim roku natomiast nierzadko można było zobaczyć kogoś palącego w klasie. Nałóg ten rozprzestrzenił się, paliliśmy prawie wszyscy. Pamiętam, modne było przypalanie papierosa od dwóch, sterczących ze ściany, będących pod napięciem, przewodów po zdemontowanym przełączniku. Pomijając wszystkie inne aspekty, były to bardzo niebezpieczne zabawy, ale praktycznie wszystko było w porządku, principia ZMP nie były narażone na szwank. W klasie była też grupa chłopaków, którzy nie stronili od kieliszka. Ja siedziałem w środkowym rzędzie, w drugiej ławce /w klasie były trzy rzędy ławek/, a w następnej, trzeciej ławce, za mną, siedział Szczepan Zawadzki. Szczepanowi zdarzało się czasem przychodzić do szkoły po jakiejś nocnej libacji w stanie bardzo opłakanym. Wtedy szturchał mnie w plecy i kazał siebie w czasie lekcji zasłaniać. Rozstawiałem bardzo łokcie, rozszerzałem marynarkę, a on, za moimi plecami, spał. Nie sądzę, żeby nauczyciele tego nie widzieli, ale nie pamiętam, żeby kiedyś któryś nauczyciel zareagował. Szczepan był aktywistą ZMP, posiadał więc status "świętej krowy".

Przedsiębiorczy koledzy organizowali spotkania przy kieliszku, w których brali udział chyba wszyscy chłopcy z klasy. Pamiętam kilka takich spotkań. Spotkania ~~te~~^{te} odbywały się oczywiście poza szkołą. Na kilka tygodni przed takim planowanym spotkaniem u któregoś, mie-

szkającego w Augustowie /na mieście/ kolegi, stawiany był galon wina zwany "bańcocyk". Kiedy zinn wino to było już gotowe, spuszczano je do butelek czy innych naczyń /na przykład były to kilkilitrowe kanki/, następnie "wzmocniano" je spirytusem. Tak przygotowany napój był przez całą masę część klasy "rozpijany" na wspólnym spotkaniu. Takie spotkania odbywały się początkowo w mieszkaniach prywatnych u kolegów. Pinał takiego spotkania był zawsze ~~podchwyty~~ ^{optakany}. Nic więc dziwnego, że w końcu nikt z kolegów nie chciał nas przyjąć do swego domu.

Ostatnie takie spotkanie odbyło się gdzieś chyba w końcu listopada 1949 r. Wino w "balonie" już "wychodziło", trzeba było wspólnie "rozpić". Trudność polegała jednak na tym, że nie mieliśmy gdzie tego zrobić. Za późna już była pora, żeby pójść do lasu, a do żadnego lokalu nie mogliśmy się wcisnąć. Nikt nie chciał nas przyjąć. Wreszcie któryś z kolegów wpadł na pomysł, że możemy to zrobić u Michała - on ma przecież kamienicę w mieście. Michał oczywiście nie tylko nie miał nic przeciwko temu, ale wręcz przyjął tę propozycję z entuzjazmem. Trudność jednak polegała na tym, że nie miał on absolutnie żadnego wpływu na użytkowanie swojej kamienicy i jego zgoda nic nie znaczyła. Wyrażając zgodę na skorzystanie z kamienicy Michał posunął myśl, że nasi klasowi aktywiści ZMP mogą uzyskać zgodę któregoś z zastawianych w kamienicy urzędów na zorganizowanie naszego spotkania ~~tego w~~ na terenie tego właśnie urzędu.

Uwagę swoją skierowaliśmy na Zarząd Powiatowy ZMP, który między innymi zajmował kilka pomieszczeń w kamienicy Michała. Nasi klasowi aktywiści ZMP wzięli tę sprawę na siebie i za kilka dni poinformowali nas, że sprawa została załatwiona pomyślnie. Przewodniczącym Zarządu Powiatowego ZMP w Augustowie był w tym czasie naiejaki Pytel /nie wiem, kim on był, nigdy potem nic o nim nie słyszałem/, który umożliwił naszym aktywistom takie spotkanie pod warunkiem, że on też weźmie w nim udział.

Pomieszczenie, które zajmował Zarząd Powiatowy ZMP znajdowało się na parterze. Była tam sala, gdzie ustawionych było kilka ławek /sala przeznaczona pewnie na zebrania/. Z sali tej wchodziło się do gabinetu przewodniczącego /biurko z telefonem, jakiś regał z propagandową literaturą/, z drugiej strony natomiast było wejście do innego pomieszczenia, o mniejszej powierzchni niż gabinet przewodniczącego. Była to "rupieciarnia", w której panował nieład - wśród rupieci stał oparty o ścianę, zdekompletowany, motocykl.

W umówionym dniu ściągnęli wieczorem wszyscy uczestnicy zaplanowanej libacji. Przyniesione w butelkach i kankach "wzmocnione" wino

oraz jakąś zakąskę, która też - a jakże - była przewidziana, ulokowaliśmy w "rupieciarni". Sami, siedząc na ławkach, czekaliśmy na przybycie przewodniczącego Pytla. Nasi aktywiści poinformowali nas bowiem, że towarzysz Pytel ma niespodziewanego gościa z Zarządu Wojewódzkiego ZMP w Białymstoku, z którym właśnie jest w Komitecie Powiatowym Partii. Odprowadzi go następnie do hotelu i przyjdzie do nas. Narazie musimy cicho siedzieć i czekać na przybycie tow. Pytla. Wtedy dopiero zacznie się libacja.

Czas płynął, zgromadzone w "rupieciarni" zapasy nęciły, a towarzysz Pytel nie przychodził. Zdesperowani czekaliśmy - nie było innego wyjścia. Wreszcie z ulicy /tam ktoś stał "na zeksach"/ nadeszła informacja, że tow. Pytel, w towarzystwie gościa z Województwa, idzie w kierunku okupowanego przez nas lokalu.

Co robić?!⁰ Opuśczeniu lokalu nie było mowy, było tylko jedno wejście. Wychodząc przez nie wpadlibyśmy wprost na zbliżających się.

Michał, nie tracąc rezonu, "zarządził" zebranie. Był to właśnie okres, kiedy organizowano uroczyste obchody rocznicy urodzin Stalina. Michał wykoncypował, że my jesteśmy grupą aktywistów ZMP, która następnego dnia wyjeżdża w teren zorganizować na wsiach zebrania. W czasie tych zebrań ludność będzie spontanicznie wysyłała do Moskwy telegramy z życzeniami dla Stalina.

Tak też i było. Wszyscy pokornie siedzieliśmy na ławkach, Michał przed nami w charakterze prowadzącego zebranie. Otworzyły się drzwi i wszedł wystraszony Pytel w towarzystwie gościa z województwa. Michał z przejęciem wygłaszał mowę pochwalną na cześć tow. Stalina, wszyscy^z zainteresowani^u słuchali. Michałowi łatwo to przychodziło, miał zawsze zdolności aktorskie, no i jako przygotowujący się do matury, miał odpowiedni zasób wiadomości na temat. Był obskuchany i znał różne slogany, którymi wtedy karmiło nas radio i prasa. Nieprzeciętna inteligencja dopełniła reszty. Improwizacja była wspaniała. Towarzysz z województwa był oczarowany i zanotował pewnie na koncie Pytla wielki plus. Chwilę obaj porozmawiali w gabinecie i towarzysz z województwa odszedł do hotelu. My zostaliśmy sami i wreszcie mogliśmy rozpocząć.

Była jednak już późna godzina. My, mieszkający w internacie, musieliśmy przed godz. 22⁰⁰ wrócić. Pośpiesznie więc opróżniliśmy nasze przydziały i wraz z Lubkiem, Rajmundem i chyba Wackiem, z parującymi głowami, wrócić musieliśmy do internatu.

Pozostali koledzy balowali jeszcze długo. Podochocony Michał telefonował do centrali i prosił o połączenie z tow. Stalinem, któremu, w związku z jego urodzinami, chce osobiście złożyć życzenia. Mogło to się bardzo źle skończyć, ale sprawa nie ujrzała światła dzien-

nego, ponieważ właśnie w tym czasie centralę miejską obsługiwał znajomy kolega, który kiedyś uczył się w gimnazjum i, ze względów rodzinnych, był zmuszony przerwać naukę i pójść do pracy.

Libacja w Zarządzie Powiatowym ZMP była naszym ostatnim, wspólnym spotkaniem poza szkołą. Narastające od dłuższego czasu podziały oraz wydarzenia, które w najbliższym czasie miały nadejść, ostatecznie nas rozdzieliły.

W tamtych czasach augustowskich ostatnich lat czterdziestych, kiedy to zbliżałem się do "małej matury", kiedy byłem uczniem ~~przedostatniej~~ przedostatniej, a szczególnie ostatniej klasy, maturalnej, przeżycia przyjemne przeplatały się z niedobrymi. Z upływem czasu ^{coraz mniej} nie było przeżyć przyjemnych, natomiast piętrzyć się zaczęły przeżycia nie-dobre. Harcerstwo, sztubackie sympatie i przyjaźnie dzisiaj wspominam bardzo rzewnie i ciepło, niemalże z łeską w oku. Z odrazą natomiast wspominam Urząd Bezpieczeństwa, Jaworskiego i jego "wychowawcze" poczynania, ZMP w ogóle i niektórych kolegów, którzy, stosując ZMP-owskie inspirowane przez Jawoskiego, metody, zachowali się w mojej pamięci.

Tymczasem lekcje w szkole odbywały się normalnie i nie pozostawiały nic nie wskazywało na to, że wśród młodzieży dzieją się różne dziwne rzeczy. Sprawcą i animatorem różnych, bardzo zaskakujących, postaw, był oczywiście Jaworski. Niektórzy ludzie zachowywali się rzeczywiście dziwnie i zaskakująco. Oto na przykład, pochodząca ze wsi pod-augustowskiej, Alicja Wnukowska /czy dobrze pamiętam to nazwisko?/, nie chciała w ogóle rozmawiać z ojcem, który ją w internacie odwiedził, "bo to przecież czarna reakcja". Albo, pochodząca z Tajna, /lub najbliższych okolic/, Stasia Karpińska, znana w szkole aktywistka Sodalicii Mariańskiej, w przeciągu dosłownie kilku tygodni, zmieniła radykalnie swoje poglądy, została aktywistką ZMP i z zapałem cechującym neofitów wychwalała ideały socjalizmu. Gdzie po maturze poszła Alicja nie wiem, Stasia natomiast skończyła Akademię Medyczną w Białymstoku i została lekarzem. - czy rzeczywiście dokonana przed maturą jej coś pomogła? metamorfozą

Metamorfozę światopoglądową przeszedł też, mieszkający z nami w internacie, Wacek, ale do niego wrócę później.

Ciągle zdenerwowany i zniecierpliwiony - tak mi się przynajmniej wtedy wydawało, Jaworski, bez przerwy i przy każdej okazji upominał i "nawracał" przedstawicieli czarnej reakcji, za których większość z nas uważał. "Marksistowski jezuita" - jak ktoś go kiedyś określić. Określenie to, jak ulał, pasowało do niego. Wyraźnie faworyzował tych, o których był przekonany, że hołdują marksistowskiemu "naukowemu" światopoglądowi.

Kilka miesięcy przed maturą grupa ochłopców z naszej klasy skierowała pismo do księdza prefekta. Oświadczyli oni, że są niewierzący i chcą być skreśleni z listy członków kościoła. Koledzy ci prezentali uczęszczanie na lekcje religii, nie mówiąc o tym, że już dawno nie chodzili do kościoła. Wszystko to działo się pod patronatem Jaworskiego. W grupie tej był, między innymi, mieszkający z nami w internacie, Wacek, były ministrant i "Sodalis Marianus", kolega, który znał wiele naszych tajemnic.

Na terenie szkoły coraz częściej pojawiał się,ⁱ szczególnie w naszym otoczeniu przebywał, Józef Dobrydnio, którego przezywaliśmy "Jozwe". Pochodził on z okolic Bekdy, miał w Augustowie zamężną siostrę i kiedyś był uczniem naszej szkoły./uczył się w równoległej klasie. Bywał też z nami na obozach harcerskich. Ze szkoły został usunięty, o ile pamiętam, za włamanie się do pokoju pani Mikołajewskiej i poprawienie klasówki z matematyki.

Po wyrzuceniu ze szkoły Jozwe nigdzie nie pracował i, po pewnym czasie, zaczął pojawiać się w szkole, początkowo rzadko i nieśmiało, potem wręcz oficjalnie i pewnie. Początkowo dziwiło mnie to bardzo, bo pamiętam, jak po usunięciu Jozwe ze szkoły, Jaworski publicznie oświadczył, że "dla takich jak ten w szkole nie ma miejsca".

Jozwe mnie otoczył szczególną opieką. Kiedyś przejeżdżając motocyklem przez Bargłów, spotkał mnie u Rodziców. Wystąpił wtedy jako mój kolega i serdeczny przyjaciel. Oświadczył mi kiedyś:

- Jesteś fajny chłop, musisz dostać się na studia,
ja ci w tym pomogę -

Powiedział mi, ~~wzniekszyxxxxxx~~ że muszę zostać aktywistą ZMP i to nie tylko w szkole, ale przede wszystkim na terenie powiatu.

Studia były dla mnie czymś nadrzędnym, musiałem przecież na nie się dostać, ukończyć je i mieć zawód. Postanowiłem więc poddać się "zabiegom" Jozwego. Oczywiście do pewnych granic, których przekroczyć w żadnym wypadku nie mogłem.

Dwa takie zadziałania, pod dyktando Jozwego wykonane poza szkołą, pamiętam. Pierwsze to był wyjazd w teren w jakichś propagandowych celach, wraz z Jozwem. Pojechaliśmy w okolice Szczebry czy Nowinki. Odwiedziliśmy położony na koloniach dom, gdzie Jozwego przyjmowano jako starego znajomego, zaprzyjaźnionego z gospodarzami. Rozmawiano o jakichś sprawach niezrozumiałych dla mnie, wymieniano jakieś nazwiska i adresy. Gospodarz nie krępował się mnie, uważając pewnie, że skoro jestem w towarzystwie Jozwego, to jestem "swoją". Był on na pewno czyimś konfidentem, zapewne współpracował z UB. Jozwe oświadczył mi, że wprowadza mnie w teren i zapowiedział następne tego typu wyjazdy, do których jednak nie doszło.- po prostu musia-

łem się z tego wycofać, to już przekraczało nakreślone przeze mnie granice.

Innym razem wyjeżdżałem w ten sam, delegowany przez Zarząd Powiatowy ZMP, w związku z rocznicą urodzin Stalina. Trzeba było pojechać na wieś, zwołać tam zebranie mieszkańców, wygłosić "psalm pochwalny" o towarzyszu Stalinie i spowodować wysłanie od mieszkańców wsi do Moskwy depeszy z życzeniami urodzinowymi. Wybrałem swoje strony, pojechałem do Solistówki, gdzie sołtysiem był Józef Dziełakowski, dobrze mi znany przjaciel Rodziców, nawet podobno jakiś nasz daleki kuzyn /jedna z moich prababek po kądzieli, Krzesicka, pochodziła z Dziełakowskich/. Zebrania oczywiście nie zwołałem, zostawiłem jakiejś treści telegram, który następnego dnia /był niedziela/ sołtys miał wysłać.

Którejś niedzieli, a było to pewnie w karnawale 1950 roku, zorganizowano w internacie, po ~~lekcjach~~ kolacji, "potańcówkę". Ktoś grał na pianinie, reszta tańczyła. Ja też tam byłem. W pewnym momencie w drzwiach zobaczyłem Jozwego, który dawał znaki, że chce ze mną rozmawiać. Wyszedłem na korytarz. Jozwe powiedział, że chce ze mną porozmawiać na osobności i zaproponował, żebyśmy weszli do pustej klasy. Chciałem zapalić światło, Jozwe gwałtownie zaprotestował. Zajęliśmy miejsce w ławce.

Jozwe powtórzył swoją deklarację pomocy mi w dostaniu się na studia. Muszę jednak spełnić warunki, które on mi zaraz podyktuje. Otóż pierwszy i podstawowy warunek, to muszę skierować do prefekta pismo, w którym wyrzeknę się przynależności do kościoła, tak jak koledzy poproszę o skreślenie mnie z listy kościoła katolickiego i przestanę uczęszczać na lekcje religii. Spełnienie tego warunku leżało zdecydowanie poza granicą, której przekroczyć nie mogłem w żadnym wypadku. Oświadczyłem więc, że warunku tego nie spełnię nigdy i jeżeli jest to podstawowy warunek, to wymienianie następnych jest zbędne.

Jozwe długo trzymał mnie jeszcze w ciemnej sali. Przekonywał mnie, że warunek ten powinienem spełnić, bo inaczej o studiach mogę przestać marzyć. Ostatecznie, przy rozstaniu prosił mnie, żebym jeszcze się zastanowił, on jednak mi radzi pismo do księdza skierować i zakończył:

- A ja tak chcę tobie pomóc -

Na potańcówkę już nie poszedłem.

W naszej klasie, tak jak zresztą we wszystkich innych klasach w całej szkole, istniało i "ostro" działało klasowe koło ZMP. Istniało ogólne przeświadczenie, że podstawowym warunkiem dostania się na studia jest właśnie przynależność do ZMP. Aktywna działalność w tej

organizacji zwiększała szanse. Myślny byli w klasie ~~matematycznej~~ maturalnej, stąd niektóre osoby działały aktywnie i chciały na swoim koncie odnotować osiągnięcia, które ocenione byłyby wysoko, szczególnie przez Jaworskiego. Od niego bowiem przede wszystkim zależała opinia ze szkoły, która będzie może w głównej mierze decydowała o tym, czy oceniany w niej maturzysta uzyska prawo wdziania czapki studenckiej. Byli więc tacy koledzy, którzy prześcigali się w gromadzeniu zasług.

Któregoś dnia, po lekcjach, na kilka miesięcy przed maturą, zarządzono zebranie klasowego koła ZMP. Zebraliśmy się w klasie prawie wszyscy./do ZMP nie należeli tylko Michał Lekszycki, Rajmund Sadowski i Lubek Karpio/. Był obecny Jaworski.

Zebranie zagaik Julek Siejko, który pełnił funkcję przewodniczącego koła. Powiedział on, że zebranie poświęcone jest ocenie sytuacji politycznej ^w ^{ie} klasy i udzielił głosu Bogdanowi Dabkiewiczowi. Bogdan był jednym z tych, którzy starali się zapisać na koncie swojej działalności ZMP-owskiej jak najwięcej osiągnięć, które otworzyłyby mu drogę na studia. Ludzie zmieniają się. Pamiętam Bogdana z pracy w harcerstwie. Nic wtedy nie wskazywało na to, że zmieni on aż tak orientację. Ostatecznie Bogdan nie skończył żadnych studiów.

Przemówienie Bogdana było mocne, ale ogólne. Mówił, że w klasie źle się dzieje, że działa wróg klasowy, że kilku uczniów w klasie prowadzi wrogą robotę. Powinniśmy tę działalność ukrócić. Ma nadzieję, że towarzysze wiedzą o co chodzi i w czasie dyskusji podadzą konkretne przykłady.

W klasie zaległa cisza. Tylko Jaworski zachęcał towarzyszy do podania przykładów wrogiej działalności.

Pierwszy zabrał głos Wacek. Przyznał rację Bogdanowi i jako przykład podał fakt, jak to kiedyś zestawialiśmy wystawę "800-lecie Moskwy" i jak Michał Lekszycki napluł na planszę przedstawiającą tow. Stalina i zakończył:

- Tow. Poziemski był tam obecny i może to potwierdzić.-

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na mnie. Szczególnie boleśnie czułem na sobie wzrok Jaworskiego. Jego marsowa mina i piorunujący wzrok paraliżowały mnie. Sie ~~działem~~ absolutnie nie wiedząc, co mam powiedzieć i jak się zachować. Wreszcie ciszę przerwał zły głos Jaworskiego:

- No, młodzieńcze, wstań i coś powiedz!

Wstając nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Zdawałem sobie sprawę z tego, że potwierdzenie faktu oplucia przez Michała portretu Stali-

na równa się usunięciu go ze szkoły.- przewinienie ogromne, za które może być tylko jedna kara, usunięcie ze szkoły, a może nawet więzienie. O sobie i konsekwencjach, jakie mnie mogą spotkać wtedy nie myślałem, ale wiedziałem, że nie mogę zrobić świństwa jednemu ze swoich najlepszych kolegów. Wiedziałem, że co bym nie powiedział, to będzie źle albo dla Michała, albo dla mnie. Ostatecznie powiedziałem niepewnie:

- Bardzo możliwe, że taki fakt miał miejsce, ale ja nie wiedziałem -

Na to Wacek wykrzyknął:

- Jak to nie widziaks! Przecież chusteczką wytarłeś z portretu ślinę! -

Jaworski zareagował na to w taki sposób, jakby go ktoś ukłuł sztydłem w pewną część ciała. Wrzeszcząc określił kim to ja jestem i jaka to pomyłka, że się tutaj znajduję. Wróg klasowy, surowe konsekwencje, wichrzyciel i cały szereg jeszcze innych tego rodzaju określeń padło z ust Jaworskiego. Ostatecznie zakończył:

- Towarzysze, ja zaraz wyjeżdżam do kuratorium do Bialegostoku, za kwadrans odchodzi autobus, muszę więc wyjść. Wy zastanówcie się, co z tym elementem zrobić i podejmijcie odpowiednie decyzje -.

Jaworski wyszedł. W klasie zapanowała przeraźliwa cisza.

Nie wiem, jak długo to trwało. Byłem pewny, że zaraz zostanie podjęta uchwała o moim usunięciu ze szkoły. Już widziałem siebie conajmniej w wojsku, w roboczej kompanii, w kopalni, albo proces i więzienie. Myślałem: - Boże, jak ja to wszystko wytrzymam?! -.

Nie wiem, jak się to stało, że po wyjściu Jaworskiego na temat "mojej sprawy" w ogóle na zebraniu nic się nie mówiło. Tak, jak gdyby nic nie zaszło, nikt nie podjął polecenia przekazanego przez Jaworskiego. Myślę, że koledzy doszli do wniosku, iż sprawy wbrew ich woli, za daleko zabrnęły. Do matury, którą zdawaliśmy za kilka miesięcy, do "mojej sprawy" nikt nigdzie - przynajmniej oficjalnie - nie powrócił. Nie wiem, komu mam to zawdzięczać.

W takich warunkach trudno było się uczyć i przygotowywać się do matury. Żyłem w ciągłym strachu, po prostu hałem się. Często jeździłem, chociaż na parę godzin do domu, żeby w rodzinnej atmosferze trochę się uspokoić. Rodziców w swoje kłopoty nie wtajemniczałem, ale niewątpliwie odczuwali Oni mój niepokój.

Kiedyś, wczesnowiosennego dnia, po południu, pojechałem do ^Bargłowa. Ciepło rodzinne trochę mnie ogrzało. Mama włożyła do mojej teczki upieczoną przez siebie bułkę i, uspokojony, wieczornym

autobusem, wróciłem do Augustowa.

Wysiadając z autobusu, który jak zwykle zatrzymał się na rynku w Augustowie, wpadłem wprost na stojącego przed drzwiami Jozwego. Odniosłem wrażenie, że czekał na mnie.

Chwycił mnie za rękę, odciągnął na bok i szeptem oznajmił, że spotykamy się w konspiracji i ma mnie do zakomunikowania coś bardzo ważnego. Musimy więc przejść na Zarzecze, do internatu, bocznymi uliczkami, żeby możliwie nikt z nie powołanych osób nas nie zauważył.

Kluczyliśmy więc po mieście, na Zarzecze przeszliśmy przez służbę, gdyż zdaniem Jozwego to przejście było mniej uczęszczane. Oznajmił mi, że jest bardzo głodny i wyraził przypuszczenie, że skoro jadę z domu, pewnie w teczce mam coś do zjedzenia. Kiedy otworzyłem teczkę i pokazałem bułkę, odłamał jej spory kawał i zjadł. Chciał pewnie w ten sposób sprawdzić zawartość mojej teczki.

W drodze do internatu Jozwe przedstawił mi następującą historię:

Należy on do zakonspirowanej, tajnej, antykomunistycznej, organizacji. Do tej organizacji należy cały szereg osób, które ja znam. Wszyscy wiedzą, że on pracuje w UB. Właśnie do UB był on delegowany przez tę tajną organizację jako "wtyczka". Teraz niestety został zdekonspirowany i ucieka do lasu. Organizację zdradził Szczepan Zawadzki, wskazując także magazyn broni, która wpadła w ręce komunistów. On wie, że ja, tak jak i mój Ojciec, jestem pożądanym człowiekiem i dobrym Polakiem. Ostateczna rozprawa z komunistami jest już bliska. Jak ta rozprawa będzie się rozpoczynała, on do mnie przyśle swoich ludzi i bardzo liczy na mój udział. On ma rozeznanie w UB i wie, że w szkole są planowane różne akcje. Między innymi będą sądzeni, za działalność antypaństwową, Mikołajewską i Fronckiewicz. W tym celu zjedzie do szkoły specjalny trybunał.

Długo staliśmy w ciemnym miejscu, nieopodal budynku gimnazjum. Słuchałem wynurzeń Jozwego milcząc. Nie wiedziałem, jak powinienem zareagować, co powiedzieć. W myślach błędziło mi słowo "provokacja", bo tylko taka mogła być ocena tego, co usłyszałem z ust Jozwego. Wątpliwości zrodziły się potem. W końcu Jozwe powiedział:

- Czekaj na wysłanników ode mnie, pamiętaj, że liczę na ciebie. Cześć -

Jozwe poszedł w kierunku koszar, sugerując w ten sposób swoje "pójście do lasu". Ja długo stałem pod budynkiem szkolnym, zanim opamiętałem się i wszedłem do internatu.

W nocy bardzo źle spałem. Rozpamiętywałem to wszystko, co opo-

wiedział Jozwe. Nad ranem chyba zrodziły się wątpliwości:

- Może to prawda - pomyślałem.

Kiedy wstałem, wszyscy w internacie jeszcze spali. Obudziłem Rajmunda Sadowskiego. Kiedy, zdziwiony, wyszedł na moją prośbę na korytarz, opowiedziałem mu o wczorajszych wynurzeniach Jozwego. Po usłyszeniu tych rewelacji Rajmund oprzytomiał ostatecznie. Kiedy bowiem na moją prośbę opuszczał sypialnię, oświadczył, że był zaspany.

- Chodźmy do Michała -

powiedział Rajmund, co ja przyjąłem za aprobatę.

Zeszliśmy na piętro, gdzie mieszkał Michał ze swoją mamą. Początkowo pani Lekszycka protestowała, "bo Michałek jeszcze śpi". Powiedzieliśmy, że mamy wyjątkowo pilną i ważną sprawę. Za długą chwilę wyszedł do nas na korytarz, wyrwany przedwcześnie ze snu, zaspany Michał.

Teraz, już we trzech, przeanalizowaliśmy wczorajszą moją przygodę. Doszliśmy do wniosku, że wszystko wskazuje na to, iż jest to zwyta grubymi nićmi prowokacja. W związku z tym, ażeby obronić siebie, muszę zameldować o tej rozmowie, władzom. Nawet gdyby to, co Jozwe wczoraj powiedział było prawdą, to mój meldunek niczego nie zepsuje - władze już wiedzą, a moja informacja nic nowego nie wniesie. Słowem, jest tylko jedno wyjście: trzeba zameldować, tylko komu. Do UB przecież nie pójdę. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, kiedy informację przekażę do klasowego koła ZMP.

Tak też i zrobiłem. Był stosunkowo ciepły, wczesnowiosenny dzień. Na drugiej, czy trzeciej lekcji mieliśmy w rozkładzie zajęć gimnastykę, na którą wyszliśmy na boisko szkolne. Jakieś skoki czy biegi odbywane były kolejno przez poszczególne osoby, reszta klasy stała w gromadzie i obserwowała wyczyny kolegów, oczekując na swoją kolejkę. P

Poprosiłem Julka Siejkę o rozmowę na osobności, uprzedzając go, że pragnę z nim rozmawiać jako z przewodniczącym klasowego koła ZMP, w bardzo ważnej sprawie. Opowiedziałem Julkowi wczorajsze swoje przeżycia i dokładnie przedstawiłem wynurzenia Jozwego.

Widziałem, że moje opowieści wyraźnie Julka zdziwiły, wręcz zaobserwowałem w jego oczach lęk. Natychmiast wywołał z grupy kolegów Szczepana Zawadzkiego i zaczął mu opowiadać o rewelacjach, które usłyszał ode mnie. Szczepan żadnego zdziwienia nie przejawiał, odniosłem wrażenie, że Julek opowiada o sprawach, które są Szczepanowi dobrze znane. Przerwał Julkowi opowiadanie, powiedział, że na ten temat zaraz porozmawiają oddzielnie, a zwracając się do mnie powiedział:

- Dziękujemy ci, Tadeusz, za twoją postawę. Z twoich

informacji zrobimy odpowiedni użytek. Teraz idź i zapomnij o tym, co było -!

Na przerwie, jeszcze tego samego dnia lub któregoś z dni najbliższych, zobaczyłem w tłumie młodzieży na korytarzu Jozwego. Kiwał w moim kierunku ręką, uśmiechnął się serdecznie i powiedział:

- Cześć, Tadeusz! -

Powinienem wtedy dać mu w mordę. Nie zrobiłem tego, bałem się. Dzisiaj tego żałuję.

Matura zbliżała się i zajęcia w szkole odbywały się zgodnie z rozkładem. Najchętniej lubiłem zajęcia z matematyki i fizyki, prowadzone przez panią Mikołajewską. Byłem na bieżąco, przeważnie wiedziałem, o czym jest mowa na lekcji, prawie na każdej lekcji matematyki byłem wzywany do odpowiedzi - należałem do grupy uczniów, z którą pani Mikołajewska pracowała na bieżąco. Zresztą matematyka, był to przedmiot, z którym nigdy w życiu nie miałem kłopotu. Z matematyki, poza teorią, rozwiązywaliśmy bardzo dużo zadań. Z fizyką było inaczej - przeważnie teoria, a zadań było bardzo mało. Całe życie miałem potem kłopoty z zadaniami z fizyki.

Lubiłem też lekcje historii, myślę, że sprawił to przede wszystkim osobisty urok nauczyciela tego przedmiotu, pana Aleksandra Frąckiewicza oraz jego uniejętność zainteresowania klasy przedmiotem. Szczególnie z wielkim zaangażowaniem opowiadał o naszych dziejach, często tragicznych i pełnych różnych sprzeczności, w XVIII i XIX wieku, nie mówiąc już o wieku XX. Jego oceny nie zawsze zgodne były z optyką stalinowską obowiązującą wówczas wszechwładnie. Nie miał on chyba z tego powodu przykrości, bo ci aktywiści ZMP-owcy, którzy mogli je spowodować, nie bardzo byli w stanie wyczuć i ocenić odstępstwa od obowiązującej stalinowskiej linii.

Pan Aleksander często ilustrował omawiane fakty historyczne dziełami literackimi Sienkiewicza, Żeromskiego, Prusa, Rejmonta i innych. Swoje amatorskie zainteresowania historią zawdzięczam przede wszystkim panu Frąckiewiczowi i swojemu Ojcu, który był człowiekiem bardzo czytany i z którym bardzo wiele czasu spędziłem na rozmowach o naszej, pogmatwanej historii, szczególnie ostatnich wieków.

Zainteresowania moje językiem polskim miały raczej pragmatyczny charakter. Był to bowiem przedmiot maturalny i nie ukrywam, że najbardziej na maturze jego się obawiałem. Liczyłem na to, że na egzaminie pisemnym będzie na pewno jakiś, takzwany, "temat wolny", a na ustnym komisja trochę przymknie oko i jakoś tam będzie. Udzieliła mi się pewnie niepewność, którą wyczułem u nauczycielki tego przedmiotu, pani Marii Winiarczyk - zawsze obawiała się, czy jej interpretacja zgodna jest z obowiązującą optyką socrealistyczną - to się

wyraźnie wyczuwało.

Kto prowadził przedmiot "polityczny" /nauka o Polsce i świecie współczesnym, czy jakoś inaczej w tym czasie się nazywał/, nie pamiętam. Materiał² dialektyczny, historyczny, marksizm, leninizm, stalinizm, różne filozofie, historia ruchu robotniczego... Wiedziałem, że tutaj komisja maturalna będzie miała największe pole do popisu i w razie czego zawsze może do czegoś się przyczepić.

Jeszcze był jeden przedmiot, który trzeba było zdać na egzaminie ustnym, a mianowicie prowadzona przez Jaworskiego astronomia. Wydawało mi się, że przedmiot ten był w miarę dobrze przez mnie opanowany. W dodatku dysponowaliśmy bardzo dobrym podręcznikiem, którego autorem był Rybka.

Ostatecznie obawiałem się zbliżającego się egzaminu maturalnego. Po nie tylko matematyka i fizyka, myślałem, ale ta polityka, do interpretacji której można się zawsze przyczepić. W dodatku ta okropna atmosfera, która wokół mnie i jeszcze kilku innych kolegów panowała i coraz bardziej zagęszczała się. Atmosfera, która nie tylko nie sprzyjała nauce, ale wręcz ją uniemożliwiała. Człowiek był zawsze podenerwowany, niepewny, wręcz zaszczuty.

Jaworski, ten "marksistowski jezuita", był twórcą tej nerwowej atmosfery, a wtórowali mu w tym wykreowani przez niego ZMP-owscy aktywiści, którzy w ten sposób planowali lekko wejść w mury wyższej uczelni i osiąść indeks. Jaworski cały czas i przy każdej okazji nas "wychowywał" na pogadankach w internecie, w ogródku /może dlatego dzisiaj nie chcę pracować na działce?/, a szczególnie na prowadzonych przez siebie lekcjach. Przeważnie bardzo mało czasu poświęcał sprawom merytorycznym związanym z przedmiotem, a gross lekcji to było to właśnie "wychowanie", polegające na wybrzydzeniu, jacy to my jesteśmy. Wydawało mi się, że Jaworski całą parą nas uczy, tylko że 75% tej pary idzie w gwizdek i to głośny, utrzymany w wysokiej tonacji gwizdek, którego hałas przekazuje do uszu niemożliwą do zniesienia liczbą decybeli.

Maturę wyznaczono nam na 14 i 15 maja - egzamin pisemny z języka polskiego i matematyki, a w końcu maja, w jednym dniu, mieliśmy zdać egzamin ustny z języka polskiego, fizyki, matematyki, astronomii i polityki! Warunkiem dopuszczenia do egzaminu ustnego było zdanie egzaminu pisemnego. Nie pamiętam nawet, co było treścią zadań z matematyki, na rozwiązaniu których polegał egzamin pisemny. Po tym dniu humor mi się poprawił, bo wiedziałem, że zadania rozwiązałem poprawnie.

Poprzedniego dnia pisaliśmy egzamin z języka polskiego. Były trzy tematy, wśród których, zgodnie z moimi przewidywaniami,

był temat niby wolny, który brzmiał: "Nowa wieś polska w planie 6-letnim". Ten właśnie temat wybrałem. Najpierw, na podstawie kilku utworów literackich, wśród których sztandarową pozycję stanowiło "dzieło" Wandy Wasilewskiej "Ziemia w jarzmie", opisałem, jak to nędznie wyglądała polska wieś przed wojną. Potem dałem upust fantazji i zaprezentowałem wizję wsi polskiej, jaka to ona będzie po realizacji planu 6-letniego: traktory, elektryfikacja, mechanizacja ciężkich prac polowych, kultura itd.

Po kilku dniach ogłoszono wyniki egzaminu pisemnego. Czwórka z matematyki, trójka z polskiego, zostałem więc dopuszczony do egzaminu ustnego. Następne dni, prawie dwa tygodnie, poświęciłem na utrwalanie i pogłębianie wiadomości, szczególnie z języka polskiego i "polityki". Pozostałych przedmiotów, tj. matematyki, fizyki, astronomii raczej się nie bałem. Nie bardzo mi to jednak dobrze szło, byłem ciągle podenerwowany, pełen złych przeczuć i niektórych wiadomości nie mogłem poukładać w głowie.

Wreszcie przyszedł dzień, kiedy stanąłem przed komisją egzaminacyjną. Przewodniczącym był oczywiście Jaworski, a w skład jej wchodziły panie Mikołajewska i Winiarczyk, był jakiś czynnik społeczny, którym był przedstawiciel komitetu powiatowego partii, był przedstawiciel kuratorium i chyba ktoś jeszcze. ~~Texty~~ Tematy z poszczególnych przedmiotów, napisane na kartkach, losowało się.

Najpierw odpowiedziałem z matematyki, pamiętam, że rozwiązywałem jakieś zadanie, omawiałem przebieg którejś funkcji trygonometrycznej. Potem była fizyka. Wylosowałem trzy zagadnienia, wśród których było coś z optyki. Obydwa te przedmioty poszły mi dobrze, czułem to. Poprawiło to wyraźnie moje samopoczucie.

Potem była "polityka", która poszła mi nadzwyczaj gładko. Materializm historyczny, jakieś sprawy związane z historią ruchu robotniczego i coś tam jeszcze.

Z astronomią było trochę gorzej. Egzaminator z tego przedmiotu, którym był Jaworski, wyraźnie "czepiał się" mnie. Nie strzeliłem jednak żadnej gafy i wydawało mi się, że odpowiedź powinna być uznana za wystarczającą.

Jako ostatni został język polski. Ponieważ egzamin przeciągał się, a na odpowiedź przed całą komisją czekało jeszcze kilka osób, pani Mikołajewska, która już wszystkich w grupie z matematyki i fizyki przeegzaminowała, zaproponowała ażeby, w celu usprawnienia przebiegu egzaminu, stworzyć podkomisję, co zostało przyjęte. Takim więc sposobem język polski składałem przed podkomisją, którą tworzyły panie Winiarczyk i Mikołajewska.

Wyciągnąłem kartkę, na której były trzy tematy: niedola w nowe-

lach Żeromskiego, rola Arian w Polsce i jeszcze jakiś temat z gramatyki. Kiedy przeczytałem tematy, pani Mikołajewska wyraźnie ożywiła się. Okazało się, że ten pierwszy temat brzmi tak samo, jak temat, który ona pisała z języka polskiego na swojej maturze. Zamiast odpowiadać, musiałem słuchać opowiadania pani Mikołajewskiej, jak to ona kiedyś rozwijała ten temat i w swojej pracy maturalnej pisała. Pani Winiarczyk milczała, a ja coraz bardziej niepokoilem się - był to temat, na który, ze wszystkich trzech, miałem najwięcej do powiedzenia. Wreszcie, kiedy niewiele mogłem dodać do tego, coś się powiedziało, pani Mikołajewska przerwała.

Pani Winiarczyk zapytała mnie, czy mam coś jeszcze do dodania. Kiedy nieśmiało kilka zdań dodałem i powiedziałem, że do tak świetnie zreferowanego tematu nic właściwie dodać nie można, kazała mi przejść do następnego tematu.

Kiedy coś tam powiedziałem na temat Arian i zacząłem wymieniać ich zasługi, moje wywody przerwała Mikołajewska:

- Pani Mario, czy pani ma zamiar go oblać? - zapytała.
- Broń Boże! - zareagowała pani Winiarczyk.
- To w takim razie może mu podziękujemy - zaproponowała

Mikołajewska. Propozycja została przyjęta. Ja, z uczuciem ulgi, opuściłem salę egzaminacyjną.

Nie pamiętam, jak długo czekałem na korytarzu, aż cała zdająca w tym dniu egzamin grupa została poproszona na salę. Staliśmy w szeregu, członkowie komisji też wszyscy stali za stołem. Po chwilę trwającej ciszy, Jaworski powiedział:

- W zasadzie wszyscy egzamin maturalny zdaliście. Ty, młodzieńcze - wskazał ręką na mnie - będziesz musiał jeszcze przyjść do mnie i odpowiedzieć z astronomii. Od tej odpowiedzi zależy twoja matura. Przyjdź do mnie jutro. -

Zrobiło mi się gorąco, a następnie oblałem się zimnym potem. Zdałem maturę, czy nie zdałem? Wszyscy byli już wolni, a ja całe popołudnie i wieczór wertowałem Rybkę. Doszedłem do przekonania, że na trójkę co najmniej materiał znam, czego więc on ode mnie chce?

Przez kilka kolejnych dni zgłaszałem się do Jaworskiego do odpowiedzi. Okładał zawsze spotkanie na następny dzień tłumacząc, że tego dnia nie ma czasu. Myślałem, że nie wytrzymam nerwowo. Wreszcie, któregoś kolejnego dnia, powiedział ze złością:

- Czego ty chcesz, przecież maturę zdałeś. Idź do diabła i nie zwracaj mi głowy! -

Dopiero wtedy zrozumiałem, że chodziło o to, żeby mnie podenerwować. Taka po prostu "wychowawcza" terapia.

Mogłem wreszcie cieszyć się. Wiedziałem już teraz, bez cienia wątpliwości, że otrzymałem maturę. Byłem jednak przygnębiony, przeżycia ostatnich lat, szczególnie ostatnich miesięcy przed maturą, zrobiły swoje. Śmiem twierdzić, że zostawiły one jakieś trwałe piętno w mojej psychice. ^{ch}

W normalnym warunkach powinien to być okres radosnego wchodzenia w dorosłe życie. Kiedy przed maturą na początku ^{roku szkol} ktoś nieśmiało wspomiał o "studniówce", Jaworski ze złością odrzucił tę propozycję, bo to przecież "nawyki burżuazyjne". Nie było mowy teraz o balu maturalnym. Po prostu zostaliśmy rozpędzeni jak sfera skłóconych psów - na placu boju zostały te zwycięskie, z wyszczerzonymi zębami i zadartymi do góry ogonami. Te pokonane, z opuszczonymi głowami i podkulonymi ogonami, odeszły w ciszę. Niektóre z tych ostatnich usiłowały nieśmiało wrócić do stada, ale ostatecznie zostały z pogardą odtrącone. Była w tej sforcie też grupa psów niezaangażowanych, która umiejętnie lawirowała po środku i oni najładziej na tym wszystkim wyszli.

Pamiętam jakieś spotkanie w małej grupie osób, w jakimś domu na Zarzeczcu. Były tańce, jakaś butelka wina, może jakieś ciastka - już nie pamiętam. Tak, jak gdyby w konspiracji, rozstawali się młodzi ludzie, którzy wspólnie spędzili "w jednej kawiarni szkolnej" kilka lat. Były jednak przyjaźnie, które przetrwały próbę czasu, Między nami byli ludzie, którzy związali swoje losy na całe życie. Na przykład Jasia Roszkowska i Marian Błachno, Halina Zakrzewska i Lubek Karpio. Były też przyjaźnie, które nie wytrzymały próby czasu i miały przetrwać kilka miesięcy czy lat, jak np. Ireny Prawdzikówny i moja.

Na jakiś dzień w końcu czerwca zaplanowano w szkole uroczyste wręczenie nam matur. Miało się to odbyć z wielką pompą. Na zebraniu ZMP, do którego mimo wszystko należałem nadal /nie wiem, jak się to stało/ ustalono, że wszyscy członkowie tej organizacji wystąpią w czerwonych krawatach. Postanowiłem nie wyłamywać się. W swojej naiwności miałem nadzieję, że wszystkie moje perypetie i polityczne przeżycia miały charakter lokalny i nie wyszły poza szkołę. Złożyłem przeciw dokumenty, przez powiatową komisję rekrutacyjną /to była wtedy jedyna droga/, i prośbę do Uniwersytetu Warszawskiego o przyjęciu na matematykę. Nie wyrzucono mnie ze szkoły, a nawet z ZMP - myślałem - to dobry znak. Może jednak pozwolą mi studiować. Podporządkowałem się więc uchwale klasowego koła ZMP.

Wszyscy maturzyści wystąpiliśmy na scenie przed zebraną w sali teatralnej młodzieżą. Były przemówienia Jaworskiego, reprezentanta

maturzystów /nie pamiętam, kto to był/ no i oczywiście sekretarza powiatowego partii. Nie jestem w stanie dzisiaj powtórzyć treści tych przemówień. Z tego ostatniego zapamiętałam, jak to sekretarz partii mówił: "My was wypuskamy w świat, kochana młodzieży".

Tak otrzymałam "Świadectwo dojrzałości szkoły ogólnokształcącej stopnia licealnego", w którym napisano: "...zdał egzamin dojrzałości według programu wydziału mat.-fizycznego...". Świadectwo to, które nosi numer 42/1950 jest datowane 31 maja 1950 roku, jest podpisane przez Ludwika Jaworskiego, jako przewodniczącego państwowej komisji egzaminacyjnej oraz przez panie Marię Winiarczyk i Helenę Mikołajewską, jako członkinie państwowej komisji egzaminacyjnej. Na odwrocie stwierdza się, że: "...otrzymał następujące oceny roczne w klasie XI szkoły ogólnokształcącej st. licealnego i na egzaminie...". Jest bardzo dobry z przedmiotu "przysposobienie wojskowe SP", dobry z przedmiotów matematyka, fizyka, wychowanie fizyczne i religia oraz dostateczny z pozostałych przedmiotów, to jest: języki polski, rosyjski, francuski, historia, nauka o Polsce i świecie współczesnym, biologia, astronomia, chemia i rysunek.

Za poradą pani Mikołajewskiej wykonałam trzy odpisy świadectwa dojrzałości, to jest na oryginał odnotowane przez notariusza: "Notariusz w Augustowie poświadczył 3 odpisy z tego dokumentu dnia 4-go lipca 1950 roku za Nr.544-546 repertorium. Notariusz / - / Wł. Krzemieński". Odpisy te już niedługo miały mi się przydać. Skąd o tym wiedziała przewidująca pani Mikołajewska?

VII. TWARDE LĄDOWANIE W WARSZAWIE

Zawsze myślałem o studiach technicznych. Chciałem zostać inżynierem i budować domy, mosty, drogi. Marzyła mi się Politechnika Warszawska. Brązowa czapka studencka, wesołe życie w akademiku, wiele przywilejów wynikających ze statusu studenta - wszystko to było przede mną. Chodziło tylko o to, aby tam się dostać. Z zazdrością patrzyłem na starszych kolegów, którzy byli już studentami i opowiadali o tym stanic różne ciekawe rzeczy.

W miarę zbliżania się do matury, coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazłem. Te moje plany i pragnienia zostaną pewnie w sferze marzeń - tego obawiałem się. Wiedziałem, że na Politechnice jest zawsze przepełnienie, co w moim pojęciu zmniejszało moje szanse. Wpadłem więc na pomysł, ażeby rozejrzeć się za takim kierunkiem studiów, gdzie nie ma przepełnienia. Naiwnie myślałem, że taka właśnie sytuacja zwiększy moje szanse. Ponieważ nigdy w życiu nie miałem kłopotów z matematyką, a pani Mikołajewska sugerowała mi takie właśnie studia, ostatecznie zdecydowałem się: zostanę matematykiem. Jak studia matematyczne, to oczywiście na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie postanowiłem starać się o przyjęcie. Rodzice sugerowali mi studia inżynierskie, ale po wysłuchaniu moich argumentów zgodzili się ze mną. Może zmienią się czasy, wtedy będą inne możliwości, a matematyka zawsze się przyda. Decyzja ostatecznie zapadła.

Jeszcze przed maturą wypełniłem długą, tasiemcową ankietę, dołączyłem inne wymagane dokumenty i moja prośba o dopuszczenie do egzaminu wstępnego na matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, poprzez szkołę została skierowana do powiatowej komisji rekrutacyjnej. Następnie, z odpowiednią opinią, prośba ta przesłana została na Uniwersytet Warszawski. Innej drogi nie było.

Po uzyskaniu matury, oryginał świadectwa maturalnego i jeszcze jakieś dodatkowe dokumenty trzeba było osobiście złożyć w określonym terminie bezpośrednio na Uniwersytecie Warszawskim. W tym celu

wybraliśmy się obaj z Ojcem do Warszawy. Zatrzymaliśmy się na krótki czas /jedna czy dwie noce/ u państwa Inki i Antoniego Monikowskich, którzy mieszkali gdzieś w okolicach Belwederu. Pamiętam rozmowę ~~Ojca z Monikowskim~~na mój temat Ojca z Monikowskim i ojcem pani Inki, Olszewskim, byłym właścicielem majątku Solistówka. Chodziło przede wszystkim o to, gdzie w Warszawie zamieszkać. Najlepiej byłoby uzyskać miejsce w akademiku - nie kryję, że to mi najbardziej odpo-
wiedało.

Wieczorem złożyliśmy wizytę u Tadeusza Wojnowskiego, ciotecz-
nego brata Ojca /syn brata babki/, który wraz z rodziną mieszkał przy ul. Raszyńskiej. Wuj, którego wtedy widziałem po raz pierwszy i jedyny w życiu, był bardzo zaangażowany w budowę nowego ładu w Pol-
sce. Pełnił jakieś wysokie funkcje, był członkiem Krajowej Rady Na-
rodowej. Wuj był powściągliwy w swoich wypowiedziach, żona jego na-
tomiaś chwaliła nową Polskę, bardzo ciepło wyrażała się o towarzyszu
Stalinie. Ojciec sprzeciwiał się, wywiązała się nieprzyjemna rozmowa.
Był jakiś poczęstunek, nawet z kieliszkiem wódki. Niedługo jednak
tam zabawiliśmy. Pożegnanie było bardzo chłodne. W tramwaju, którym
jechaliśmy do państwa Monikowskich, Ojciec powiedział:

- Więcej tam nie pójdę. A ja głupi myślałem, że on
ci coś pomoże - .

Na określone konto podane na uniwersytecie trzeba było wpła-
cić jakąś sumę pieniędzy /za egzamin chyba/, a potem wraz z maturą
stanać przed obliczem uczelnianej komisji rekrutacyjnej. Pamiętam
na poczcie tasiemcową kolejkę, którą musieliśmy odstać, a potem
już na Uniwersytecie, długie czekanie pod drzwiami, gdzie urzędowała
i rozmawiała z kandydatami komisja.

Wreszcie znalazłem się w pokoju, przed obliczem komisji. Była
to dosyć duża sala, w końcu której stał długi, nakryty zielonym suk-
nem stół. Przed stołem stało krzesło, a za stołem siedzieli z poważ-
nymi minami dwaj młodzieńcy w ZMP-owskich strojach. Jeden /ten sie-
dzący po mojej prawej stronie/ był bardzo wysoki i chudy, a drugi -
niski i tęgi. Nie było mi do śmiechu, ale pomyślałem: "Pat i Pataszon!"
Kazali mi siadać, zająłem więc stojące przed stołem krzesło.

Kiedy powiedziałem swoje nazwisko, wyciągnęli teczkę z moimi
dokumentami i długo ją przeglądali. Potem pytali mnie o młyn w Barg-
łowie oraz o Ojca - co robił przed wojną, w czasie wojny i po wojnie.
Największy "zgrzyt" powstał wtedy, kiedy powiedziałem, że w 1947 ro-
ku Ojciec mój skorzystał z dobrodziejstwa amnestii i ujawnił się.
Nie mogłem tego nie powiedzieć, bo przecież nie miałem wątpliwości,
że mieli to odnotowane w dokumentach, które przyszyły z Augustowa,

a ponadto nie miałem się czego wstydzić.

- To znaczy Ojciec wasz był w bandzie - powiedział ten mały.

- To nie była banda! - zareagowałem.

Widziałem pogardę na ich twarzach. Na koniee ten "długi" zapytał mnie niespodziewanie:

- Powiedzcie, co to jest Kuomintang?

Pytanie to zaskoczyło mnie absolutnie. Chwilę milczałem zbierając myśli. Potem zacząłem mówić, że to chińska partia burżuazyjna, że Czang-Kai-Szek, że rewolucja i coś tam jeszcze. W jakimś momencie przerwali mi i powiedzieli, że jestem wolny. Ópuszczając salę miałem pustkę w głowie. Nie wiedziałem, jak mam tę rozmowę ocenić. Lista dopuszczonych do egzaminu wstępnego będzie ogłoszona w terminie późniejszym. Na razie więc nie mogłem zaspokoić swojej ciekawości.

Obiad zjedliśmy w jednym z najlepszych w tym czasie lokali, w "Polonii", w towarzystwie mieszkającego w Warszawie przyjaciela ojca pana Konstantego Gołępickiego. Była też z nami, przebywająca w owym czasie w Warszawie, pani Eugenia Gołępicka z Bargłowa. Ojciec i pan Konstanty wspominali okupacyjne przeżycia. Pani Gienia, w kontekście moich ewentualnych studiów, mówiła jak to z jej planowanych studiów nic nie wyszło. Zdała ona maturę w 1939 roku i wojna wszystko przekreśliła. Najwięcej jednak miejsca w rozmowie poświęcono mojej sytuacji. Gdzie zamieszkać w czasie studiów, co będę robił po ich skończeniu. Nikt bowiem nie wątpił w to, że egzamin wstępny zdam i studia ukończę. Wieczorem wsiedliśmy do pociągu i następnego dnia rano byliśmy w Augustowie.

Po pewnym krótkim czasie pojechałem znowu do Warszawy. Tym razem sam. Dowiedziałem się, że właśnie działająca na Uniwersytecie organizacja studencka za kilka dni uruchamia kurs przygotowawczy do egzaminów wstępnych. Kurs ten ma zakończyć się tuż przed egzaminami, wtedy też zostaną ogłoszone listy dopuszczonych do egzaminów. Starający się o przyjęcie na kurs powinni mieć skierownię ze szkolnego koła ZMP oraz zaświadczenie o stanie majątkowym rodziców. Ten drugi dokument przezornie miałem ze sobą. Stwierdzał on, że Rodzice moi nie posiadają żadnego majątku. Organizatorzy kursu oświadczyli mi, że na podstawie tego dokumentu będę mógł na okres trwania kursu być bezpłatnie zakwaterowany w domu akademickim i otrzymać bezpłatne wyżywienie. Warunkiem jednak przyjęcia na kurs jest skierowanie z ZMP, a jeżeli ze względu na wakacje w szkole nikogo nie będzie, to skierowanie takie może wystawić Zarząd Miejski.

Tego samego dnia wieczorem odjechałem z powrotem do Augustowa, bez nadziei na otrzymanie skierowania. Tam przecież mnie znają i ta-

kiemu "obcemu elementowi" nikt nie pomoże dostać się na studia.

Następnego dnia rano, już w Augustowie, w drodze ze stacji na Lipowcu do miasta, przechodząc obok szkoły, postanowiłem tam zajść. Tak po prostu chciałem jeszcze popatrzeć na, jak spodziewałem się, puste pomieszczenia, trochę powspominać, pomarzyć. Kiedy tak stałem zamyślony, oparty o parapet okna na korytarzu, pojawił się przewodniczący zarządu szkolnego ZMP. Był to uczeń młodszej klasy, dobrze zbudowany, wysoki blondyn, z kręconymi włosami. Nazywał się Kuderski. Kiedy mnie zobaczył zapytał, co ja tutaj w szkole robię w wakacje. Pomyślałem sobie, że nic nie stracę i niczym nie ryzykuję, kiedy poproszę go o potrzebne mi skierowanie. Tak też zrobiłem, przedstawiłem mu sprawę i chwilę czekałem na reakcję.

Kuderski najpierw żalił się, jak to jest z tymi aktywistami. Wszyscy powyjeżdżali, opalają się sobie i byczą, a on sam musi całą robotę ciągnąć. Cała szkoła jest na jego głowie. Ja stałem w milczeniu i słuchałem. Na koniec Kuderski powiedział:

- Chodź, podyktuj, jak to skierowanie ma brzmieć i do kogo ma być adresowane -

Podyktowałem. Kuderski wystukał na maszynie skierownię, ostemplował odpowiednimi pieczętkami, podpisał i dał mnie. Sprawa, która wydawała się nie do załatwienia, została załatwiona w sposób bajecznie prosty.

Po kilku latach słyszałem, że Kuderski ze względu na ukry^{te} przeszłości swoich rodziców został obwołany wrogiem klasowym i wykluczony z ZMP.

Na kilka chwil wpadłem do domu i zaraz wróciłem do Warszawy. Kierownictwo kursu przygotowawczego mieściło się w starym, przedwojennym domu akademickim przy Placu Narutowicza. Na podstawie posiadanych dokumentów zostałem przyjęty na kurs oraz otrzymałem bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie. Zamieszkałem w tym samym domu akademickim przy Placu Narutowicza. Pokój, do którego dostałem przydział był położony na pierwszym czy drugim piętrze i był pokojem 4-osobowym. Stały tam dwa piętrowe łóżka. Przypadło mi miejsce na piętrze. Wraz ze mną zamieszkało jeszcze trzech kolegów: dwaj rodzeni bracia, synowie nauczyciela matematyki z Siedlec czy Mińska oraz jeszcze jeden młodzieniec, który zrobił na mnie wrażenie wielkiego cwaniaka.

Żywiliśmy się w stołówce położonej na parterze. Jedzenie było raczej słabe, ale nikt nie reklamował. Nie wiem, czy na kursie byli tacy uczestnicy, którzy za wyżywienie płacili. Nic więc dziwnego, że nikt nie wnosił pretensji.

Był to jedyny w moim życiu miesiąc przeżyty w domu akademickim. Marzyłem o tym, że niedługo zamieszkać tutaj, czy w innym domu akademickim na stałe. Czasami ogarniało mnie zwątpienie, czy rzeczywiście tak będzie?

W akademiku były zainstalowane głośniki, z których bez przerwy płynęły melodie różnych, przeważnie "zaangażowanych" piosenek. Oczywiście prym wiodły melodie radzieckie śpiewane przeważnie w oryginalu, rzadziej w tłumaczeniu. Były to "w kółko" puszczone te same, następujące po sobie piosenki. Z tego okresu najbardziej zapamiętałem:

Hej wy konie, rumaki stalowe
Hej na pola prowadźcie nas
Niech zawarczą traktory bojowe
Nam już w pochód odprawić się czas

A dalej, jak to:

Ostry pług będzie ciąć
Będziem orać i żąć
Zbierać plony w republikach naszych.

Czasem między tymi "bojowymi" prześlizgnęła się melodia ~~z~~ⁱ słowa takie dla ludzi, jak na przykład:

Ty zapomnisz o letniej przygodzie
O ławeczce w zielonym ogrodzie
O czeremchach, co słodko pachniały...

o tym, jak to ktoś zapomni o kochance z wakacji. Samo życie.

Zajęcia na kursie były prowadzone w jakiejś szkole położonej niedaleko akademika, w którym mieszkaliśmy. Obejmowały one: matematykę, fizykę oraz "politykę". Zajęcia prowadzone były przez studentów starszych lat w zrozumiały i przystępny, przynajmniej dla mnie, sposób. Na matematyce i fizyce czułem się pewnie. Wiedziałem, że materiał mam opanowany, utrzymywałem i pogłębiałem wiadomości. Gorzej było z "polityką". Owszem, jakieś ~~zam~~ wiadomości z Augustowa wyniosłem. Tutaj wiele rzeczy przypomi~~na~~łem, dowiadywałem się wiele nowego, ale jakoś nie mogłem nigdy swobodnie "wygadać się". Po prostu każdy temat umiałem omówić w kilku zdaniach. Kiedy już nie miałem nic do powiedzenia, ktoś inny na ten temat mógł jeszcze dalej i dużo. Szczególnie podziwiałem jedną dziewczynę, która na każdy temat, w zainspirowanej przez prowadzącego zajęcia dyskusji, miała zawsze dużo do powiedzenia.

Miesiąc spędzony w Warszawie na kursie stanowił bardzo przyjemny okres w moim życiu. Miałem dużo czasu. Uczęszczałem na wszystkie zajęcia, a poza tym nie zaprzętałem sobie czasu nauką. Po prostu zwiedzałem, odbudowaną już w dużym stopniu, Warszawę. Chciałem być w tych wszystkich miejscach, które znałem z opisów przeprowadza-

nych akcji w czasie okupacji czy Powstania. Oczami wyobraźni widziałem walczących żołnierzy konspiracji, powstańców i tych, którzy ginęli w bestalski sposób mordowani przez okupanta. Żałowałem, że w tych właśnie latach nie mogłem być wspólnie z tymi tysiącami bezimiennych bohaterów walczących, strzelać, atakować.

Obejrzałem chyba wszystkie, wyświetlane w tym czasie w Warszawie filmy. Chodziłem do teatru. Jednym słowem uznałem, że podawany na kursie materiał mam w miarę opanowany, a wolny czas trzeba pożytecznie wykorzystać.

Po raz pierwszy w życiu widziałem wtedy samolot odrzutowy. W związku ze świętem lotnictwa, na Okęciu odbyły się pokazy lotnicze i tam właśnie jakiś radziecki "heros" kilka razy przeleciał z zawrotną prędkością nad zgromadzonym tłumem. Wywołało to podziw.

Kiedyś, załym kursem, braliśmy udział w pracy przy odbudowie Warszawy. Pracowaliśmy przy budowie bloku mieszkalnego gdzieś na Pradze. Wyjechałem też na którąś niedzielę do Wławy, do wujostwa Brymów. Spędziłem bardzo przyjemnie czas pod opieką niezapomnianej cioci Łodzi. Odżywiłem się trochę i ze "wzmocnionym" portfelem wróciłem ponownie do Warszawy.

Kurs wreszcie kończył się. Na zakończenie zorganizowano nam egzamin, który w zasadzie nic nie znaczył oraz nic nie dawał i do niczego nie upoważniał. Był zorganizowany po to, ażeby nas wprowadzić w atmosferę egzaminu wstępnego. Żadnych świadectw, ani nawet zaświadczeń nie otrzymaliśmy, bo i po co.

Następnego dnia po zakończeniu kursu miała być na Uniwersytecie wywieszona lista dopuszczonych do egzaminu, a w następnych dniach miały się odbyć egzaminy wstępne. Po złożonej pisemnej prośbie uzyskałem zgodę na pozostanie w akademiku na okres trwania egzaminów wstępnych. Dowiedziałem się też, że na matematykę zgłosiło się mniej kandydatów, niż było dla tego kierunku przewidzianych miejsc.

- Dobra nasza - pomyślałem - aby tylko zdać egzamin.

Z samego rana, zaraz po śniadaniu, pobiegłem na Uniwersytet. List jeszcze nie było. Szwendałem się po mieście w okolicach Krakowskiego Przedmieścia. Co pewien czas zaglądałem na Uniwersyte. List ciągle nie była, a ja się coraz bardziej denerwowałem. Wreszcie po południu, wchodząc na dziedziniec Uniwersytetu, z daleka zauważyłem na tablicy ogłoszeń wywieszoną listę. Rozpychając się wśród kilkostojących przed tablicą ogłoszeń osób, dotarłem wzrokiem do listy. Odnalazłem listę kandydatów na matematykę, nerwowo szukałem swego nazwiska i niestety nie znalazłem.

- O Boże! Nie ma mnie - wystękałem głośno i wybiegłem na Krakowskie Przedmieście. Za chwilę wróciłem do tablicy

ogłoszeń po raz wtóry. Myślałem, że jestem bardzo zdenerwowany i może przeoczyłem swoje nazwisko. Niestety, już bardziej spokojne przejrzenie listy potwierdziło moje poprzednie ustalenie - mego nazwiska na liście nie było.

Wybiegłem na ulicę i zacząłem szybko iść przed siebie, nie wiedząc dokąd. W głowie mi szumiało, miałem wrażenie, że świat przestaje istnieć, że zaraz zapadnie się ziemia i pochłona mnie przepastne mroki. Byłem zdruzgotany.

Wreszcie, gdzieś w okolicach ruin Zamku Królewskiego, opamiętałem się. Pomyślałem sobie, że moje życie spłonęło, a zrujnowany Zamek jest symbolem mojego niszczonego życia. Ale jednocześnie zabłysła iskierka nadziei - może tam w Działkanacie pomyłono się i pominięto przez nieuwagę moje nazwisko?

Chwyciłem się tej myśli, tej ostatniej nadziei, łudząc się, że to może prawda. Pobiegnęłam z powrotem na Uniwersytet. Im bliżej byłam Uniwersytetu tym bardziej wierzyłam w prawdziwość swego przypuszczenia. Zaraz sprawa się wyjaśni - myślałem - przeproszą mnie grzecznie, skorygują listę i będę dopuszczony do egzaminu.

Dziekanat mieścił się w dość dużym pomieszczeniu przegrodzonym balustradą. Większą część odgrodzoną balustradą zajmowały biurka, przy których pracowali urzędnicy dziekanatu. Mniejsza część przeznaczona była dla załatwiających swoje sprawy studentów. Wszedłem nieśmiało i podszedłem do balustrady. Byłem sam w części przeznaczonej dla interesantów. Zainteresowała się mną przystojna brunetka.

- Słucham pana - powiedziała. Byłem tak zdenerwowany, że nie mogłem wypowiedzieć ~~xxwax~~ o co mi chodzi.

- Proszę pani, ja... nazwisko... lista... egzamin wstępny... pomyłka... - język mi się plątał.

- Nie ma żadnych pomyłek - powiedziała przystojna pani.

Po chwili chyba zrozumiała o co chodzi i zapytała o nazwisko. Kiedy powiedziałem swoje nazwisko, moja rozmówczyni wstała z krzesła, podeszła do balustrady i powiedziała:

- Przykro mi bardzo, ale rzeczywiście jest pan niedopuszczony do egzaminu.

- To pewnie jakaś pomyłka - powiedziałem głośno - gdzie ja mogę pójść, żeby to nieporozumienie wyjaśnić -.

Moja rozmówczyni bardzo przyjaźnie na mnie popatrzyła i powiedziała szeptem:

- Radzę panu nic nie wyjaśniać. Niestety tu się niczego nie wyjaśni i nie odwróci. Wyjaśnianie może tylko pogorszyć pana sytuację - .

Zrozumiałem. W Augustowie w UB mieli rację. Jozwe też wyraźnie określił warunki, których spełnienie mogło otworzyć mi drzwi na studia. Nie miałem już tutaż czego szukać. Zanim stąd wyjdę, powinienem zabrać swoją maturę. Zwróciłem się więc do mojej rozmówczyni z prośbą o wydanie mojej matury.

- Niestety - powiedziała przystojna pani - mamy polecenie pana maturę zatrzymać do nowego roku kalendarzowego - było jej bardzo przykro.

Wszystko było przeraźliwie jasne. Nie miałem już żadnych złudzeń. Powoli, jak gdyby trochę już uspokojony, poszedłem do akademika, spakowałem walizkę i nic nikomu nie mówiąc pojechałem na dworzec. Następnego dnia przed południem byłem w domu, w Bargłowie.

Sytuacja moja stała się nagle bardzo niewesoła. Widziałem, że rodzice są bardzo załamani. Stało przede mną wojsko, do którego mnie zaraz wezmą i to pewnie czeka mnie jakaś karna kompania, z taką opinią... Były to czasy, w których nie było żartów. Etykiетка wroga klasowego nie dawała mi - tak mi się wydawało - szans na normalne życie. Dla takich jak ja nie było w stalinowskich czasach miejsca, chyba że...

W podobnej sytuacji znaleźli się moi najbliżsi koledzy. Michał Lekszycycki startował bez skutku, chyba na architekturę. Zupełnie przypadkowo i w sposób nie kontrolowany przez Augustów dostał się do szkoły aktorskiej w Krakowie. Rajmund Sadowski, też po wielu perypetiach, dostał się do szkoły felczerskiej. Najbliższy mi terytorialnie, bo pochodzący też z Bargłowa, Lubek Karpio powrócił tak jak ja do domu z niczym.

Już we wrześniu dotarła do mnie wiadomość, że Lubek schronił się przed wojskiem podjmując pracę nauczyciela w szkole podstawowej w Wiżajnych - matura ogólnokształcąca stanowiła wówczas dostateczną podstawę do podjęcia takiej pracy, a nauczyciele byli reklamowani ze służby wojskowej. Lubek właśnie zaproponował mi podjęcie pracy nauczyciela w szkole w Wiżajnych. Tam właśnie potrzebowano nauczyciela, a we dwóch zawsze będzie różniej. Wiżajny są w sąsiednim powiecie - Lubek tłumaczył - jakoś tam rok przetrwamy. W następnym roku, jako nauczyciele, dostaniemy skierowanie na studia z Suwałk. Wszystko odbędzie się bez wiedzy tego augustowskiego ciemnogrodu i jest duże prawdopodobieństwo, że w ten sposób na studia się dostaniemy.

Skwapliwie podchwyciłem propozycję Lubka i w drugiej połowie września zacząłem czynić intensywne przygotowania do podjęcia pracy nauczyciela w Wiżajnych i do wyjazdu tam. Przygotowania moje przerwała jednak wizyta u nas w Bargłowie Tadzika Karpa, mojego ciotecznego brata.

Tadzik w tym czasie, wraz ze swoim rodzonym bratem Ryśkiem, mieszkali już od roku w Białymstoku. Tadzik pracował jako prelegent w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej /był bardzo czytany, miał szerokie wiadomości i był bardzo elokwentny/. Rysiek natomiast uczył się w Technikum Ekonomicznym, na wydziale dla pracujących i też gdzieś pracował.

Tadzik poinformował, że właśnie w Białymstoku przed paroma miesiącami rozpoczęła działalność Wieczorowa Szkoła Inżynierska. Po to, żeby się tam dostać trzeba pracować i mieć skierowanie z zakładu pracy. Wymagana jest także 2-letnia praktyka w kierunku, w którym podejmuje się studia. Musiałbym więc zaraz w Białymstoku podjąć pracę. Nie będzie z tym kłopotu, bo Tadzik ma w Białymstoku szerokie znajomości, czyli można uważać, że pracę i skierowanie na studia mam już z głowy. Gorzej z 2-letnią praktyką. Ojciec wymyślił, że taką praktykę mogłem odbyć pracując jako dorastający chłopak w czasie okupacji w zakładzie kowalskim prowadzonym w tym czasie w Bargłowie przez Jana Rólkowskiego. Ojciec napisał na maszynie oświadczenie Rólkowskiego, że w czasie okupacji pracowałem u niego w kuźni. Rólkowski je podpisał, Urząd Gminy stwierdził, że w tym czasie taki zakład istniał - okazało się potem, że było to bardzo dobre zaświadczenie.

Z mieszkaniem też nie będzie kłopotu. Razem z Ryśkiem zajmujemy pokój w budynku przy ul. Czystej 3, co prawda ciasno tam jest, ale dla mnie miejsce się znajdzie, przynajmniej na początek.

Takim oto sposobem sprawy przybrały nieoczekiwany bieg. Miałem podjąć pracę i rozpocząć studia dla pracujących. Nieoczekiwanie stałem się więc naprawdę dorosłym człowiekiem. Zamiast studenckich, bez troskich czasów czekały mnie czasy pracy zawodowej i studiów wieczorowych. Nie zdawałem sobie sprawy wtedy z tego, ile to będzie wymagało ode mnie wyrzeczeń, samozaparć i poświęceń. Jedno było pocieszające - perspektywa zostania inżynierem. Moja ~~"praktyka"~~. Moja „praktyka”, którą się legitymowałem zdecydowała, że wybrałem Wydział Mechaniczny, a szkoła, do której przymierzałem się dysponowała jeszcze drugim Wydziałem - Elektrycznym

VIII. CZYSTA TRZY

Z Augustowa do Białegostoku przyjechałem wieczorem autobusem przez Sztabin, Suchowolę, Korycin, Knyszyn. Za Knyszynem autobus jechał w strugach deszczu. W Białymstoku było pogodnie. Wsiadłem na ówczesnym, prowizorycznym, zabłoconym dworcu autobusowym przy ul. Suraskiej. Był koniec września 1950 r. Gdyby jeszcze przed miesiącem ktoś powiedział mi, że właśnie do Białegostoku przyjadę w celu odbycia studiów, nie uwierzyłbym. Nie widziałem wtedy, że z tym miastem związę się na całe życie. Tego w żadnych swoich planach nie przewidywałem. Myślałem, że odbędę tutaj jakiś okres przymusowego "wygnania", jakiejś "banicji", ~~myślanki~~, a potem... Wszędzie, ale nie w Białymstoku.

Miasta nie znałem w ogóle. Wielokrotnie przez Białystok przejeżdżałem. Z dworca oglądałem dziwną architekturę kościoła Sw. Rocha i z nim tylko Białystok mi się kojarzył. Nawet byłem kiedyś raz w tym mieście, gdzieś chyba w maju lub czerwcu 1949 roku. Razem z Piotrem Wasilewskim z naszej klasy byliśmy skierowani tutaj z Augustowa na konsultacje do okulisty. Wtedy przyjmowała nas przy ul. Starobojarskiej jakaś starsza pani doktor. Białystok wywarł na mnie ~~wtedy~~ nieciekawe wrażenie. Jakieś małe, bezładnie poustawiane, drewniane domki, "kocie łby" na ulicach. Jakieś rozwlekłe i bezładne miasto. Gdzie te duże, wielopiętrowe budynki, które w każdym poważnym wojewódzkim mieście powinny być? Takie to i miasto - myślałem wtedy.

Stałem więc na zabłoconym placu przed szopą, którą nazywano poważnie "dworcem autobusowym". Rozglądałem się dookoła i nie wiedziałem, w którą stronę pójść. Tadzik mówił mi, że ul. Czysta, przy której pod trzecim mieszkają z Ryśkiem znajduje się niedaleko. Nawet tłumaczył, jak tam dojść.

Nieopodal, na skraju pustego placu po zburzonym przez Sowieców ratuszu, zauważyłem stojących kilka konnych dorożek. Pośzedłem więc do pierwszej z nich i zapytałem dorożkarza, jak dojść do ul. Czystej.

Dorożkarz popatrzył na mnie zdziwiony i powiedział:

- Nie wiem, ale jak chcesz pan to zawiozę tam -

Po kilku minutach byłem na ul. Czystej. Dorożkarz zatrzymał przy Nr 3. Zapłaciłem i wysiadłem. Za chwilę stukiałem już do drzwi mieszkania, w którym Tadzik i Rysiek mieszkali.

Był to budynek jednopiętrowy, przed wojną była tu jakaś fabryka włókiennicza, która została spalona. Budynek odremontowano i zamieniono na mieszkalny. Na obu kondygnacjach wzdłuż budynku, po jego środku, znajdowały się korytarze, z których wchodziło się do położonych po obu ich stronach mieszkań. Były to mieszkania różnej wielkości. Braciszkwowie moi zajmowali mieszkanie na prterze, położone tuż przy klatce schodowej. Mieszkanie to stanowił jeden mały pokój o powierzchni nie większej niż trzy metry na pięć metrów. Tuż przy wejściu, po prawej stronie był zlokalizowany trzon kuchenny /dwie fajerki/, za którym był zlew blaszany, a nad nim kran. Po lewej stronie, wzdłuż ściany, ustawione było żelazne łóżko, zasłane bardzo problematycznej czystości pościelą, na którym sypiał Tadzik, jako starszy. Rysiek natomiast miał swoje "posłanie" na podłodze pod oknem, w końcu pokoju. Była to leżąca na podłodze jakaś stara "kapota", na której Rysiek sypiał przykrywając się czymś, co nosiło nazwę "koc".

Przywiozłem ze sobą z domu czyste, białe prześcieradło oraz poszewki na kołdrę /ewentualnie koc/ i poduszkę. Tadzik w czasie pobytu w Bargłowie zapewniał, że wszystko jest, przydałaby się jedynie zmiana pościeli.

Pomyślałem sobie, że w takich warunkach trudno będzie długo wytrzymać, ale aby dostać pracę, zaczepić się w szkole, a potem coś się wymyśli lepszego. Rozścieliliśmy więc na leżącej na podłodze "kapocie" prześcieradło, "koc" wciągnęliśmy do pokrowca organizując w ten sposób posłanie dla Ryśka i dla mnie. Twardo było leżeć na podłodze, ale czy gryzły pchły to nie pamiętam - człowiek był młody, spał twardo i pewnie nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak pchły. W każdym razie po kilku dniach moja śnieżnobiała pościel była cała "upstrzona" śladami po pchłach.

Od następnego dnia Tadzik zabrał się do "urządzania" mnie w Białymstoku. Przede wszystkim praca, którą załatwił mi w Zakładzie Sieci Elektrycznych. Dyrektorem tego Zakładu był mgr inż. Karol Białkowski, który jednocześnie był rektorem Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. Wszyscy nie mający zatrudnienia, starający się do WSI potencjalni studenci mogli tam uzyskać zatrudnienie i skierowanie na studia. Chodziło o to tylko, żeby mieć "dojście" do pana Białkowskiego.

1-go października przystąpiłem więc do pracy w Dziale Inwestycji, na stanowisku referanta dokumentacji technicznej i z chwilą rozpoczęcia pracy dostałem skierowanie na studia.

Wieczorowa Szkoła Inżynierska, jako prywatna szkoła Naczelnej Organizacji Technicznej, została powołana w grudniu 1949 roku zarządzeniem Ministra Szkolnictwa Wyższego /nie wiem, czy tak się ono wtedy nazywało/, a zarządzenie to podpisała ówczesny wiceminister tego resortu, związana z Białymstokiem, pani Eugenia Krasowska. W lutym 1950 roku zaczęły się zajęcia na I semestrze na Wydziałach Mechanicznym i Elektrycznym. Na początku października przeprowadzono nabór na obydwie Wydziały. Ja znalazłem się wśród starających się o przyjęcie na Wydział Mechaniczny.

Szkoła, o przyjęcie do której ubiegałem się miała swoją siedzibę w budynku położonym przy ulicy Zamenhofa, róg Białej. Był to dwupiętrowy budynek, w którym mieściło się młodzieżowe Technikum Elektryczne - przed południem miała tu swoje zajęcia młodzież, po obiedzie w tych samych pomieszczeniach lokowali się studenci Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. Był to budynek niedostosowany do zajęć szkolnych przede wszystkim ze względu na bardzo ciasne i kręte korytarze, na których w czasie przerw panował okropny tłok.

W Dziekanacie, którym kierowała pani Irena Niczyporowicz, złożyłem dokumenty. Zdumienie wywołał odpis matury, ale kiedy zobowiązałem się oryginał dostarczyć w najbliższym czasie, nie stawiano mi przeszkód./Pani Mikołajewska dobrze mi poradziła z tymi odpisami - myślałem - skąd ona wiedziała, że odpis będzie mi potrzebny?/ W pierwszych dniach października odbył się egzamin wstępny.

Egzamin ten, a właściwie czas go poprzedzający bardzo przeżyłem nerwowo. Wszystko wskazywało na to, że egzamin ten powinienem zdać, ale te nerwy. Przeżycia ostatniego okresu zrobiły swoje. Byłem roztrzęsiony i obawiałem się, że mój stan może doprowadzić do obłania egzaminu - nie brak wiadomości, a nerwy. Tam mnie nie dopuszczono, a tutaj obleją - myślałem.

Kiedy stałem w grupie oczekujących na wejście do sali, gdzie odbywał się egzamin ustny, usłyszałem skierowane do mnie słowa:

- Panie, co pan tak się denerwuje? Kiedy Pan zdawał maturę?

- W tym roku - odpowiedziałem.

- Panie, ja zdawałem przed wojną, zdażyłem jeszcze wojsko odsłużyć i na wojnie być, a tak się nie denerwuję jak pan -.

Popatrzyłem na swego rozmówcę trochę uspokoiony. Był to rzeczywiście, jak mi się wtedy wydawało, starszy niewysoki facet w kolejarским mundurze z gładko przyczesanymi na prawą stronę włosami.

Szulżvk się nazywał, miał na imię Sergiusz - jak później się dowiedziałem. Pracował na kolei w Czeremsze, gdzie miał żonę i dwoje dzieci. Mieliśmy się później zaprzyjaźnić, a po skończeniu studiów nasze losy zawodowe często się krzyżowały.

Z matematyki egzaminował ówczesny magister, później docent doktor, Eugeniusz Niczyporowicz, z fizyki natomiast ówczesna magister, później profesor doktor, Eudokia Ostaszewicz i niedługo potem zmarły mgr Obuchowicz. Egzaminu z "polityki" nie zdawaliśmy chyba dlatego, że z założenia studia wieźzorowe przeznaczone były dla przodujących robotników, z definicji więc powinniśmy być świadomymi obywatelami. Sam fakt otrzymania z zakładu pracy skierowania na studia świadczył o tym.

Dla mnie było to chyba jedyne wyjście w owym czasie. Nie musiałem przedkładać opinii ze szkoły średniej, wszystko odbyło się poza moimi opiekunami z Augustowa. Wszystko załatwiało skierowanie z zakładu pracy, które, nawiasem mówiąc, otrzymałem w dniu podjęcia pracy.

Egzamin wstępny oczywiście zdałem bez żadnych kłopotów i zostałem studentem. Potwierdzeniem ~~tego~~ niezbitym tego był ładny indeks, w czarnej oprawie, formatu A5, który otrzymałem 7-go listopada. Posiadał on numer 109 i było tam stwierdzenie, że zostałem przyjęty dnia 8-go października 1950 r., co było potwierdzone podpisem pana K. Białkowskiego jako rektora i okrągłą pieczętką ze znakiem NOT w środku i napisem na obwodzie: "Szkoła Inżynierska Naczelnej Organizacji Technicznej w Białymstoku". Nie było żadnych wątpliwości: BYŁEM STUDENTEM!

Zaraz po zdaniu egzaminu, gdzieś w końcu pierwszej dekady października, rozpoczęły się zajęcia. Odbywały się one w niewielkiej sali, na parterze budynku. Okna były umieszczone niewysoko i wychodziły wprost na wąską ulicę Białą. Nikogo na semestrze nie znałem, byli tu ludzie rzeczywiście starsi ode mnie, mający pokaźny, jak mi się wtedy wydawało, staż pracy, przeżycia wojenne - frontowe, roboty przymusowe w Niemczech. Ja byłem wśród tego całego towarzystwa najmłodszy, zarówno wiekiem, jak też i praktycznie zerowym stażem pracy.

Po kilku dniach zajęć doszedł do nas chłopak z młodzieńczą twarzą i siwymi włosami, którego na egzaminie wstępnym nie widziałem, a który został przyjęty później. Był to Zbyszek Puchalski, jak się później okazało tylko trzy miesiące starszy ode mnie, z którym później bardzo blisko zaprzyjaźniliśmy się. Był on absolwentem Technikum

Mechanicznego, chyba w Olsztynie, nie wiem nawet jakie losy skierowały go do WSI w Białymstoku. Siedział na końcu sali i przez jakiś czas był "wolnym słuchaczem". Stąd wynikła pewna zabawna historia. Otóż na wykładzie z chemii, który prowadził mgr Zygmunt Skrobecki, z jakiegoś tam powodu powstało na końcu sali ~~jakieś~~ zamieszanie. Pan Skrobecki był przekonany, że przyczyną tego jest Zbyszek i zapytał:

- Czego pan chce? Jak pana nazwisko? -

Wystraszony Zbyszek, myśląc o tym, że jego nazwisko nie figuruje jeszcze w spisie słuchaczy odpowiedział nieśmiało:

- Ja bez nazwiska...

Potem o Zbyszku mówiliśmy: "ten bez nazwiska".

Pracę traktowałem jako zło konieczne, jako karę za winy niepełnione, coś do czego nie byłem absolutnie przygotowany. Wydawało mi się, że do tak poważnego obowiązku nie dorosłem. Byłem za młody, czułem się jeszcze dzieckiem, a tu na moje barki spadły obowiązki, którym mogą sprostać tylko ludzie dorośli. W Zakładzie Sieci Elektrycznych trafiłem do Działu Inwestycji, bez konkretnego przydziału obowiązków. Pamiętam, że pierwsze moje zadania przydzielał mi inżynier Słaboszewicz.

Przez pierwsze dni, a może nawet tygodnie siedziałem na jakiejś dużej sali przy stole, na którym jedynym przedmiotem była popielniczka. Zadanie moje polegało na studiowaniu instrukcji traktującej o organizacji inwestycji. Na kilkudziesięciu kartkach formatu A-4 oprawionej w jasno niebieskie kartonowe okładki instrukcji, czytałem ujęte w rozdziały, paragrafy, punkty, zasady organizacji i prowadzenia inwestycji, nic z tego nie rozumiejąc. Jakieś obco brzmiące określenia: wykonawca, podwykonawca, zlecenie, podzlecenie, tytuł inwestycyjny, obiekt - z niczym mi się nie kojarzyły. Zdenerwowany, paliłem bez przerwy papierosy /"Lotniki" czy "Wczasowe"/. W popielniczce gromadziło się coraz więcej "petów", czas mi się niemiłosiernie dłużył, czekałem tylko na godzinę, o której wychodziłem do szkoły. Zgodnie z obowiązującym zarządzeniem, studenci, byliśmy zwalniani do szkoły godzinę wcześniej, pracowaliśmy 7 godzin dziennie zamiast ośmiu. Wychodziliśmy z pracy o godz. 14-tej. W międzyczasie należało gdzieś na mieście zjeść obiad i na godzinę 16-tą zdążyć do szkoły na zajęcia.

Kiedyś polecono mi skopiować jakiś bardzo prosty rysunek z papieru światłoczułego na kalkę techniczną. Trzeba było oczywiście wykonać to w tuszu. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem wtedy przybory kreślarskie. Korzystając z rad kolegów rysunek ten wykonałem, nie wywołało to jednak entuzjazmu moich przełożonych, wręcz przeciwnie.

Po jakimś czasie znalazłem się w mniejszym pokoju, gdzie szefem był inż. Wiktor Staręga. W pokoju tym pracowali dwaj starsi panowie: Więcko, który prowadził zaopatrzenie i Kupsto, który ciągle coś liczył.

Pan Więcko, mający za sobą pracę przymusową w Niemczech, był człowiekiem komunikatywnym; można było nawet z nim pożartować. Wydawało mi się, że rozumie nas, studentów. Na stole miał skrzynki z kartotekami, gdzie były zapisane różne urządzenia i aparaty zamawiane do realizacji zaplanowanych inwestycji. i był odnotowywany cały ruch tych rzeczy. Zawsze w związku z tym wiedział, czym aktualnie dysponuje oraz co i gdzie w danym czasie się znajduje. Polubiliśmy pana Więcko.

Pan Kupsto natomiast był innym typem człowieka. Ciągle zajęty jakimiś obliczeniami, mrukliwy, nigdy nic nie mówiący, odpowiadał tylko na zadawane mu pytania i to zwykle jednym, krótkim zdaniem. Na obu rękach miał zawsze nałożone do łokci czarne "narękawniki", na nosie duże okulary w metalowej oprawie. Podpatrzyliśmy, że czasami zasypia w pozycji pracy. z ołówkiem opartym o papier, "typowy urzędnik".

Ponadto w pokoju naszym pracowała pani Eugenia Pietraszkiewicz, starsza pani, jak mi się wtedy wydawało. Była ona studentką na Wydziale Elektrycznym i do jej obowiązków należało planowanie inwestycji. Byłem jej bezpośrednim pomocnikiem. Mąż pani Gieni pracował też w tym samym zakładzie, urzędował w innym budynku.

Poza mną pracowała jeszcze w naszym pokoju studentka Wydziału Elektrycznego, Celina Orciuch, córka organistego z Rozedranki. /okolic Sokółki/. Co należało do obowiązków Celinki nie pamiętam.

W Zakładzie pracowała w tym czasie duża grupa studentów. Byli to przeważnie elektrycy, nas mechaników było tylko kilkoro, z których najbardziej pamiętam jedną studentkę na Wydziale Mechanicznym - Jadzię Bierdzik. Była to bardzo dzielna dziewczyna. Zaraz po wojnie repatryjowała się sama z linii Curzona, zostawiając w swoich rodzinnych Bierdzikach całą rodzinę. W Białymstoku, pracując, w ogólnokształcącej szkole wieczorowej uzyskała maturę i teraz była studentką WSI. Już po skończeniu WSI Jadzia sprowadziła do Białegostoku rodziców i całą swoją rodzinę. Z energetyką związana była aż do emerytury.

Jeszcze tylko jeden mechanik pracował w tym czasie w zakładzie. Był to Henio Żak. Miał on przy ul. Angielskiej ładną dziewczynę, w której kochał się bardzo. Pobrali się potem oraz "żyją długo i szczęśliwie".

W Zakładzie pracowała duża grupa studentów Wydziału Elektrycznego, z którymi w związku ze wspólną pracą i zazębiającymi się zaję-

ciami na WSI, zaprzyjaźniłem się. Były to przede wszystkim koleżanki: Weronika Czerwiecka /późniejsza żona Władka Swianiewicza/ i Zosia Bukowska /późniejsza żona Zbyszka Puchalskiego/ oraz koledzy: Franek Przybyło, Kazio Bielski, Jurek Niebrzydowski. Byli także i inni, jak np. kulawy Edzio Falkowski. Był on w pewnym okresie przewodniczącym ZSP, które wspólnie organizowaliśmy. Został on potem usunięty ze szkoły za brak postępów w nauce.

Wśród pracujących w Zakładzie "ludzi dorosłych" zapamiętałem następujących, którzy w jakiś sposób byli powiązani z nami: mgr inż. Karol Białkowski - dyrektor Zakładu oraz współorganizator WSI i jej rektor; Stefan Kuryłek - działacz Stowarzyszenia Elektryków Polskich i współorganizator WSI - przy reorganizacji Zakładu został dyrektorem powstałej z jego podziału jednostki; inż. Leon Wołasewicz - niewysoki pan, namiętny myśliwy; inż. Sylwester Rode - bardzo lubiany przez studentów, dowcipny pan, jego żoną była starsza siostra Zosi Bukowskiej; inż. Słaboszewicz - wysoki, chudy, łysy pan; mgr inż. Stanisław Pawłowski, który przez Zakład został skierowany na studia i po ich odbyciu powrócił z powrotem ^{oraz} i jego żona, pani Pawłowska, pełniąca funkcję zastępcy dyrektora Zakładu d/s administracyjnych; inż. Wiktor Staręga - mój pierwszy szef; inż. Somer - starszy pan, który pracował w elektrowni jeszcze przed wojną; inż. Kopijkowski i jeszcze wiele innych osób, których twarze pamiętam do dziś, a których nazwisk nie mogę wygrzebać w pamięci. Jednym z takich właśnie anonimowych dzisiaj w mojej pamięci był starszy, kulawy pan, który nosił wyraźnie rosyjskie nazwisko, nigdy nie krył, wręcz odwrotnie - chwalił się swoim prawosławnym wyznaniem i przy każdej nadarzającej się okazji chodził na "molenie" do cerkwi. Dla mnie była to swego rodzaju egzotyka, było to bowiem moje pierwsze w życiu zetknięcie się z kimś, kto wyznawał prawosławie.

Niewątpliwie najbardziej barwną i popularną wśród studentów postacią był mgr inż. Bernard Trocki. Był to Żyd, który nie mógł, gdyby nawet chciał, ukryć swego żydowskiego rodowodu. Zdradzał go jego wygląd: akcent i charakterystycznie żydowska logika. Miał poważne kłopoty ze swoim nazwiskiem, zmuszony był ciągle tłumaczyć, że nie ma nic wspólnego z tym podłym kontrrewolucjonistą Trockim. Jeszcze przed pierwszą wojną odbył on studia na Politechnice w Berlinie uzyskując tytuł inżyniera dyplomowanego. Ojciec jego był podobno znanym w Suwałkach zegarmistrzem. Pan Trocki spędził w Suwałkach swoją młodość. Opowiadał, że kiedyś właśnie tam odprowadzał wieczorem jakąś uwielbianą przez siebie dziewczynę, Polkę. Polscy jej przyjaciele, nie mogąc tego znieść zrobili zasadzkę, wynikła bójka, w czasie której pan Bernard dostał cegłą w twarz. Wynik był opłakany,

do końca życia musiał paradować ze spłaszczonym nosem, co dodawało wybitnie żydowskiego uroku do jego i tak żydowskiej w każdym calu postawy.

Przed wojną pan Trocki był dyrektorem elektrowni w Suwałkach. W 1939 roku, po zajęciu Suwałk przez Niemców, uciekł wraz z żoną i synem do Augustowa, gdzie pracował w elektrowni na Lipowcu i skąd został przez Sowieców deportowany na Syberię. Dzięki temu właśnie przeżył wojnę, a po jej zakończeniu powrócił do Polski i zamieszkał w Białymstoku. Nam zawsze mówił, że w czasie wojny był na emigracji w Związku Radzieckim, gdzie cały czas pracował w elektrowni.

Pan Trocki darzył mnie szczególnym sentymentem - on pochodził z Suwałk, ja z sąsiedniego Augustowa. Byliśmy więc krajanami. Zwracał się do mnie "panie dziedzic". Chodziłem czasami w modnych wtedy butach z cholewami, tzw. "oficerkach" i spodniach "galife", co panu Trackiemu kojarzyło się z "dziedzicem".

Kiedys, po wielu latach, gdy już pan Trocki dawno był na emeryturze, odbyliśmy obaj w jednym przedziale kilkugodzinną podróż w nocnym pociągu osobowym na trasie Warszawa - Białystok. Wracał on z Łodzi, z pogrzebu teściowej swego syna, ja wracałem z jakiejś delegacji. Pan Trocki opowiadał, jak to w 1939 roku uciekł z rodziną przez "zieloną granicę" z Suwałk od niemieckich morderców do Augustowa, do tych "czerwonych barbarzyńców". Powiedział:

- Oni, tacy z "czubkami" na głowach i z długimi bagnetami na karabinach przyszli w nocy. Kazali za pół godziny spakować się, zaprowadzili na dworzec i wywieźli nas na Syberię! -
- Panie inżynierze - powiedziałem - kiedyś pan nam mówił, że byliście państwo na emigracji w Związku Radzieckim, a teraz mówi pan, że ruscy wywieźli -
- Panie - zachnął się pan Trocki - ja jestem już dawno na emeryturze, ja teraz mam ich w dupie! -

To był właśnie cały Trocki.

Pana Trockiego można było "zabawić" różnego rodzaju sprawami. Podsuwaliśmy mu czasem jakieś np. wieczne pióro, czy zegarek. Wyciągał wtedy szkło powiększające i parę godzin mieliśmy z głowy. Angażował się też bardzo w pomoc przy rozwiązywaniu zadań z matematyki, fizyki, czy później mechaniki. Trzeba przyznać, że w tych sprawach był bardzo "mocny". Pamiętam długie dyskusje i obliczenia związane z następującym zagadnieniem: co byłoby, gdyby przez kulę ziemską przewiercić na wylot otwór i wrzucić tam kamień /pomijając komplikacje wynikające z budowy kuli ziemskiej/. jakie ruchy wykonywałby

ten kamień.

Pracujący w Zakładzie studenci traktowani byli na zasadzie "świętych krów". Pracy poświęcało się bardzo mało czasu, przeważnie dyskutowało się, zresztą na tematy nie zawsze związane z nauką. Z reguły każdy miał z szufladzie biurka otwartą książkę czy notatki i większość czasu poświęcał na naukę. Nasi przełożeni wiedzieli o tym wszystkim i nikt w zasadzie nie reagował. Musieliśmy przecież gdzieś pracować. W Zakładzie pracowali główni animatorzy WSI i im równie, a może nawet więcej niż nam, studentom, zależało na tym, żeby szkoła ta pracowała i rozwijała się.

Zajęcia w szkole rozpoczynały się o godz. 16⁰⁰. Z pracy zwalniano nas o godz. 14⁰⁰. W międzyczasie trzeba było zjeść obiad. Ja obiady w tym czasie jadałem w "Gospodzie Ludowej". Za tzw. obiad "popularny" płaciło się 800 zł /po zmianie waluty 2,40 zł/. Była zupa, chleb w dowolnej ilości i coś na drugie danie, tak że można było najeść się do syta. Ze szkoły wychodziło się o godz. 21⁰⁰. W sobotę i niedzielę zajęć nie było.

Wieczorem trzeba było jeszcze coś przejrzeć, przygotować się do ćwiczeń. W nocy należało wyspać się i o 7⁰⁰ rano zameldować się w pracy. O zjedzeniu w zorganizowany sposób śniadania nie było mowy. W Zakładzie był kiosk, gdzie około godz. 9⁰⁰ kupowałem przeważnie 15-20 dkg zwykłej kiełbasy i dwie, trzy kajzerki. Do tego można było w Zakładzie dostać bezpłatnie zbożową, czarną kawę. Takie było codzienne moje śniadanie. Na kolację czasami szło się znowu do "Gospody", gdzie można było coś zjeść na ciepło. Muzyczka grała, ludzie tańczyli. Patrzyłem i zazdrościłem im. Przeważnie jednak kolekcje jadałem, podobnie jak śniadania, ale już w domu.

Na pierwszym semestrze występowały przedmioty ogólne, które miały dostarczyć nam wiadomości, na bazie których moglibyśmy opanować później przedmioty zawodowe związane z naszym kierunkiem. Przede wszystkim więc wykłady i ćwiczenia z matematyki, które prowadził mgr Eugeniusz Nieczyporowicz, jak się już rzekło późniejszy docent doktor. Były to w naszej ocenie zajęcia prowadzone w sposób wzorcowy. Bardzo dobrze zorganizowane, bez zbędnych słów. Notatki, jakie zrobiłem z tych wykładów, mogły być wydane jako skrypt. Kiedy, po wielu latach, zaistniała potrzeba znowu do matematyki wrócić, z notatek tych korzystałem bez żadnych kłopotów. Zajęcia te, zarówno ze względu na sposób ich prowadzenia, jak i możliwość zrozumienia i przyswojenia materiału, bardzo mi odpowiadały.

Fizykę ~~która~~ prowadziła mgr Eudokia Ostaszewicz /później profesor doktor/. Zajęcia te obejmowały wykłady oraz ćwiczenia laborato-

ryjne, które odrabialiśmy w laboratorium Akademii Medycznej. Pani Ostaszewicz, starsza, samotna kobieta, lubiła dużo świeżego powietrza. Otwieraliśmy więc ostentacyjnie na jej wykładzie okna na oścież. Mówiła z takim głęboko wschodnim akcentem, co mi się zawsze kojarzyło z Melchiorem Wańkowiczem i jego "Szczenięciami latami". Było więc "sień" zamiast "się", "radzio" zamiast "radio", "adzijabata" zamiast "adiabata" itd.

Ówczesny mgr inż. Marian Poniatowski, późniejszy docent doktor i długoletni rektor Wieczorowej, a następnie Wyższej Szkoły Inżynierskiej, prowadził mechanikę. Była to jego dodatkowa praca, gdyż głównym miejscem zatrudnienia pana Poniatowskiego była Fabryka Przyrządów i Uchwytów. Pełnił tam funkcję zastępcy dyrektora d/s technicznych. Można było bez trudu wyczuć, że pan Poniatowski nie jest zawodowym nauczycielem, ale przedmiot znał dobrze i panował nad materiałem. Przedmiot ten obejmował wykłady i ćwiczenia rachunkowe.

Następny przedmiot to geometria wykreślna i rysunek techniczny, który prowadził sam rektor Białkowski. Był on elektrykiem. To, co robiliśmy, to rysunek techniczny w większości, geometria wykreślna została gdzieś zagubiona po drodze. Mieliśmy wiele części maszyn, których rysunki wykonywaliśmy korzystając z rad inż. Sylwestra Rodego, też elektryka.

No i był oczywiście język rosyjski, który prowadziła pani Barbara Ciemnicka, znana w Białymstoku rusycystka i stalinowska działaczka społeczna.

Już na samym początku zaczęły nawiązywać się pierwsze znajomości i przyjaźnie. Pierwszym kolegą, do którego zbliżyłem się był Janusz Parafianowicz. Pochodził z Bielska Podlaskiego i miał za sobą już odsłużone wojsko, gdzie w lotnictwie był strzelcem pokładowym. Zaczęło się od tego, że na jednym z pierwszych ćwiczeń z matematyki pan Nieczyporowicz poprosił Janusza do tablicy. W zadaniu, które otrzymał do rozwiązania, występowały funkcje trygonometryczne. W pewnym momencie pan Nieczyporowicz zapytał Janusza:

- Dlaczego pan pisze sinus z dużej litery -
bawet nie zauważyłem, że tak było i myślę, że to tak jakoś bezwiednie wyszło.

- To przez szacunek do mojego nauczyciela ~~z~~ matematyki, którego właśnie nazywaliśmy "Sinus" - odpowiedział bez namysłu Janusz.

Masz chłopie poczucie humoru - pomyślałem i to spowodowało, że do Janusza zbliżyłem się.

Po zajęciach poszliśmy razem do "Gospody" na kolację. Rozmawia

wialiśmy długo. Janusz zwierzył mi się, że obawia się o swoją przyszłość. W grupie naszej jest, znający go dobrze z Bielska, Bogdan Jeżykowski. Jest to szczególnie niebezpieczna kanalia. Związany jest z UB i Janusz obawia się, że on wyciągnie jakieś stare, młodzieńcze nieporozumienia, jakie kiedyś między nimi były. Teraz zemści się na nim. Skóra ścierpła mi na plecach, bo przecież ja też w każdej chwili mogę znaleźć się w podobnej sytuacji. Jozwe, czy ktoś z moich "opiekunów" może dowiedzieć się o miejscu mojego pobytu i wtedy koniec... Przewidywania i obawy Janusza miały niebawem spełnić się.

Któregoś dnia w końcu listopada Janusz w czasie przerwy został nagle wezwany do rektora. Po krótkim ^{wrócił} czasie i nerwowo zbierając swoje notatki, powiedział do mnie

- Już mam studia z głowy. Mówiłem ci, że ta kurwa mnie załatwi. -

Janusz został usunięty ze szkoły, a wywieżona na tablicy ogłoszeń informacja głosiła, że dla takich jak on nie ma miejsca w socjalistycznej szkole.

Po wielu, wielu latach spotkałem Janusza już jako starszego, siwego pana. Pracował w Białostockiej Delegaturze NIK i właśnie kończył zaoczne studia inżynierskie, chyba na Wydziale Budowlanym. Co robił w międzyczasie, jak potoczyły się jego dalsze losy i jaki miał wpływ na ich przebieg wyżej opisany incydent - nie wiem. Rozmawialiśmy krótko, przelotnie.

Moje zamieszkanie u ciotecznych braciszków przy Czystej 3 obfitowało w szereg, w większości nie należących do przyjemności, wydarzeń. Przede wszystkim miałem kłopoty ze wstawaniem rano tak, żeby zdarzyć na 7⁰⁰ do pracy. Tadzik należał do ludzi, którzy lubili sobie rano pospać, na co ze względu na charakter swojej pracy, mógł pozwolić. Rysiek też chodził do pracy na późniejszą godzinę i miał bardzo twardy sen, o czym niebawem miałem się przekonać. Problem częściowo złagodził budzik, ale często brakło silnej woli, ażeby zaraz po dzwonku wstać. ~~Nie~~

Nie zawsze wszyscy wracaliśmy wieczorem do domu. Mieliśmy umówione miejsce, gdzie był chowany klucz i każdy, kto przyszedł pierwszy do domu, mógł otworzyć drzwi. Zdarzało się tak, że klucza w umówionym miejscu nie było, a drzwi były zamknięte. Wtedy, po dłuższym dobijaniu się odzywał się Tadzik:

- Zrób sobie wycieczkę krajoznawczą po mieście i przyjdź za godzinę -.

Wiedziałem wtedy, że pokój jest opukowany przez Tadzika i jego Dziunię. Była to pani o rok tylko młodsza od jego matki, która tuż przed

wojną wyszła za mąż, a której mąż jako oficer rezerwy nie wrócił z wojny. Pracowali teraz oboje razem w TWP i Dziunia całkowicie omotała Tadzika. Dokonywali razem jakichś zakupów, kupowali różne rzeczy do domu: meble, które były składowane u Dziuni /mieszkała wraz z siostrą przy ul. Granicznej/. Tadzik w związku z tym nie miał nigdy pieniędzy. "Bo wiesz, coś tam kupiliśmy" - mawiał, a ja często musiałem mu pożyczać i łożyć na jego utrzymanie.

Pomimo, że była późna godzina, a ja byłem bardzo zmęczony, musiałem szwendać się po mieście bez celu. Czasami, kiedy po godzinie wróciłem, Tadzik niecierpliwie przez drzwi mówił:

- Jeszcze godzinę -

Rysiek do takich praktyk starszego braciszka był przyzwyczajony.

Kiedyś, kiedy wiedziałem, że Tadzika nie ma w Białymstoku, wróciłem późnym wieczorem do domu. Drzwi były zamknięte, a klucza w umówionym miejscu nie było. Dobijałem się do drzwi, łomotałem w okno. Bezskutecznie. Skonstatowałem, że Rysiek gdzieś się "wypuścił" i zapomniał zostawić klucza. Poszedłem więc zły na kolejną wycieczkę krajoznawczą. Kiedy po godzinie wróciłem, sytuacja nie uległa zmianie. Po następnej godzinie znowu to samo i znowu.

Wreszcie, już hen po północy, zdesperowany, zdecydowałem się wybić okno i tak dostać się do mieszkania. Ustaliłem, że najekonomiczniej będzie wybić na górze tzw. "oberluft". Znalazłem jakąś cegłę, wdrapałem się na okno i uderzyłem w górną, uprzednio upatrzoną szybę. Rozbite szkło posypało się, przeważnie do środka. Wtedy to, ku mojemu zaskoczeniu, usłyszałem z wnętrza przerażony głos Ryśka:

- O Jezu! mordują! Ludzie, ratunku! -

Ja wtedy chyba się nie mniej przeraziłem niż Rysiek. Pomyślałem sobie, że spadające z góry kawały szkła na twardo śpiącego Ryśka pokaleczyły go i zanim zorganizuję pomoc, on może umrzeć z ~~wiek~~ upływu krwi.

Tak źle jednak nie było. Wystrażony Rysiek otworzył drzwi. Ja pozbierałem odłamki szkła. Następnego dnia musiałem wstawić nową szybę.

Po pewnym czasie spania wraz z Ryśkiem na podłodze sytuacja moja uległa radykalnej poprawie. Rodzice, poinformowani o moich warunkach, przysłali mi żelazne łóżko. Postawiłem je pod oknem i spałem "jak Hrabia". Rysiek sypiał dalej na podłodze, gdzieś między łóżkami Tadzika i moim. W końcu października, na moje imieniny, odwiedził mnie Ojciec. Przyjechał w sobotę wieczorem, przywiózł upieczoną przez mamę kurę i jakieś ciastka. Nie miałem chleba, mieliśmy go kupić w niedzielę rano. W niedzielę ogłoszono wymianę waluty. Mieliśmy kłopoty z kupnem chleba, nie mieliśmy z czym jeść kury.

Pierwsze swoje pobory w życiu, które otrzymałem za miesiąc październik, wypłacono mi już w nowej walucie. Wynosiły one 619 zł 20 gr. Za pieniądze te kupiłem sobie nowe buty z cholewami, tzw. "oficerki" z wysokimi, twardymi załubnikami oraz pierwszy w życiu kapelusz, na co wydałem niecałe sześćset złotych. Mogłem sobie na to pozwolić, bo Ojciec w czasie pobytu u mnie obficie mnie dofinansował.

Zbliżała się zima. Zaczęły dokuczać chłody. W szkole nie było żadnego ogrzewania, trzeba było coś radzić. W naszej sali wykładowej ustawiono żelazny piecyk. Zrobiliśmy składkę i kupiliśmy węgla. W czasie zajęć paliło się w piecyku. Było już możliwe ciepło i zimę można było przetrwać.

W naszym pokoju też trzeba było palić w kuchni, ogrzewając w ten sposób pomieszczenie. W podwórzu budynku stały drewniane chlewiki, z których jeden należał do nas na spółkę z innym mieszkaniem. Tadzik jakoś nie mógł domówić się z sąsiadami i nie mieliśmy gdzie złożyć zakupionego węgla. Węgla tego było nie dużo. Tadzik zdecydował więc, że złożymy go w pokoju. Tak też i zrobiliśmy. Bryły węgla poukładaliśmy na gromadę pod ścianą, pomiędzy trzonem kuchennym o moim łóżkiem. Zmniejszyło to miejsce na podłodze, gdzie sypiał Rysiek i bardzo utrudniło dostęp do kranu, który teraz znajdował się nad gromadą węgla. Węgiel jednak był, paliliśmy w kuchni. Było ciepło, a przy okazji mieliśmy ciepłą wodę. Trochę kurzyło się, kiedy rozłukiwało się bryły węgla, ale wygoda była.

W pierwszych dniach grudnia przyjechała do mnie Mama. Kiedy zobaczyła jak mieszkamy, chwyciła się za głowę i powiedziała:

- Ty tak mieszkać nie możesz! Z Białegostoku nie wyjadę, zanim nie znajdę ci mieszkania, obojętnie ile ono będzie kosztowało.-

Po intensywnych staraniach Mama wreszcie znalazła mi mieszkanie. Trochę oddalone od centrum, ale był to samodzielny pokój, położony w małym domku przy ul. Dobrej pod Nr 8. Już po odjeździe Mamy, w święto Matki Boskiej w dniu 8 grudnia, a wtedy był to jeszcze dzień wolny od pracy, wynająłem dorożkę, na którą załadowałem swoje metalowe łóżko, tobołek z pościelą oraz bardzo skromny "majdan" i przeprowadziłem się na ul. Dobrą. Tak rozpoczął się kolejny rozdział mojej białostockiej przygody.

IX. DOBRA OSIEM

Na ulicę Dobrą szło się od bramy Pałacu Branickich, przez most na Białce, pod górę ulicą Pałacową. Po przecięciu ulicy Warszawskiej, po lewej stronie mijało się duży, piętrowy budynek szkoły ogólnokształcącej, z prawej natomiast budynek kojarzący się z prywatną willą, gdzie mieściła się Komenda Chorągwi ZHP. Zostawiając odchodzącą w lewą stronę ulicę Ogrodową, już na górze dochodziło się do przecznicy, gdzie w lewo odchodziła ulica Starobojarska, w prawo natomiast ulica Modlińska. Dalej biegnąca prosto ulica nazywała się Słonimska.

Po lewej stronie, tuż za skrzyżowaniem stał kiosk, w którym prasę i papierosy sprzedawał staruszek /tak go zapamiętałem/, który rozmawiając, językiem przytrzymywał ciągle wypadającą górną sztuczną szczękę. Czasem zastępowała go starsza pani. W tym właśnie kiosku, w drodze do pracy, kupowałem papierosy "Lotniki" - na życzenie można było dostać zapakowanych w papier 10 lub nawet 5 sztuk, niekoniecznie trzeba było kupować całe opakowanie 20 szt.

Po prawej stronie, róg Słonimskiej i Modlińskiej, był niezabudowany plac, na którym rozlokowała się targowica, tzw. "Bojary". Jakie dni tygodnia były przeznaczone na targi nie pamiętam, ale zawsze było tam pełno wieśniaków ze swoimi towarami. Przywozili je furmankami, w których konie były zaprzężone w "homonto" i "dugę". Był to dla mnie białostocki folklor, w augustowskim bowiem konie zaprzęmano w inną uprzęż, tak zwane "szleje".

Za targowicą był budynek, w którym mieściła się łaźnia miejska, przedsiębiorstwo dobrze w tym czasie prosperujące. W starej, przedwojennej zabudowie przeważnie łazienek nie było. Nieraz trzeba było odczekać w łaźni długą kolejkę, aby dostać się do wanny. Było tam kilka łazienek z dwiema wannami, do kąpania w których było zawsze mniej chętnych. Czasami więc można było wykąpać się bez kolejki, w towarzystwie jakiegoś też śpieszącego się mężczyzny. Kiedyś, w ta-

kiej właśnie sytuacji wszedł ze mną do ~~takiej~~ dwuwannowej kabiny ^X jakiś homoseksualista. Zaczęło się od tego, że zaoferował mi umycie placów, a potem dosłownie chciał mnie zgwałcić. Skończyło się wszystko wielką awanturą i facet niedomyty uciekł z łaźni.

Począwszy od kiosku, na pierwszym odcinku ulicy Słonimskiej, ułożone deski stanowiły drewniany chodnik dla pieszych. Idąc tym chodnikiem dochodziło się do kolejnego piętrowego, murowanego domu, w którym stacjonowała jakaś sowiecka jednostka wojskowa. Można było zobaczyć, za szczelnym płotem, ćwiczących żołnierzy, był tam jakiś maszt /kojarzyło się to z radiostacją/, wieczorami słychać było pracujący silnik spalinowy - myślałem, że to agregat prądotwórczy zasilający radiostację.

Po przeciwnej stronie ulicy był duży, kilkupiętrowy, murowany dom, który należał do tak zwanych "Braci~~g~~zków" - jakieś zakłady, chyba piekarnia, sklep, kaplica, jakieś pomieszczenia zajmowane przez Seminarium Duchowne - nigdy tam nie byłem i nie dowiedziałem się do końca, co się tam właściwie mieściło.

Dalej ulica Słonimska skręcała lekko w lewo i była już węższa, w prawo pod niewielkim kątem odchodziła Ulica Piasta. Idąc ulicą Słonimską dalej, mijało się odchodzące w lewo ulice Kamienną oraz Szczyglą i dochodziło się do dosyć obszernego, niezabudowanego placu, za którym w lewo odchodziła ulica Dobra.

Lewa strona ulicy dobrej była niezabudowana /w przyszłości na tym placu wybudowano kompleks budynków Technikum Budowlanego/, po prawej stronie usytuowane były drewniane, jednorodzinne, pobudowane przed wojną domy. W czwartym z rzędu domu zamieszkałem. P

Przez furtkę, obok której była brama, wchodziło się na niewielkie podwórko, w końcu którego był chlewik, obok niego "wygódka" oraz furтка, przez którą wchodziło się na sąsiednią posesję. Do mieszkania wchodziło się, przez dobudowaną do domu sieni. Pomiedzy chlewikiem a sienią był niewielki ogródek, gdzie w lecie uprawiano warzywa. Drzwi do sieni zamykane były na zasuwkę zmyślnie przesuwaną gwoździem. /zawsze musiałem ze sobą w związku z tym nosić w kieszeni gwoździć/. Z sieni wchodziło się do małego, ciemnego przedpokoju, z którego drzwi na wprost prowadziły do części mieszkania zajmowanego przez gospodarzy. Były tam dwa pokoje, z których drugi spełniał rolę sypialni. Drzwi na prawo natomiast prowadziły do kuchni. Poza trzonem kuchennym, zlokalizowanym tuż przy drzwiach po lewej stronie, był tam jakiś staromodny kredens przy ścianie, vis a vis drzwi oraz, po prawej stronie, pod oknem, stół. Z lewej strony za trzonem kuchennym było wejście do mojego pokoju.

Po doświadczeniach z Czystej, warunki były tu wręcz luksusowe. Był to pokój obszerniejszy niż ten, który tam ~~w~~zajmowaliśmy we trzech wraz z gromadą brudnego, czarnego węgla i milionami chyba pcheł - tutaj ani węgla ani pcheł nie było. Tuż za drzwiami, po lewej stronie pokoju stała drucziana podstawa z miednicą i z dzbankiem wody. Dalej był żelazny piecyk węglowy, który zapewniał w zimie ogrzewanie. Za nim moje żalazne łóżko, które drugim swoim szczytem dotykało do przeciwległej ściany. W ścianie tej, już poza szczytem łóżka było wychodzące na ulicę okno, pod którym stało małe biurko. Stanowiło ono własność gospodarzy, ale zostało oddane do mojej wyłącznej dyspozycji. Za biurkiem była mała przerwa, a następnie ustawiona była komoda, która swoim szczytem dotykała do okiennej ściany, swoimi „plecami” zaś do ściany, która zamykała pokój od ściany okiennej do ściany, w której były drzwi wejściowe. Komoda była własnością gospodarzy, ale dysponowałem w niej jedną szufladą. Przy biurku stało jakieś krzesło, przy umywalce taboret. Jak na moje potrzeby były to luksusowe warunki. Dodatkową zaletę stanowiło to, że byłem tutaj sam u siebie.

Moi gospodarze to ojciec z córką. Wysoki, chudy, z „mikołajewską” brodą pan, w wieku osiemdziesięciu kilku lat, dawny carski „policmajster” jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Jego córka, Marysia, jeszcze panienka, ale w wieku już dobrze balzakowskim, prowadziła całe gospodarstwo domowe. Staruszek, już dalece dzieciństwa, nie bardzo orientujący się, co się na świecie dzieje i jego córka Marysia, ciągle jeszcze marząca o tym, że kiedyś jakiś przystojny i bogaty książę „na rączym rumaku”... Czasami odwiedzał ich brat Marysi, a syn starszego pana. Mieszkał, wraz z żoną, gdzieś na mieście, ale żona ta nie była akceptowana przez rodzinę, nigdy jej tam nie widziałem. Marysia mawiała pogardliwie:

- Taka to nawet dziecka urodzić nie może -.

Nie musiałem nastawiać zegarka, zawsze o 6-tej rano gospodarz mnie budził. Potrząsał mnie za ramię i mówił:

- Tadeusz, już pora -.

Staruszek nigdy nie pamiętał, gdzie ja pracuję, wiele razy mnie o to pytał:

- A Tadeusz to pracuje w magistracie czy w „Orbasie”? - Chodziło oczywiście o Orbis. Kiedy odpowiadałem, że w elektrowni, odpowiadał: - „Aha!” - i znowu zapominał.

W szkole zajęcia odbywały się normalnie, to znaczy od godz. 16-tej do 21-szej. W pewnym okresie otrzymywaliśmy raz w tygodniu zwolnienie z pracy na cały dzień. Cały ten dzień wszyscy spędzaliśmy w szkole, odrabiając prace kreślarskie.

W lutym skończyły się zajęcia przewidziane na semestr I. 6-go marca 1951 roku zostałem w indeksie zapisany na sem. II. Wpis ten jednak nie był uwarunkowany uzyskaniem odpowiednich zaliczeń i zdaniem egzaminów, nikt nam wtedy o takim obowiązku nie przypominał.

Wszystkie przedmioty z poprzedniego semestru powtórzyły się, poza tym doszły jeszcze dwa nowe. Pierwszy to wytrzymałość materiałów, która obejmowała wykład i ćwiczenia. Przedmiot ten prowadził rektor Białkowski. Nie powiem, żeby był on prowadzony na wysokim poziomie. Białkowski jako elektryk nie miał zbyt głęboko przestudiowanych zagadnień związanych z wytrzymałością materiałów. Nigdy nie rozstawał się z kartką, a czasem dochodziła do nawet nieprzyjemnych spięć.

Drugim przedmiotem była chemia, którą prowadził mgr inż. Zygmunt Skrobecki. Był to wysoki, postawny pan w średnim wieku. Nie wiem dlaczego, ale kojarzył mi się zawsze z przedwojennym prezydentem RP, prof. Ignacym Mościckim.

Niektórym kolegom taki sposób studiowania wcale odpowiadał - na zajęciach nie sprawdzają obecności, nie wymagają zaliczeń i egzaminów, z pracy wcześniej zwalniali, można więc sobie postudiować. Pewna grupa kolegów gros czasu spędzała w położonej na drugiej stronie ulicy Zamenhofska świetlicy, gdzie był bilard. Zawsze to tam przyjemniej niż w szkole. Nazwisk tych kolegów nie pamiętam, niektóre tylko twarze gdzieś tam mającą się w mojej pamięci. - Nikt z grupy tych ludzi studiów nie ukończył.

Wśród studentów znaleźli się aktywiści, którzy zaczęli tworzyć różne organizacje na terenie szkoły. Wszyscy pracowaliśmy i do organizacji powinniśmy należeć w swoich zakładach pracy. Chodziło jednak o to, ażeby wyraźnie w mieście dać odczuć i zasygnalizować istnienie Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej jako samodzielnej, poważnej placówki naukowej.

Skrzyknęli się więc przede wszystkim partyjni i stworzyli w szkole swoją komórkę. Sekretarzem był Tolek Wojszkowicz, a do aktywnych działaczy należeli Arkadiusz Antonowicz, Bogdan Jeżykowski, Sergiusz Szulżyk. Rektor Białkowski, który był starym partyjniakiem, często zasięgał rady partyjnego aktywu.

Jeżykowski zorganizował koło ZMP, którego został przewodniczącym. Zrobiłem wielkie głupstwo ujawniając swoją przynależność do tej organizacji. Kierował mną jednak strach. Obawiałem się, że moi augustowscy opiekunowie w każdej chwili mogą wpaść na mój trop. Daleko przecież nie uciekłem, a jak jeszcze stwierdzą moją dezercję z ZMP - myślałem - to w ogóle marny mój los. Spotkać mnie może co najmniej to, co spotkało Janusza Parafianowicza. Przypadła mi funkcja kolportera. Z roz-

prowadzaniem jednak ~~prasy~~ przychodzącej do mnie prasy nie miałem większych kłopotów.- Chyba gazety były bezpłatne.

Jeżykowskiego wprost się bałem. Wiedziałem, że jest to człowiek bezwzględny, ślepo wierzący w stalinowskie idee oraz będący ich bezwiednym propagatorem i wykonawcą. Człowiek, którego na wszystko stać. Obawiałem się, żeby nie wpadł na mój trop i nie odkrył mojej "haniebnej" przeszłości. Zaistniał jednak fakt, który z jednej strony ogromnie mnie zbulwersował, z drugiej jednak trochę uspokoił.

Któregoś późnego wieczora, po zajęciach, kiedy wszyscy spieszyli do domów, w kolejce do szatni Jeżykowski poprosił mnie szeptem, żebym chwilę pozostał, bo ma mi coś ważnego do powiedzenia. Wszyscy śpiesznie wyszli, myśmy niezauważeni przez nikogo, pozostali. Jeżykowski kazał mi stać pod drzwiami do naszej sali i nikogo tam nie wpuszczać. Sam wszedł do sali nie zapalając światła. Po krótkiej chwili wyszedł z sali dopinając teczkę, którą cały czas miał przy sobie. Zachęcony przez Jeżykowskiego wszedłem do sali i zapaliłem światło. Rozejrzałem się dokoła. Po pewnej chwili zauważyłem, że znikł krzyż, który jeszcze do końca zajęć wisiał na frontowej ścianie.

- Krzyż - powiedziałem.

- No widzisz! Tylko sza! - odpowiedział Jeżykowski.

~~W milczeniu~~

W milczeniu wyszliśmy z budynku. On zadowolony poszedł w swoją stronę, a ja szargany różnymi myślami wlokłem się do domu. Mimo woli brałem udział w usuwaniu krzyża. Z drugiej jednak strony przekonałem się, że ze strony tego stalinowskiego sługusa nic mi nie grozi.

Organizacją, do której tworzenia naprawdę zaangażowałem się i w której potem działałem, było Zrzeszenie Studentów Polskich. Robiłem to z tą świadomością, że nie jest to organizacja polityczna, a chodzi jedynie o sprawy socjalno-bytowe. Wszyscy nasi studenci byli związani ze swoimi zakładami pracy i tam w zasadzie należałoby szukać dla nich opieki socjalno-bytowej. Uważałem jednak, że są pewne dziedziny związane wyłącznie ze stanem studenckim, które w zakładzie pracy nie mogą być zauważone, jak np. tanie obiady dla studentów gdzieś w jakiejś stołówce, pomoc koleżeńska w nauce, mieszkania. Objąłem w tej organizacji funkcję sekretarza Komitetu Uczelnianego. Przewodniczącym był, pracujący w elektrowni, Edzio Falkowski. Ponadto działali tu: Stasio Ziemiński i Leszek Taraszewski ze starszego semestru. Działalność w tej organizacji przesiągnęła się prawie do końca studiów, a szczególnie przyjemnie pracowało się po odejściu Falkowskiego, kiedy prezesurę objął Czesio Przybylki. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą bardzo blisko.

Wspólne zajęcia, wspólne obowiązki, pełne żartów i wesołe przerwy między wykładami - wszystko to zaczęło nas do siebie zbliżać. Zaczęły zacierać się różnice wieku, a były one stosunkowo duże. Na przykład Szulżyk urodził się w 1917 roku, ja, najmłodszy na semestrze, urodziłem się w 1930 roku. - 13 lat w tym wieku to dużo.

Jadzia Bierdzik, nasza jedynaczka Dziunia, jak ją nazywaliśmy, była rzec można centralną osobą na semestrze. Jedną Jadzia i kupa chłopów. Nic więc dziwnego, że zawsze gromadziliśmy się dookoła niej. Była biedną dziewczyną, pod względem oczywiście materialnym, i wiodło się jej nie najlepiej. Cały czas jednak wiedziała, do czego w życiu dąży. Miała przy tym poczucie humoru - żartowaliśmy więc umilając sobie ciężkie, bardzo pracowite czasy. Żarty te miały oczywiście swoje granice. Szanowaliśmy Jadzię.

W naszym najbliższym otoczeniu był Zbyszek Puchalski. Ukończył on średnią szkołę techniczną i był dla nas autorytetem w sprawach technicznych - jego zdanie liczyło się.

Autorytetem też był Sergiusz Szulżyk, którego ze względu na wiek nazywaliśmy "Stary". Miał on, początkowo w Czeremsze, rodzinę, którą pod koniec studiów sprowadził do Białegostoku. Poza zajęciami nie przebywał on dużo w naszym towarzystwie. Często wyjeżdżał do żony i dzieci, nie uczestniczył w naszych późnowieczornych naukach. W czasie przerw jednak chętnie włączał się do naszych żartów, będąc niejednokrotnie ich inspiratorem. Mawiał, że on chętnie studiowałby całe życie pod warunkiem jednak, iż przerwy trwałyby 45 minut, zaś zajęcia 15 minut. Kiedyś, już na dalszym roku, Dziunia sprawiła sobie nowe palto z ładnym kołnierzem, chyba z królików. Ktoś powiedział, że to Szulżyk Jadzi kupił kołnierz. Szulżyk, żeby było śmieszniej, nie wypierał się, myśmy wszyscy śmieli się wiedząc, że jest to dobry żart. Już po latach, przy jakichś spotkaniach, wspominaliśmy kołnierz, który Szulżyk kupił Jadzi.

Władzio Swianiewicz to następny "chłopak" z naszego otoczenia. Władzio mi~~ę~~ już za sobą odsłużone wojsko, był absolwentem oficerskiej szkoły artylerii w Toruniu i był podporucznikiem rezerwy. Mieszkał w Białymstoku wraz z mamą i młodszym bratem. Ojciec jego już dawno nie żył.

Kolejni dwaj nierozłączni koledzy to Tadzio Jeneralczuk i Stasio Kowalczuk. Przyjaźnili się oni ze sobą bardzo i tworzyli na semestrze taką nierozłączną parę. Zawsze wszystko było im do śmiechu. Ciągłe żartowali. Tadzia nazywaliśmy "Jenerał". Stasio, pamiętam, ~~nie~~ chyba musiał mieć długie ręce. Stawał obok kolegi i rozmawiając na jakiś temat zakładał rękę na tył głowy, palcami której trącał swego rozmówcę

za ucho lub nawet lekko uderzał go w potylicę. Kiedyś Stasio widział Tadzia idącego w mieście z jakąś dziewczyną. Potem w szkole pytał go w naszym towarzystwie:

- Nie wiedziałem Tadziu, że wyjeżdżasz -
- Dlaczego? - dziwił się Tadzio.

Na to Stasio:

- Widziałem, jak szedłeś z tłumokiem, więc myślałem, że wyjeżdżasz -.

Stasio poznał dziewczynę z Olsztyna, która nazywała się Lolka i z którą potem się ożenił. Ona mieszkała w Olsztynie i czasem do Stasia przyjeżdżała. Koledzy mówili, że Lolka przyjeżdża do Stasia na kontrolę i straszili go mówiąc:

- Uwaga, uwaga! Pociąg osobowy z Olsztyna wjeżdża na tor... przy peronie

Było też między nami kilku kolegów, którzy rozpoczynając studia byli już obarczeni rodziną. Ciągle myślałem, że musi im być szczególnie ciężko. Najbardziej popularni byli Rysio Charytonowicz i Zygmunt Olejnicki.

Rysio, zwany "Blondyn", ze względu na kolor swoich włosów, miał już za sobą służbę w II Armii Wojska Polskiego, do której był zmobilizowany po wyzwoleniu oraz frontowe przeżycia, gdzie był ranny w nogę. Był więc inwalidą wojennym i korzystał z należnych mu z tego tytułu przywilejów. Matka jego początkowo prowadziła bufet na dworcu PKP. Często wtedy można było widzieć Ryśka w okolicach dworca w stanie wskazującym na spożycie alkoholu". Bufet upaństwowiono. Rysio opamiętał się, wziął się do pracy, poważnie potraktował szkołę, mieliśmy więc kolejnego wesołego i "setnego" kumpla.

Zygmunt natomiast, zwany przez kolegów Dymsza ze względu na swe podobieństwo do słynnego Dodka, miał za sobą bardzo bogate przeżycia jako sierżant Czerwonej Armii. Był zwerbowany przez Niemców na przymusowe roboty, które odbywał w okolicach Królewca. Po wkroczeniu tam w 1944 roku Sowieców, jako pochodzący z Białegostoku, a więc przypuszczalnie obywatel radziecki /decydowała granica ustalona w 1939 roku przez pakt Ribentrop-Mołotow/ został zmobilizowany do armii sowieckiej. Wyznaczono go na sierżanta. Po kilku dniach ćwiczeń, najpierw z kijami, potem z karabinami, posłano ich na front przeciw Niemcom. Po pokonaniu Niemiec jednostkę przetransportowano do Azji, gdzie Zygmuntowi przyszło walczyć z Japończykami. Potem, już po zakończeniu wojny, jeszcze pewien czas stacjonował ze swoją jednostką w jakimś mieście w Mandżurii. Przeżycia miał ogromne i trzeba przyznać, że bardzo obrazowo i barwnie umiał o nich opowiadać. Myśmy zamieniali się w słuch,

a Zygmunt opowiadał. Czas przeznaczony na naukę niepostrzeżenie uciekał i dopiero późno w nocy ktoś najbardziej zmęczony opamiętywał się. Zygmunt przerywał, zarzekał się, że następnym razem nie da się naciągnąć, ale to było silniejsze od nas i od niego chyba też. Zygmunt służył w 45 gwardyjskim pułku, który miał swój hymn. Zygmunt mimo woli nauczył nas tego hymnu, co ze względu na nieskomplikowaną melodię i znajomość przez nas języka rosyjskiego, poszło bardzo łatwo:

"On praszoł niepobieżdionnyj
Po mandóurskim gorodam,
Sławnyj połk krasnoznamionnyj
Wsiudu smiert' niesia wragam"

A na koniec jak to:

"...Za pobiedu nad Japoniej
Stalin nam błogodarił"

Po wielu latach, kiedy Zygmunt jako dyrektor technikum przyszedł do Szulżyka, w tym czasie dyrektora Fabryki Przyrządów i Uchwytów, załatwić jakąś sprawę, Szulżyk z filuternym uśmiechem powiedział:

- Zygmunt! A zaśpiewasz "Sorok piatyj", to ci załatwię - "

Lolek Jabłoński, to kolejny kolega czynnie włączający się do naszych żartów. W grupie "samokształceniowej" po zajęciach nie brał on jednak udziału. Uczucia swoje ulokował na Wydziale Elektrycznym. Były tam dwie siostry o nazwisku "Zasada", z młodszą z nich - Julcią - ostatecznie Lolek ożenił się.

Jurek Małakowski, już wtedy chyba żonaty, "Tuszem" zwany - taki przydomek dała mu Jadzia. Chodziło o to, że on zawsze rysunki wykonywał tuszem, licząc na lepszą ocenę. Myśmy wszyscy woleli przeważnie wykonywać rysunki w ołówku, co było łatwiejsze i mniej pracochłonne.

Na swój sposób barwną postacią był Maciek Jaroszewicz. Jego siostra, gdzieś w czasie wojny działała organizując chyba ZWP, jak dobrze pamiętam, zmarła w 1944 roku w waniku odniesionych ran. On sam pracował teraz w kilku przedsiębiorstwach naraz. Jeździł motocyklem z taką trąbką. Jak zjawiał się w szkole, a nie był zbyt częstym gościem, koledzy krzyczeli: "U, U, U, U! U, U, U, U!", oznajmiając w ten sposób jego przybycie. - niby trąbka. Dużo opowiadał o swoich miłosnych podbojach. Wtajemniczeni opowiadali, że rano, przed godziną siódmą, Maciek objeżdżał wszystkie przedsiębiorstwa, w których jest zatrudniony, wszędzie podpisuje lity obecności, a resztę dnia poświęca na podboje miłosne. Coś w tym chyba było.

Byli także dwaj koledzy kolejarze dojeżdżający codziennie z Łap: Zygmunt Majewski i Wacek Łapiński. Nie angażowali się oni w młodzieńcze żarty, które niektórych kolegów cechowały, ale odnosili

się do nich z milczącą aprobatą. Robili wrażenie ludzi poważnych. Szczególnie Wacek był nawet nieśmiały, ciągle zażenowany i jak gdyby zawstydzony.

Tadzio Czarnocki - co to chyba najlepiej i najbardziej bezczelnie umiał sycić. Cyniczny kpiarz - Adam Falkowski. Ciągłe pąsowy, jak gdyby zawsze zawstydzony - Kostek Harasim, "Małomiasteczkowym" zwany ze względu na jego zamieszkanie w Starosielcach /Starosielce wtedy nie należały jeszcze do Białegostoku, były samodzielnym małym miasteczkiem, stąd przydomek Kostka; niektórzy powiadali wtedy, że Białystok koło Starosielc leży/. Władzio Rutkowski, Ryszard Wojtkiewicz, Miścio Gontarczuk, najstarszy między nami Mieczysław Jackowiak, Romek Rosiewicz, Jasio Sulkowski zwany "Suliko", Leon Wołoncewicz, Stasio Ziemiński, Broniek Busłowski, skrzywdzony przez naturę, garbaty Kazio Kackieło, Tolek Wojszkowicz.

Na szczególną uwagę zasługuje Wacek Czembrowski. W swoim odczuciu posiadał on wielkie inżynierskie zdolności, które ugruntowała praktyka - rozpoczął ją od tokarza, a teraz był już technologiem w Fabryce Przyrządów i Uchwytów i wcale nie zamierzał na tym skończyć. "Maleńki" był na przedmiotach teoretycznych, ale jeżeli chodzi o przedmioty ściśle zawodowe, to uważał, że wśród naszych wykładowców ~~nie~~ nie ma nikogo, który mógłby mu dorównać. Ledwie tolerował uwagi, jakie kierowano pod jego adresem przy konsultowaniu projektów.

Z Wackiem przygotowywałem się do jednego z trzech egzaminów z matematyki /Matematyka II/, egzamin odbył się dnia 9.10.1951 r./. Właściwie to Wacek zabiegał o mnie i to ja jego przygotowywałem do tego egzaminu. Nie potrzebowałem aż tak dużo czasu poświęcić na powtórzenie materiału, który miałem opanowany, ale co to się nie robi dla kolegi. Pracowaliśmy u Wacka w domu, przy ulicy Sukiennej, gdzie wtedy mieszkał z matką. Wacek w międzyczasie popisywał się przede mną swoją wiedzą z obróbki skrawaniem, hutowy narzędzi skrawających i ^{ich} geometrii. Podziwiałem jego wiedzę. Ja wtedy na ten temat nic nie wiedziałem i zastanawiałem się, czy się tego w ogóle można nauczyć. Wacek obiecywał ~~wtedy~~:

- Niech no tylko przyjdą przedmioty zawodowe, wtedy ja tobie pomogę. Nie ma mocnych ! -

Ktoś kiedyś powiedział, że Wacek zostanie pewnie dyrektorem fabryki, na co Wacek odpowiedział:

- Nieważne być dyrektorem, ważne czuć się dyrektorem -

Ktoś inny powiedział, że Wacek pewnie już jest siódmym z rzędu dyrektorem i tak przyłgnęło do Wacka: "Siódmy dyrektor", w skrócie mówiono "Siódmy".

Wacek do końca został "Siódmym", nikt inaczej o nim nie mówił. Na katedrze, przed którą w pierwszej ławce siedział Wacek, ktoś wymalował dużą siódemkę. Lolek, Tadeusz i Stasio podśpiewywali na melodię Krakowiaka:

"Siódmy roczek wojny minął
Już nie jeden Wacek zginął"

Wacek był jak głaz. Nie reagował w ogóle na te wszystkie kpiny, tak jakby to jego nie dotyczyło. Ten brak reakcji ostudził trochę zapędy kolegów, niemniej jednak siódemka pozostała symbolem Wacka do końca.

Przez nasz rok na Wydziale Mechanicznym przeszło wielu ludzi, którzy gdzieś tam po drodze wykruszyli się. Wielu z nich zatarło się w pamięci, pozostało wiele twarzy, które jednak nie kojarzą się z nazwiskami, pozostały nazwiska.

Na pierwszej ławce siedziało jakieś rosłe, barczyste chłopisko z dużą głową. Zawsze tą swoją dużą głową zasłaniał tablicę tym, którzy siedzieli na dalszych ławkach i zmuszeni byli go upominać: "Zygmunt, zabierz głowę". Potem inaczej się o nim nie mówiło, tylko: "Ten zabierz głowę", a nazwisko uleciało.

Wacek Wdowiak, który zrezygnować musiał ze szkoły ze względu na zdrowie. Henio Kafarski ze Starosielc, który przyszedł do nas po odbyciu służby wojskowej w lotnictwie i o niczym innym poza lotnictwem nie można było z nim rozmawiać. Został potem kapitanem w PLL"LOT". Zginął wraz z całą załogą i pasażerami w katastrofie swego samolotu przy podjeździe do lądowania na Okęciu. Henio Kiersnowski, zawsze pogodny i uśmiechnięty, ścierający kurz dłonią ze stołu na brzuchy stojących przodem do stołu kolegów. Powodowało to zwykle uderzenie ręką w dolną część brzucha delikwenta. Miecio Treger, Wcisło, Abakanowicz, Szymczuk... Z jednym tylko Arkadiuszem Antonowiczem, którego nazwaliśmy wprost "Arkaszka", moje drogi krzyżowały się często. Bardzo zaangażowany politycznie "Arkaszka" dotrwał aż do egzaminu dyplomowego, którego niestety nie zdał i nigdy nie został inżynierem.

Nawiązały się też przyjaźnie, a nawet coś więcej z elektrykami. Łączyły nas wspólne przerwy na korytarza, wspólny dziekanat, wspólne miejsca pracy. W naszym najbliższym otoczeniu znaleźli się: Zosia Bukowska /później Puchalska/, Werka Czerwiecka /później Swianiewiczowa/, zwana "Czarną Wroną" ze względu na kolor włosów, Irka Miliszewska /później Niebrzydowska/, nazwana "Szlachcianką" ze względu na swoje szlacheckie pochodzenie z Turczyna pod Grajewem, zawsze starająca się być poważną /nie zawsze się jej to udawało/, upominająca nas i przywołująca do porządku oraz koledzy: Franek Przybyło, Czesio Przybylski, Kazio Bielski, Jurek Niebrzydowski, który u nas studiów nie skończył.

- wyjechał do Wrocławia i tam dopiero został inżynierem.

Byliśmy mimo wszystko młodzi. Ławki szkolne, w których zasiedliśmy przypominały nam o naszej młodości i w szczególny sposób potęgowały nasze młodzieńcze zapędy. Dookoła działy się różne, czasem bardzo przykre rzeczy, my w swojej zaprzyjaźnionej grupie staraliśmy się tego nie zauważyć. Chcieliśmy być w miarę normalnymi, młodymi ludźmi. Organizowaliśmy więc, przy różnych okazjach, spotkania w gronie osób zaufanych, gdzie dla fantazji wypijało się kieliszek wódki czy szklanczkę wina, ale o wielkim pijaństwie nie było mowy.

Pierwsze takie spotkanie miało miejsce na "zapusty" 1951 roku. Wieczorem, po wykładach, odbyło się ono w mieszkaniu Franka Przbyły przy ul. Waryńskiego, gdzie mieszkał wraz z rodzicami. Inne spotkanie odbyło się z okazji imienin Zosi Bukowskiej. Zosia miała w Białymstoku bardzo liczną rodzinę. Żona inż. Rodego, Maria, była rodzoną siostrą Zosi, a mieszkała ona w tym czasie u innej swojej siostry, Wandy Kozłowskiej, przy ul. Sw. Rocha, na trzecim piętrze, w tzw. domu bankowym./mąż pani Wandy, pan Tolek, pracował w banku/. Niewielkie to mieszkanie zajmowali Kozłowscy wraz z malutką córeczką, Elżbietką. Imieniny Zosi, na których piliśmy /w miarę/, jedliśmy i tańczyliśmy, przeciągnęły się aż do rana. Były tam też dwie kolejne siostry Zosi: starsza Irena, która w niedługim czasie wyszła za mąż za inż. Staręgę /nie wiedziałem wtedy, że ich ze sobą coś łączy/ oraz młodsza - Jolanta.

Zbyszek Puchalski, późniejszy mąż Zosi Bukowskiej, pracował w szkole zawodowej przy ul. Sosnowej. Mieszkał w jednym z budynków szkolnych, gdzie na najwyższym trzecim piętrze miał swój pokój. Mizernie to był umeblowany pokój - żelazne łóżko, stół, szafka, jakieś dwa obskurne krzesła i to wszystko. Kiedyś wieczorem Zbyszek wrócił do domu pod lekkim "rauszem" - pewnie było to po jakiejś kolacji, na które czasami pod wykładach chodziliśmy, przeważnie do "Gospody Ludowej". Zbyszek uznał, że w pokoju jest duszno. Otworzył więc na oścież okno i przystąpił do ścielenia łóżka. Lewą ręką /Zbyszek był leworęki/ chciał przełożyć poduszkę w nogi łóżka, a że człowiek "po wódce" nie zawsze jest w stanie kontrolować swoje czynności, zrobił to zbyt energicznie. W efekcie poduszka wypadła przez otwarte okno i wylądowała na podwórzu. Przez długi czas ta przygoda Zbyszka stanowiła temat naszych żartów.

W szkole zawodowej, gdzie pracował Zbyszek, była duża kreślarnia, ~~gdzie~~ ^{tam} były stoły kreślarskie z prostowodami. Dzięki Zbyszkowi mogliśmy z tej kreślarni korzystać. Spędziliśmy tam wiele nocy na wykonywaniu rysunków, a były to prace, przy których można było czasami odprężyć

się. Opowiadaliśmy więc różne dowcipy, śpiewaliśmy piosenki, czasem frywolne. Z tego okresu pamiętam piosenkę:

Panna Mania, Panna Mania,
Trzeba oddać ją do prania,
bo z tej Mani kawał drania...

albo

Czy pan w portfelu ma dolary,
Bo miłość to dla mnie kawał stary
Ja cię uspokoję, do snu ukołyszę
I poznasz raj, lecz dolary daj

Nierządsko też można było usłyszeć: "Sorok piatyj".

Dla mnie najgorsze były po takiej pracy powroty nad ranem do domu. Musiałem przejść przez całe miasto, w owym czasie bardzo słabo oświetlone. Po długim marszu kładłem się skonany do łóżka, a za chwilę słyszałem już głos gospodarza:

- Panie Tadeusz, już szósta. Czas do magistratu -

W pracy powoli zaczęło się jakoś "układać". Nie mogłem jednak tej swojej pierwszej w życiu pracy, która "spadła" na mnie tak nagle i z nienacka, traktować normalnie. Wszystko to wydawało mi się takie niepoważne. Pewnie wszystko to jest poważne, tylko ja nie mogę tej powagi zauważyć i docenić - tak mi się wtedy wydawało.

Jakieś tam ostatecznie obowiązki musiałem spełniać. Najchętniej angażowałem się do przepisywania na maszynie. Coś nagle pilnego trzeba było przepisać, trzeba było w związku z tym zostać po godzinach. Otrzymywało się usprawiedliwienie do szkoły, czasem nawet płacili za godziny nadliczbowe. Nikto w szkole nie wiedział, jaką pracę wykonuję w nadgodzinach, robiło to więc wrażenie, że jestem pracownikiem niezastąpionym.

Zdarzały się też wyjazdy w delegacje. Jeździłem tylko do Warszawy. Chodziło o przekazanie opracowanych w ostatniej chwili dokumentów. Do załatwiania innych, poważniejszych spraw, nie byłem angażowany. Dokumenty dostarczałem do przedsiębiorstwa, które mieściło się w budynku warszawskiej elektrowni, przy Wybrzeżu Kościuszkowskim. Robiłem to zaraz z rana, po przyjeździe do Warszawy, a potem miałem cały dzień do własnej dyspozycji. Zwiedzałem wtedy wyłaniającą się z ruin i odbudowującą się stolicę. Często kroki swoje kierowałem na ulicę Myśliwiecką, gdzie w jednym z domów akademickich mieszkała Irena będąca wtedy studentką fizyki w PWSP w Warszawie. W związku z tą Myśliwiecką zawsze wtedy brzmiała mi w uszach ballada, którą podśpiewywał Stasio Kowalczyk:

Na Myśliwieckiej, koło Dantyszka
W maleńkim domku z remontu.

Żył sobie jeden Ignacy Pliszka
z żoną i z dzieckiem od frontu.
Ona mu była wierności wzorem
I gotowała też świetnie,
A on był w biurze kalkulatorem
A dziecię było nieletnie...

Takie tam skojarzenia.

Do Białegostoku wracałem zwykle nocnym pociągami. Do domu przychodziłem rano, po to tylko, aby umyć się i zaraz iść do pracy. Byłem wtedy młody i drzemka w pociągu wystarczała.

Praca w Zakładzie Sieci Elektrycznych nie dawała mi żadnego zadowolenia, w ogóle mnie nie interesowała. Traktowałem ją jako zło konieczne, tak jak chyba traktuje się niepożądane dziecko. Tak traktowałem w tym czasie każdą chyba inną pracę. Nie znając meritum spraw, dokumenty dotyczące inwestycji, z którymi spotykałem się zawierały jakieś cyfry układające się w liczby, sumujące się i bilansujące w poziomie i w pionie. Był to po prostu rachunki. Owszem, rozróżniałem linię 15 kW od linii 30 kW, czy stację "trafo", ale były to tylko dla mnie różnice w nazwie, niewiele mi mówiące. Zawsze podziwiałem Gienię Pietraszkiewicz, że ona widzi i czuje różnice pomiędzy poszczególnymi tytułami i wie do końca o co tu chodzi.

Przyszły wreszcie pierwsze w moim życiu studenckie wakacje. Jakżeś były one różne od moich wyobrażeń. Przede wszystkim pracowałem i byłem uwiązany w Białymstoku, Owszem, miałem jakiś tam urlop, ale częściowo musiałem go wykorzystać na załatwianie spraw związanych ze studiami. Mogłem tylko jakiś krótki czas być w domu, trochę wyskoczyć do Augustowa.

Odbywałem wtedy częste wojaże na niedzielę do Augustowa. Jeździło się autobusem i z reguły każdy kierowca tak jechał, żeby w Suchowoli mieć dłuższy postój. Tutaj przystanek był koło gospody. Nierzadko więc męska część pasażerów biegła po niewielkich schodkach do "Karczmy", tam po "setce" i śledziku. Nierzadko można było w tym towarzystwie zobaczyć konduktora. Dalsza podróż była bardzo przyjemna.

W okresie wakacji nie było w szkole zajęć i my, studenci, nie wychodziliśmy z pracy wcześniej. Czas po pracy można było wykorzystać na różne sprawy - spotkania, kino, spacer. W gronie najbliższych zaprzyjaźnionych kolegów organizowaliśmy spotkania w "plenerze" przy kieliszku. Nie były to jakieś spotkania planowane. Przeważnie przy końcu pracy, kiedy była odpowiednia pogoda, "skrzyknęliśmy się" szybko, ustaliliśmy kto co kupuje, a kwadrans po pracy spotykaliśmy się w umówionym miejscu. Franek, Kazio, Jurek i pewnie ktoś jeszcze, każdy ze

swoim zakupem zjawialiśmy się w umówionym miejscu i "rozrywaliśmy się". W tym umówionym miejscu mieliśmy schowaną szklaneczkę i sól, zakąskę stanowiły przeważnie pomidory i chleb, rzadziej jakaś kiełbasa. Nigdy były to wielkie pijaństwa, ot tak, dla humoru po "kusztyczku", jak to pan Zagłoba mawiał-i na obiad.

W tamtych latach bardzo często chorowałem na anginę. Nie mogłem pić chłodnych napojów, o lodach nie mogło być w ogóle mowy, bosą nogą nie mogłem stać na podłogę, nie znosiłem żadnych przeciągów - wszystko to powodowało ropny stan migdałków, temperaturę wysoką, ogarniała mnie niemoc, przez kilka dni nie byłem zdolny do niczego. Tak bywało, że na dworze jest środek lata z upałem przekraczającym 30°C, a ja leżę w łóżku z temperaturą dochodzącą do 40°C. Kiedyś taka właśnie niemoc mnie ogarnęła. Od ordynującego w Zakładzie doktora Wolańskiego dostałem trzy dni zwolnienia z zaleceniem "leżeć". Chciałem nawet przed końcem pracy zwolnić się i iść do domu. Koledzy moi jednak poradzili mi przed pójściem do domu pójść z nimi do naszego "plenerowego lokalu". Któryś zawyrokował:

- Jednego chlapniesz i jak ręką odjął. Zobaczysz, jutro będziesz całkiem zdrowy --.

Posłuchałem tej rady. Rezultat terapii był jednak opłakany. Po wypiciu kieliszka wódki przy wysokiej temperaturze, jak wtedy miałem, nie byłem w stanie samodzielnie przejść kilku kroków. Koledzy musieli mnie zawieźć do domu dorożką.

Gospodyni, zaniepokojona ciszą panującą w moim pokoju początkowo myślała, że jestem pijany, potem jednak zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Przyszła do mnie do pokoju i stwierdziwszy, w jakim jestem stanie, zawyrokował:

- Bańki ! -

Nie protestowałem. Było mi już wtedy wszystko jedno.

Zupełnie przypadkowo spotkałem w tym czasie w Białymstoku swego kolegę z Bargłowa, Mietka Chmielewskiego. Uczyliśmy się razem przed wojną w tej samej klasie, mieliśmy tego samego wspaniałego nauczyciela, pana Samotychę. Przed wojną skończyliśmy dwie klasy, podczas okupacji sowieckiej dwie następne, a potem nasze drogi rozeszły się. Teraz spotkaliśmy się tutaj w Białymstoku. On pobierał nauki rolnicze /uczył się w jakimś technikum wieczorowym czy zaocznym/, mieszkał u swego kuzyna, który nazywał się Nejfild /przy ul. Zaścianańskiej/. Spotykałem się z Mietkiem tam, spędziliśmy razem kilka niedziel, były długie rozmowy o "starych, dobrych czasach", była wódka, która sprzyjała wspomnieniom. Pamiętam wspaniałą kapuśniak, który tam się jadało. Taki kapuśniak gotowała tylko moja Mama.

Wakacje minęły szybko. W uczelni nie było w jakiś jednoznaczny sposób ustalonych terminów zaliczeń i egzaminów. Była dość duża grupa ludzi, którzy uważali siebie za studentów, ale na takie "szczegóły", jak zaliczenia i egzaminy nie zwracali uwagi. Ja należałem do innej grupy studentów, tych, którzy wiedzieli "po co tutaj przyszli". Zadbalem o to, ażeby zaliczenia i egzaminy z pierwszego roku załatwić przed wakacjami lub zaraz po ich zakończeniu. Spośród jedenastu egzaminów, które obowiązywały po pierwszym roku, po wakacjach zdawałem następujące: matematyka II - 9.10.51 r. /do tego egzaminu przygotowywałem się i zdawałem go razem z Wackiem Czembrowskim/, fizyka II - 27.10.51 r., chemia - 8.11.51 r. oraz wytrzymałość materiałów I - 15.11.51 r.

Na szczególną uwagę zasługuje chemia, która wywoływała mi przykre skojarzenia związane ze wspomnieniami z Augustowa. W liceum przedmiot ten prowadził Jaworski i dokumentnie mi go obrzydził. Tutaj chemię wykładał mgr inż. Zygmunt Skrobecki, ~~robił~~ robił to dobrze, mówił o zagadnieniach, które zna i "czuje". Skojarzenia jednak z Jaworskim napały mnie niepokojem, podświadomie obawiałem się egzaminu z tego przedmiotu. Rzeczywistość jednak była inna. ~~W tym~~ W tym czasie, kiedy mieliśmy zdawać egzamin, pan Skrobecki został aresztowany. Były to czasy, kiedy nawet za przejście "drwiącym krokiem" przed portretem towarzysza Stalina można było zarobić parę lat. Egzamin z chemii przeprowadziła w zastępstwie pani Ostaszewicz. Zdałem na czwórkę, nie było chyba aż tak źle z moimi wiadomościami z tego przedmiotu.

Wytrzymałość materiałów to ostatni egzamin i jedyna trójka /trzy plus/ z pierwszego roku studiów.

Byłem już pełnoprawnym studentem trzeciego semestru. Doszły nowe przedmioty i nowi wykładowcy. W dalszym ciągu mieliśmy do czynienia na matematyce z panem Nieczyporowiczem i na mechanice z panem Poniatowskim. Z dawnych wykładowców pozostał pan Białkowski, który tym razem wystąpił jako specjalista od części maszyn. Dalszy ciąg wykładów z wytrzymałości materiałów prowadził mgr inż. A. Jabłokow, w jego wykonaniu przedmiot ten wszedł na wyższy poziom. Doszedł nowy zawodowy przedmiot, tj. nauka o skrawaniu, którą prowadził inż. Sergiusz Nikitin. Był to przystojny, trochę azjatycki typ w średnim wieku. Znał doskonale język rosyjski i jego wykłady polegały na bezpośrednim tłumaczeniu na bieżąco rosyjskich podręczników. Kupa empirycznych wzorów, współczynniki zależności nie dające się wyprowadzić wprost matematycznie - wszystko to na początku wyglądało trochę magicznie.

Prowadzony w dalszym ciągu język rosyjski przejął pan Grzegorz Onacik. Dodatkowo doszły dwa przedmioty, które można chyba określić mianem politycznych: zasady marksizmu i ekonomia polityczna.

Pierwszy z nich prowadził pan, a właściwie towarzysz H. Sitek. Był to mężczyzna niskiego wzrostu i bardzo "wygadany". Mówił o Marksie i innych, a przede wszystkim o Stalinie. Robił to z takim zaangażowaniem i przekonaniem, że odnosiło się wrażenie, iż święcie wierzy w to co mówi i pragnie pozyskać słuchaczy dla głoszonych przez siebie idei. Drugi przedmiot prowadził pan Henryk Smaczny, dyrektor Dyrekcji Okręgowej Szkolnictwa Zawodowego /DOSZ/ w Białymstoku. Odnosiło się wrażenie, że nie jest on typowym propagandystą jak Sitek.

Późną jesienią przeżyłem niecodzienną przygodę. Wracając właśnie późnym wieczorem do domu w sobotę. Byłem zmęczony i cieszyłem się, że jutro, w niedzielę, nie muszę iść do pracy i będę mógł wyspać się do syta. Z tą myślą, że już za chwilę znajdę się w łóżku, gwoździem, który zawsze nosiłem w kieszeni, odsunąłem zasuwkę. Otworzyłem drzwi do sieni i nagle:

- Ręce do góry! - usłyszałem rozkaz wypowiedziany stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu głosem. Jednocześnie poczułem na piersiach ucisk, który wywierał jakiś twardy przedmiot. Byłem absolutnie zaskoczony i zdezorjentowany. Nie pojmowałem, co się dzieje. Nie wiem, kiedy wykonałem rozkaz - ręce miałem wysoko zadarte do góry. Po nie wiem jak długo trwającym czasie, ten sam męski, energiczny głos zapytał:

- Kto ty jesteś i co tu robisz? -

Wymieniłem swoje nazwisko i powiedziałem, że tutaj właśnie mieszkam.

Głos, którego właścicielem okazał się milicjant, kazał mi wejść do środka. Jednocześnie ustąpił ucisk na piersi, który jak się okazało był wywierany automatem, a światło świecącej mi w oczy latarki elektrycznej oświetliło drzwi wejściowe do mieszkania. Wszedłem do przedpokoju, a następnie do kuchni. Zapaliłem światło, wylegitymowałem się. Milicjant długo przyglądał się mojej studenckiej legitymacji, porównywał zdjęcie z moją twarzą, wreszcie powiedział:

- Idź do swego pokoju i nie wychodź! -

Za chwilę byłem w łóżku. Zastanawiałem się, co to wszystko znaczy, o co tu chodzi.

Nie mogłem zasnąć. Długo leżałem, gdy w pewnym momencie dotarły do mnie jakieś podejrzane odgłosy pochodzące z sieni. Ku swemu przerażeniu usłyszałem tam właśnie głos mojego Ojca:

- Jezus, Maria, co się dzieje? - pomyślałem.

Po krótkiej chwili w moim pokoju zjawił się Ojciec. Powitanie było krótkie, wręcz służbowe. Przerażona gospodyni, która też się zjawiła, zaproponowała Ojcu spanie na tapczanie w swoim pierwszym pokoju. Obecny przy tym milicjant zdecydował:

- Dobra, tylko prędko i spokojnie -.

Dopiero rano sprawa się wyjaśniła. Milicjanci zorganizowali obławę na młodzieńca z jednego z sąsiednich domów. Młodzieniec ten, ścigany przez władzę ludową, od pewnego czasu ukrywał się. Przebywał, jak gospodyni później mówiła - gdzieś na Ziemiach Odzyskanych. Teraz milicja uzyskała informację, że młodzieniec ów jest na terenie Białegostoku i odwiedza sąsiadów omijając swój dom, czyli porozumiewa się z rodziną poprzez sąsiadów. Stąd właśnie ta zasadzka w naszym domu.

W pokoju gospodyni, gdzie na tapczanie spał mój Ociec, przy stole na czatach siedzieli dwaj milicjanci. Trzeci, ten, który mnie wystraszył, warował w sieni.

Nad ranem milicjanci zwinęli zasadzkę i wyszli. Zaraz potem w mieszkaniu zjawił się poszukiwany młodzieniec. Opowiadał mi to później Ociec. Gospodyni błagała go, żeby sobie poszedł.

Rano, kiedy z Ojcem organizowaliśmy sobie w moim pokoju śniadanie, nagle usłyszeliśmy na ulicy strzały z pistoletu. Wyjrzałem przez okno. Na ulicy kilku milicjantów obezwładniało niewysokiego młodzieńca, zakładając mu jednocześnie kajdanki. Jeden milicjant chował pistolet do kabury. To był chyba ten, który strzelał dla dodania "władzy" animuszu, albo aby przestraszyć zatrzymywanego. Zatrzymany młodzieniec był w samej tylko marynarce i bez czapki. Oderwana od marynarki kłapa żałośnie zwisała.

Za chwilę zatrzymany w asyście milicjantów, został odprowadzony ulicą Słonimską, w kierunku centrum miasta, a na ul. Dobrej znowu zapanował spokój.

Nigdy nie dowiedziałem się nawet, jak się ten młodzieniec nazywał i co się potem z nim stało, czy rzeczywiście miał jakieś powiązania z podziemiem czy było to tylko oskarżenie z rzędu "polowania na czarownice", jakich w owym czasie było bardzo dużo.

X. KROMOŁOWSKA

Wieczorowa Szkoła Inżynierska pracowała tylko wieczorem - wszyscy studenci byli zatrudnieni w zakładach pracy. Nauczyciele to też pracownicy różnych przedsiębiorstw przemysłowych, zatrudnieni tam na różnych etatach. Po pracy zakładali czyste koszule i dla rozrywki, a może przede wszystkim dla dorobienia "grosza" przeistaczali się częściej z lepszym lub rzadziej z gorszym efektem w nauczycieli akademickich. Na pełnych etatach pracowało w szkole tylko kilka osób z administracji. Nic więc dziwnego, że w życiu miasta trudno było szkołę zauważyć.

W pierwszomajowym pochodzie 1951 roku braliśmy udział jako zwarta kolumna. Obok działającej już od 1950 roku Akademii Medycznej - reklamowano nas jako dwie istniejące w Białymstoku wyższe uczelnie. W pochodzie tym siedłem w kolumnie Akademickiego Związku Sportowego - grupę tę tworzyli studenci obu uczelni, którzy szli ubrani w stroje sportowe. Niosełem wtedy, wspólnie z kimś z Akademii Medycznej, ogromny transparent z jakimś propagandowym napisem. Był wiatr, potem przez wiele dni bolały mi ramiona, a szczególnie obojczyki.

Chcieliśmy być zauważani w mieście, w tym też kierunku szła nasza działalność w ZSP. Doszliśmy do wniosku, że musimy mieć swoją pieczętkę i to koniecznie okrągłą. Mnie, jako sekretarzowi KUZSP powierzono wykonanie takiej pieczętki. Zakłady wykonujące pieczętki musiały mieć zgodę Urzędu Bezpieczeństwa. Szturmowałem więc kilkakrotnie tę ponurą instytucję przy ulicy Mickiewicza 5, nigdy jednak nie udało mi się wejść dalej niż do biura przepustek, które mieściło się w małym budynku po drugiej stronie ulicy Świętojańskiej, róg Mickiewicza. Nikt nie chciał ze mną w takiej byle jakiej sprawie rozmawiać. Ostatecznie pieczętkę wykonano nam bez zezwolenia, ludzie wtedy byli bardzo ostrożni, tak na wszelki wypadek woleli zabezpieczyć się.

— Dla propagowania naszej Wieczorowej Uczelni postanowiliśmy wy-

korzystać między innymi lokalną prasę. Co pewien czas wysyłałem jakieś związane z naszą szkołą teksty do redakcji wychodzących w Białymstoku gazet. W redakcjach teksty te upolityczniano /takie to były czasy, obowiązywała swoista retoryka/ i przeważnie drukowano. Dzisiaj, po prawie czterdziestu latach, zachowały się tylko strzępy tamtych "dziennikarskich" poczyniń. Oto niektóre z nich:

W "Życiu Białostockim" Nr 176 /2394/ z dnia 27 czerwca 1951 r. ukazał się sygnowany moim nazwiskiem tekst zatytułowany: "Młode kadry naszego przemysłu . Już w 1953 r. pierwsi inżynierowie opuszczą Szkołę Inżynierską". W moich "szpargałach" z tamtego okresu zachował się rękopis tego tekstu. Oryginał z gazety w niektórych miejscach odbiegał od rękopisu - to jest właśnie ewidentny efekt "dolewania socjalizmu" do mego tekstu.

W "Gazecie Białostockiej" Nr 78 z dnia 30 listopada 1951 r. /był to pierwszy rok wychodzenia tej gazety/ ukazał się też sygnowany przeze mnie tekst zatytułowany: "racjonalizator - Stefan Czajka słuchaczem WSI w Białymstoku". Stefan Czajka WSI nigdy nie ukończył i nie został inżynierem, ale reklama Uczelni była.

Na początku lutego 1952 roku poinformowano nas, że w najbliższą niedzielę pojedziemy w teren, aby włączyć się do dyskusji nad opracowywaną właśnie konstytucją. Jesteśmy wdzięczni Polsce Ludowej, że nam, klasie robotniczej, zapewnia studia i umożliwia w ten sposób awans społeczny. Nie może więc zabraknąć naszego udziału w dyskusji nad opracowaniem konstytucji. Odczytano listę osób, które pojedą, jednocześnie podając do wiadomości, że w sobotę odbędzie się odprawa wyjeżdżających. Całą tę akcję organizował zarząd wojewódzki ZMP.

W sobotę jakiś wygadany aktywista długo wyjaśniał nam, obowiązującym wówczas językiem pełnym frazesów nic właściwie nie znaczących co to jest konstytucja w ogóle, a stalinowska w szczególności. Wyjaśniał też, w jakim celu jedziemy "w teren" i jak mamy się tam zachować. Mało z tego wszystkiego do mnie dotarło , bo przede wszystkim nie były to wiadomości techniczne, na które mój umysł był nastawiony, a ponadto język, którym tam operowano był dla mnie jakiś absolutnie obcy. Na zakończenie wręczono nam tzw. "materiały", które obejmowały kilkanaście stron gęsto napisanych na maszynie. Miały one posłużyć do przygotowania wystąpienia na zebraniu, które w "terenie" każdy z nas miał "obsłużyć".

W niedzielę rano załadowano nas do samochodu ciężarowego przykrytego plandeką i powieszono "w teren". Dzień był mroźny, padał śnieg, a wiejący wiatr tworzył zaspę. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Po drodze wiele razy musieliśmy samochód wypychać z zasp.

Jechaliśmy szosą przez Knyszyn do Koryciana, gdzie nam oznajmiono, że część z nas zostanie tutaj, reszta pojedzie dalej. W Knyszynie zostały wszystkie nasze dziewczyny i ci, którzy źle znosili taki sposób podróżowania. Ja pozostałem w grupie jadących dalej. Po drodze uświadomiłem sobie z przerażeniem, że jedziemy w kierunku Augustowa. Jeżeli Augustów będzie celem naszej podróży, tam może dojść do co najmniej niepożądanych dla mnie spotkań.

Wreszcie samochód zatrzymał się w Suchowoli przed kościołem. Kazano nam wysiadać. Spostrzegłem wiele zaprzęgów konnych, które, jak zaraz się okazało, czekały na nas. Miały one iść rozwieść do okolicznych wsi na zebrania.

Przydzielono nam wsie, w których mieliśmy "obsłużyć" zebrania. Mnie przypadła wieś Podostrówek. Odnalazłem gospodarza z tej wsi. Małe sanki, zaprzęgnięte w jednego konia, na których siedzenie tworzył położony w poprzek sanek snop słomy. Na środku tego siedzenia siedział chłop okutany w dużą, grubą burkę, w potężnej baranicy na głowie i w grubych, skórzanych rękawicach. Grzecznie powiedziałem "dzień dobry". Chłop, wyraźnie z pogardą, długą chwilę patrzył na mnie, wreszcie powiedział:

- To siadaj pan -

Nie ~~wiedziałem~~ bardzo wiedziałem, gdzie mam siadać. Przycupnąłem nieśmiało na snopku obok chłopca, który nawet na milimetr nie przesunął się.

Jechaliśmy w stronę Augustowa. Zaraz za miasteczkiem chłop skręcił w lewo, przejechaliśmy mały lasek, a następnie droga prowadziła przez otwartą przestrzeń. Wiatr wiał i niósł śnieg, który wpadał mi za kołnierz. Uszy marzły. Obstawiałem kołnierz swojej jesionki, podciągałem go do góry, chcąc zakryć nim marznące uszy. Było mi naprawdę zimno i prosiłem Boga, żeby prędzej dotrzeć do tego Podostrówka. Chłop tymczasem nie ~~wykrywał~~ zauważał mnie w ogóle. Był dobrze ubrany i było mu ciepło. Myślał pewnie sobie: "Niech tam ten wojewódzki naganiec marznie, dobrze mu tak. Następnym razem nie będzie chciał się w taką podróż wybrać!"

Wjechaliśmy wreszcie do dosyć gęsto zabudowanej wsi. Przy jednej chacie chłop zatrzymał się i powiedział:

- Tu mieszka sołtys -

Dom stał szczytem do ulicy. Wszedłem do obszernej sieni, w której

spotkał mnie sołtys, poinformowany już wcześniej o moim przyjeździe. Zaprosił mnie do kuchni, kazał siadać na ławie stojącej niedaleko wejściowych drzwi. Było ciepło. Sołtys poinformował mnie, że zebranie odbędzie się, jak ludzie wrócą z kościoła. Nieproszony zdjąłem jesionkę i położyłem obok na ławie.

Tymczasem rodzina sołtysa zasiadła do obiadu. Na stole, stojącym pod oknem obszernej, wiejskiej kuchni znalazła się duża miska ugotowanych "na sucho" kartofli i kilka talerzy kapusty. Potem na stole znalazła się duża miska wieprzowego mięsa. Domownicy jedli i rozmawiali o jakichś swoich bieżących sprawach.

Ja cały czas byłem traktowany jak powietrze, po prostu nikt mnie nie zauważał. Byłem głodny. Zapach ziemaków, kapusty i mięsa doprowadzał mnie wprost do szału. Wiedziałem, że jestem tutaj traktowany jak nieproszony gość, ale żyby tak... Ludzie nienawidzili tej obcej władzy, chociaż byli przez nią zniewoleni.

Wreszcie sołtys powiedział, że już przyszła pora na zebranie. Zebranie odbędzie się w jednym z domów położonych na końcu wsi, w którym jest duża izba. Ubrałem się. Sołtys wyszedł pierwszy. Kiedy wyszedłem z sieni zauważyłem, jak przy drzwiach wejściowych sołtys stał i siusiał. Nie zastanawiając się długo stałem obok i zacząłem robić to samo - właśnie czułem taką potrzebę. Sołtys swoim przykładem pozwolił uniknąć mi dopytywania o miejsce, gdzie to można zrobić. Ulicą szli ludzie na zebranie. Sołtysowi to nie przeszkadzało, a za jego przykładem ^{myśle} też. Zauważyłem, że nikt na nas nie zwracał uwagi.

Izba, w której odbywało się zebranie była obszerna i pełna siedzących na ustawionych tam ławkach ludzi. Panował półmrok, - każdy chyba z obecnych, a byli to sami mężczyźni, smik papierosa puszczając w powietrze tumany dymu. W jednym końcu izby stał drewniany, niczym nie nakryty stół. To było miejsce przeznaczone dla mnie.

Zapowiedziany przez sołtysa zasiadłem za stołem i odczytałem z "materiałów", które przywiozłem z Białegostoku kilka uprzednio wybranych akapitów. Potem, zgodnie z programem zebrania, była dyskusja. Ktoś wstał i zapytał, kiedy można będzie kupić bez kolejki i w ogóle kupić różne rzeczy, takie jak cukier, lemieszce, obręcze na koła itd. Powiedziałem, że skrzętnie to wszystko odnotuję i przekażę w województwie. Patrzone na mnie, jak na wariata.

W materiałach, które odczytałem była pochwała kolektywizacji. Był podany przekład jakiegoś, nazwanego z imienia i nazwiska, członka spółdzielni produkcyjnej z woj. poznańskiego, który w ciągu roku wykonał ponad pięćset dniówek obrachunkowych i jaki on ^{ty} zarobił. Ktoś mnie zapytał, jak ten poznański chłop mógł wypracować pięćset dniówek, kiedy Pan Bóg wyznaczył tylko 365 dni w roku. Zastrzegłem się, że na rolnictwie się nie znam, ale myślę, że jeśli chłop miał w ciągu

j

jednego dnia skosić pół hektara zboża, a skosił cały hektar, to zaliczył sobie w ciągu jednego dnia dwie dniówki. Wtedy ktoś z sali powiedział:

- A kiedy on miał czas w kolejce po cukier stojeć?! -
Wywołało to ogólny śmiech na sali.

Zebranie zakończyło się, a przed chałupą, w której się ono odbywało czekały już sanki, które miały mnie odwieźć z powrotem do Suchowoli. Tym razem był to już inny chłop. Był bardziej rozmowny, a na snopku, na którym siedzieliśmy, miałem więcej miejsca. Byłem traktowany jako równorzędny z woźnicą pasażer.

Do Suchowoli wróciłem pierwszy. Byłem niemiłosiernie głodny i okrutnie zziębnięty. Zaraz po mnie, jako drugi, wrócił ze "swojej" wsi Władzio Rutkowski. Skierowaliśmy się natychmiast ku gospodzie, dobrze mi skąd inąd znanej z podróży PKS-em na trasie Białystok-Augustów z nadzieją, że ogrzejemy się i coś zjemy.

Niestety! W gospodzie było zimno jak w psiarni. Po prostu nie było czym napalić w piecu. A do zjedzenia? Owszem, zmarznięta na kość kiełbasa i taki sam chleb. W Suchowoli nie było gdzie się pogrzać. Jak nas poinformowano, "nie dowieziono węgla". Zimny był komitet gromadzki partii, zresztą nikogo tam nie było. Zimno było na posterunku milicji. Chyba na plebanii pogrzejemy się - żartowaliśmy, ale takich jak my ksiądz każe psami poszczuć.

Co było robić? Zamówiliśmy po dużej wódce oraz po kawale zmarzniętej kiełbasy i takiegoż chleba. Wódka złagodziła nasze wymagania, zrobiło się trochę cieplej. Nawet ubrana w kozuch z naciągniętym na nim ~~białym~~ białym fartuchem i okutana szalem barmanka wydała się nam jakaś młodsza i przystojniejsza. Proponowaliśmy jej pojazd z nami do Białegostoku.

Powoli ściągnęli do Suchowoli wszyscy koledzy. Zajęliśmy miejsce w naszej ciężarówce. Pojechaliśmy najpierw do Korycina, gdzie nasze dziewczyny już na nas czekały, a potem do Białegostoku. W drodze powrotnej zawiei nie było. Drogi były "przetarte" i samochodu z zasp nie trzeba było wypychać. Wieczorem byłem w domu. Było ciepło i mogłem najeść się do syta.

W szkole tymczasem, jeszcze w czasie trwania semestru trzeciego gruchnęła wiadomość, że Uczelnię będzie przejmowało Ministerstwo. Szkolnictwa Wyższego. Przystanie więc WSI być prywatną szkołą NOT, będzie normalną, państwową wyższą uczelnią. Zapowiedziano w związku z tym weryfikację studentów. Uprzedzono nas, że kto będzie miał duże zaległości, będzie skreślony z listy studentów. Władze szkolne zaczęły intensywnie popędzać opieszłych studentów do zaliczania przedmiotów i zdawania zaległych egzaminów z pierwszego roku. Określono termin,

do którego wszystkie zaległości powinny być zlikwidowane. Potym terminie przyjedzie z ministerstwa komisja i wszystkich rozliczy.

Studentów, szczególnie tych opieszających, ogarnęła gorączka. Studenci, którzy mieli duże zaległości zapowiadali, że pewnie sami zrezygnują ~~z studiów~~ z dalszych studiów, ażeby uniknąć wyrzucenia ze szkoły.

W Uczelni były wtedy cztery grupy studentów., tj. po dwie mechaników i elektryków. Myśmy stanowili grupę młodszą, która w październiku 1950 roku rozpoczęła normalny rok akademicki. Były też grupy o semestr od nas starsze, które rok akademicki rozpoczęły wraz z inauguracją szkoły, tj. w lutym 1950 r. We wszystkich grupach byli studenci, którzy byli z zaliczeniami i egzaminami na bieżąco. Dostyc dużą grupę stanowili jednak studenci, którzy mieli duże zaległości, jak też byli i tacy, którzy mieli ~~dużo~~ dosłownie czyste indeksy. Do tej ostatniej grupy należeli wielcy "działacze", którym tak się pomieszało w głowach, że myśleli, iż są "świętymi krowami", których nie obowiązują rygory studiów. Działalność polityczna, stanie na straży socjalizmu, realizacja linii partii i miłość do Związku Radzieckiego na czele z genialnym towarzyszem Stalinem wystarczają, aby być studentem i ukończyć studia. Byli zajęci pryncypiami, a takie drobiazgi jak indeks i konieczność dokonywania tam wpisów i to w jakichś określonych terminach, po prostu uszły ich uwadze.

Zarządzono ogólne zebranie studentów, na którym miał przemawiać sam rektor. Wiedzieliśmy o tym, że pan Białkowski wielkim mówcą nie jest. "Jak Polska Ludowa wybuchła, to w Białymstoku powstała Wieczorowa Szkoła Inżynierska" - powiedział kiedyś w Komitecie wojewódzkim przemawiając przy jakiejś okazji. Myśleliśmy jednak, że rektor powie coś konkretnego na temat przejęcia szkoły przez ministerstwo, komisji, która tutaj ma działać i wyjaśni szereg naszych wątpliwości. Miało to być pierwsze ogólne zebranie studentów.

Czekaliśmy dosyć długo stłoczeni w niewielkiej sali. Wreszcie wszedł rektor. Zaległa cisza. Rektor długą chwilę nic nie mówił, jakby chciał tym milczeniem wprowadzić w nastrój i wreszcie powiedział:

- Ja słyszałem, że są tacy, którzy chcą zrezygnować. Mówię wam, że wielkie głupstwo robią. Niech tego nie robią ^{Boydan}
Po tych słowach rektor wyszedł. Po chwili zabrał głos ~~pan~~ Jeżykowski i zobowiązał się publicznie, że on na przestrzeni najbliższego tygodnia zda kilka /nie pamiętam liczby/ egzaminów. Apelowal, żeby nie załamywać się, przysiąc fałdów i zdać zaległe egzaminy. Zanim przyjedzie ministerialna komisja mamy jeszcze przed sobą cały tydzień, a to szmat czasu i wiele można zrobić.

Wreszcie w szkole pojawiło się kilka osób z ministerstwa. Grupie przewodziła pani w wieku balzakowskim, która nazywała się Kromołowska. Pamiętam też pana w średnim wieku, o więcej niż średnim wzroście, pucołowatej, okrągłej twarzy. Na głowie miał dosyć gęste, falujące się blond włosy. W pierwszych dniach ludzie ci poza rektorat nie wychodzili. Wreszcie pani Kromołowska zarządziła zebranie kierownictw działających na terenie szkoły organizacji, tj. partii, ZMP i ZSP.

Zgromadziliśmy się wszyscy w sali, do której przyszła Kromołowska w towarzystwie rektora. Miała ze sobą listę studentów z wyszczególnionymi wszystkimi brakami zaliczeń i egzaminów. Chciała zapoznać się z nami wszystkimi bezpośrednio. Zaczęła od sekretarzy partii /I i II/, którymi byli Tolek Wojszkowicz i Arkaszka Antonowicz, obaj ze starszej grupy mechanicznej. Decyzja Kromołowskiej była szybka i jednoznaczna. Obu cofnąć o semestr. Następnie na tapetę wszedł Bogdan Jeżykowski, jako szef ZMP. Kromołowska znalazła jego nazwisko na liście, analizowała przez chwilę jego "konto", wreszcie podniosła gniewny wzrok i krzyknęła:

- Co?! Nie ma nic?! Co on tu jeszcze robi? Skreślić!! Skreślić!!-

Decyzja była nie podlegająca dyskusji i ostateczna. Kątem oka spojrzałem na Jeżykowskiego. Przecież jeszcze przed tygodniem zobowiązał się, że ileś tam egzaminów zda. Ico? Na co ten głupek liczył? Na jego bezmyślnej twarzy malował się głupawy uśmiech, tak jak by nie dotyczyło jego to, co się dzieje, tak jak by był on bohaterem jakiegoś przyjemnego dla niego wydarzenia.

Następny poszedł na tapetę przewodniczący ZSP, Edzio Falkowski. Jego sytuacja była identyczna jak Jeżykowskiego i decyzja Kromołowskiej też taka sama: wyrzucić! Potem po kolei byli analizowani pozostali obecni na zebraniu członkowie zarządów organizacji. Sensacji już nie było. Najlepiej wypadliśmy obaj ze Stasiem Ziemińskim, który też pełnił funkcję w KU ZSP. Nie mieliśmy w ogóle żadnych zaległości. Kromołowska wymieniła nas obu jako tych, którzy rzeczywiście zasługują na to, żeby występować w imieniu młodzieży i działać w organizacjach młodzieżowych.

W wyniku zadziałań Kromołowskiej została ostatecznie ustalona lista studentów, którzy już, poza małymi wyjątkami, dobrnęli do dyplomu. Karne cofnięcia kolegów ze starszych grup okazały się po czasie nie być żadną karą. Starsze grupy, ponieważ były bardzo nieliczne, w międzyczasie czekały na nas i wspólnie dobrnęliśmy do egzaminu dyplomowego.

Nazwisko Kromołowska będę pamiętał do śmierci. Jest ono dla mnie symbolem doprowadzania do porządku zabagnionych spraw.

Szkoła powoli przybierała kształt wyższej uczelni. Na zakończenie niejako działalności pani Kromołowskiej zostały ustanowione dzieka-

naty i powołani dziekani. Naszym dziekanem został wspomniany już poprzednio, wówczas młody inżynier, Marian Poniatowski. Dziekanem Wydziału Elektrycznego został inżynier Sylwester Rode. Kierownictwo naszego dziekanatu objęła pani Irena Pawluczyk, która sprawowała tę funkcję przez wiele lat. W naszym dziekanacie pracowała też przez pewien czas pani Godyńska.

Wpis na semestr czwarty w moim indeksie dokonano 16. lutego 1952r. i pod tą decyzją podpisał się pan Poniatowski, jako dziekan Wydziału Mechanicznego.

Semestr czwarty zacząłem więc bez żadnych zaległości, byłem "na czysto". Matematykę, mechanikę techniczną i wytrzymałość materiałów miałem już za sobą. Nie wiedziałem wtedy, że po kilkunastu latach wrócę znowu do tych przedmiotów. Tymczasem na semestrze czwartym przybyły nowe przedmioty. Z dotychczasowych nauczycieli pan Poniatowski prowadził spawalnictwo i pomiary warsztatowe, pan Nikitin odlewnictwo, pan Onacik język rosyjski i pan Smaczny ekonomię. Doszli nowi: mgr inż. Jan Zubaczek z dwoma przedmiotami, tj. metaloznawstwem i częściami maszyn oraz mgr inż. Marian Firek z obrabiarkami do metali. Z tymi dwoma panami moje zawodowe /i nie tylko/ losy, w różnych okresach mojego życia, miały w jakiś sposób związać się.

Układ przedmiotów wyraźnie świadczył o tym, że skończyliśmy z teoretycznym przygotowaniem nie związanym z zawodem, a przeszliśmy do przedmiotów ściśle związanych ze specjalnością, do której byliśmy przygotowywani. Wszyscy nasi nauczyciele rekrutowali się z miejscowych białostockich przedsiębiorstw. Jedynie Firek stanowił wyjątek. Pochodził on z Białegostoku, ostatnie lata spędził jednak w Gdańsku, gdzie studiował na Politechnice. Pracował tam też jako asystent u profesora Geislera. Przyjechał teraz właśnie do Białegostoku z żoną i dwiema córkami. Zamieszkał w domu teściowej przy ul. Sadowej. Opowiadał nam, jak to przed wyjazdem do Białegostoku profesor Geisler życzył mu tutaj sukcesów w kształceniu młodych kadr i czuje się on jako swego rodzaju wysłannik profesora.

Na Dobrej tymczasem mieszało się dobrze. Zawsze rano, o szóstej gospodarz budził mnie do pracy. Zawsze późnym wieczorem wracałem do domu otwierając gwoździem w tajemny sposób drzwi do sieni. Z gospodarzami, a szczególnie Marysią, kontaktowałem się tylko w niedzielę, kiedy nie szło się do pracy i można było dłużej pospać. Czasem tylko jakieś wydarzenie przerywało na krótko monotonię mojego pobytu na ul. Dobrej.

Rzadko co prawda, bo czas mi na to nie pozwalał, bywałem w domu w Bargłowie. Jeździłem przeważnie pociągiem do Grajewa, a stamtąd autobusem do Bargłowa. Drogę powrotną odbywałem w ten sam sposób, tylko

odwrotnie. W Grajewie były trudności z dostaniem się do, przeważnie przepełnionego, autobusu i nierzadko trzeba było szukać różnych okazji w celu dojechania do domu.

W naszym domu w Bargłowie jeden pokój zajmowali w tym czasie pan Jan Korzeniecki ze swoją staruszką matką, Franciszką. W czasie swoich rzadkich pobytów w domu lubiłem porozmawiać z dwiema staruszkami, tj. moją babką i panią Franciszką. Niemówiąc o babce, bo to było oczywiste, ale i pani Franciszka lubiła mnie i rozmowy ze mną. W krótkim czasie po moim kolejnym pobycie w domu Rodzice powiadomili mnie, że pani Franciszka zmarła i pochowano ją na cmentarzu w Bargłowie. Lubiłem tę kobietę, chętnie słuchałem jej prostych, trochę mazurskim językiem wygłaszanych opowiadań o starych czasach, o tym, jak to było za cara, jaka wtedy była młodzież, jak się bawiła i jak w ogóle żyła. Opowiadania pani Franciszki uzupełniały w jakimś sensie opowieści o tamtych młodych, dobrych latach mojej babki, która chętnie do tamtych lat wracała wspomnieniami. Śmierć pani Franciszki przeżyłem.

I oto rzecz dzieje się w kilka dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci pani Franciszki. Jak zwykle przyszedłem późno wieczorem do domu. Na bezchmurne niebo wtoczył się jasno świecący księżyc w pełni. Położyłem się do łóżka i szybko zasnąłem.

W pewnym momencie wydawało mi się, że się obudziłem. W pokoju było jasno. Przez okno wlewało się światło księżyca. Obserwowałem przytomnie, jak wpadające przez okno promienie księżyca kładą się jasną plamą na biurko stojące pod oknem, komodę stojącą przy przeciwległej ścianie pokoju oraz na podłogę. Nagle usłyszałem skrzypnięcie drzwi prowadzących z kuchni do mego pokoju - drzwi te rzeczywiście skrzypiały przy ich otwieraniu. Uniosłem głowę i zamarłem. Ciarki przeszły po całym moim ciele, szczególnie bolesne ukłucia poczułem na twarzy. W otwartych drzwiach stała galaretowata, mglista postać w ogólnym zarysie przypominająca człowieka. Czułem się barszo nieswojo. Po krótkiej chwili usłyszałem od strony tej postaci bardzo wyraźny głos nieboszczki, pani Franciszki:

-- Dzień dobry wam wszystkim! --

Uczucie strachu narastało. Na domiar złego postać z drzwi, chwiejąc się, zaczęła zbliżać się w moim kierunku. Strach przerodził się w przerażenie. Głowę miałem cały czas uniesioną. Włosy zjeżyły mi się, czułem każdy z nich. Miałem wrażenie, że zamiast włosów mam powtykane w czaszkę grube szpilki, które boleśnie ranią mi głowę. Cały byłem jak gdyby sparaliżowany, nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Wreszcie tajemnicza postać zbliżyła się do łóżka. Część jej, w kształcie ręki oddzieliła się i zaczęła mnie obejmować. Nigdy przedtem, ani nigdy potem nie byłem tak okropnie przerażony. Nadludzkiem wysiłkiem wydałem z siebie jakiś niearty-

kułowany ryk. Rycząc obudziłem się.

Siedziałem na łóżku ze zjeżonymi i strasznie kłującymi w głowę włosami. W pokoju rzeczywiście było bardzo jasno. Promienie księżyca kładły się na biurko, komodę i podłogę. Drzwi do kuchni były zamknięte, w pokoju nie było nikogo. Przygłodziłem włosy, które cały czas nie zmieniały pozycji "na baczność". Położyłem się i wlałem głęboko pod kołdrę. Długo leżałem i nie wiem kiedy zasnąłem. Obudził mnie jak zwykle gospodarz:

- Panie Tadeusz, już szósta -

Jak nigdy zatrzymał się dłuższą chwilę nad moim łóżkiem, wreszcie zapytał:

- A co tak pan Tadeusz dzisiaj w nocy ^{tak} mocno krzyczał? -

- Pewnie coś niedobrego mi się śniło - odpowiedziałem.

Innym razem z głębokiego snu wyrwał mnie głos mojej gospodyni:

- Czujesz jak mocno wali! - krzyczała.

Szybko doszedłem do przytomności i ku swemu przerażeniu stwierdziłem, że w moim łóżku, obok mnie, leży moja gospodyni w nocnej koszuli, a moja ręka, zniewolona w czasie snu przez moją ~~gospodynię~~ nieproszoną "Łóżkową" lokatorkę, obejmuje jej lewą pierś. Pod obejmowaną przeze mnie pierś naprawdę "waliło" serce. Wydawało się, że wyskoczy na zewnątrz. Nie wiedziałem, co mam robić. Co będzie, jak baba w moim łóżku umrze - pomyślałem. Zaproponowałem, że obudzę ojca. Gospodyni energicznie zaprotestowała. Po chwili szamotania udało mi się wyrwać z objęć Marysi. Stałem bezradnie w piżamie, a na moim łóżku leżała ciężko dysząca gospodyni. Zaproponowałem, że wyjdę do miasta i sprowadzę jakąś pomoc lekarską. Znowu zaprotestowała i kazała podać sobie szklankę wody. Prośbę tę spełniłem skwapliwie. Po pewnym czasie gospodyni stwierdziła:

- Już jest lepiej -.

Powoli wstała i wyszła z mego pokoju. Długo nie mogłem zasnąć.

Semestr czwarty, a tym samym drugi rok studiów zaliczyłem bez żadnych kłopotów. Pierwszy egzamin zdałem z metaloznawstwą 21 maja 1952, ostatni, z części maszyn, 3 lipca. W międzyczasie, w trzech kolejnych dniach, zdałem trzy egzaminy i tak: 17 czerwca - spawalnictwo, 18 - odlewnictwo, a 19 - pomiary warsztatowe. Wszystkie egzaminy zdałem na czwórki. Tylko z ekonomii, którą zdawałem 28 czerwca otrzymałem ⁵ ~~czwórkę~~ ^{trochę}.

Na życzenie rodziców z końcem czerwca zwoleńnikiem się z pracy. Chodziło o to, żeby mieć wakacje i móc sobie dobrze wypocząć po dwóch latach wytężonej pracy. Trzy miesiące, tj. lipiec, sierpień i wrzesień miałem do swojej dyspozycji. Były to ostatnie w moim życiu, tak długie i spędzone bez żadnych konkretnych obowiązków wakacje.

Korzystałem ze swobody, wysypiałem się, trochę jeździłem do Augustowa. Ale to już nie był ten sam Augustów co za moich czasów.

Augustów mnie pociągał. Stare, znane, kochane okolice, tu z każdym niemal drzewem czy kołkiem w płocie wiązało się jakieś wspomnienie. Nie szukałem jednak towarzystwa, wręcz przeciwnie, unikałem większości kolegów, szczególnie tych "zaangażowanych". Pamiętam jakiś wypad kajakiem z Ireną i to wszystko.

Na wakacje, jak w tych latach co roku, przyjechała do nas do Bargłowa ciocia Lodzia *Brymowa* z Mławy. Przyjazd ciotki to były dla *Mamy* dodatkowe obowiązki, ale wraz z jej przyjazdem wchodziło do naszego domu trochę "wielkiego świata". Snuły ~~te~~ się wtedy wspomnienia z tych minionych lat, najpierw jak to ciotka próbowała z powodzeniem swych aktorskich zdolności, a potem już jako żona bogatego kupca bywała w teatrach i teatrzykach warszawskich, jak spędzała wakacje w Ciechocinku, Busku czy Truskawcu, jak bywała i "brylowała" na różnych balach z różnych okazji. A teraz część ich kamienicy w Mławie zajmuje ZMP, mają tam jakiś klub i trudno sobie wyobrazić, jakie tam odbywają się orgie.

Ciotka lubiła, wprost uwielbiała raki. Zawsze podczas pobytu ciotki u nas organizowaliśmy z Ojcem "wyprawy na raki". Wyjeżdżało się wtedy do odległego o kilka kilometrów od Bargłowa Kukowa, gdzie było niewielkie jezioro, w którym żyły raki. W Kukowie, ~~taż~~ nad jeziorem, mieszkali nasi kuzyni Lenczewscy. Wuj Józef, przed wojną wójt w Bargłowie uprawiał tam kilkunastohektarowe gospodarstwo i "wprowadzał" w gospodarskie życie swego najmłodszego syna Tadeusza. Razem była tam też ciotka Wanda, rodzana siostra Józefa. Samotna i w takim stanie pozostała do śmierci.

Łowienie raków zawsze organizowaliśmy obaj z Tadeuszem. Robiło się to wieczorem. Szło się wzdłuż łagodnie schodzącego w głąb brzegu jeziora. Teren oświetlało się płonącymi, w niesionym przed sobą na kiju drucianym "kaserku", drzazgami. Na płytkiej wodzie, na piasku wzdłuż brzegu były raki. Wtedy, wprawnym ruchem, chwytano się raka za grzbiet tak, aby swoimi "szczypcami" nie skaleczył w rękę i wrzucało się go do niesionego w drugiej ręce wiadra. Po przejściu kilkuset metrów w wiadrze można było doliczyć się nawet kopy raków. To były czasy!

Opowiadano, że kiedyś, przed wojną, do Kukowa zaproszono do Lenczewskich jakieś nauczycielskie towarzystwo na raki. Oczywiście wszystko miało zacząć się od połowów, które, wiadomo, trzeba było przeprowadzać wieczorem. Organizatorem całej imprezy była ciotka Wanda. Poinformowała gości, że wieczorem raki wychodzą na rosnące nad brzegiem jeziora leszczyny. Trzeba więc wieczorem pościelić pod leszczyną białe prześcieradło, świecić "kaserkiem" i strząsać drzewem, a raki będą spadały. Tak też zrobiono. Nauczyciele trzęśli leszczynę, ciotka kazała im to robić jeszcze mocniej. Wreszcie podrzuciła na prześcieradło jednego, a potem drugiego raka. Cała sprawa rozeszła się po okolicy, śmiechu było co niemiara. Był też wstyd. Jak to, nauczyciele

nie wiedzą, że raki nie wchodzą na drzewa?!

Złowione raki wiozło się następnie rowerem w torbie z pokrywami do domu, do Bargłowa. Specjalistką od przyrządzania raków i zupy rakowej była moja Mama. Wiem, że potrawa ta wymagała dużo kopru. Moją rzeczą było raki złowić, a potem ze wszystkimi je jeść.

Pobyt ciotki w Bargłowie dobiegł końca, a ja odwoziłem ciotkę do Mławy. Ciotka zaplanowała, że pojedziemy przez Warszawę, gdzie musi odwiedzić swoją serdeczną przyjaciółkę. Pojechaliśmy więc autobusem do Grajewa, potem pociągiem przez Białystok do Warszawy. Mieliśmy wiele godzin czasu od przyjazdu na Dworzec Wileński do pociągu, który odjeżdżał z Dworca Gdańskiego w kierunku Mławy. W tym czasie mieliśmy odnaleźć i odwiedzić ciotki przyjaciółkę.

W poszukiwaniu domu, w którym przyjaciółka mieszkała /adresu ciotka nie pamiętała/, znaleźliśmy się w okolicach wypalonych ruin teatru wielkiego. Dookoła ruiny, a ciotka twierdzi, że tu gdzieś właśnie stoi dom, w którym przyjaciółka mieszka. Zapytałem wreczcie, kiedy ostatnio ciocia tutaj była? Odpowiedź brzmiała:

- No niedawno, tuż przed samą wojną -.

Tymczasem wakacje skończyły się i trzeba było wracać do Białegostoku. Zajęcia na uczelni rozpoczynały się na początku października. Na razie nigdzie nie pracowałem. Byłem wypoczęty, miałem dużo czasu, cieszyłem się, że spotkania z przyjaciółmi z Białegostoku. Zżyliśmy się ze sobą, stęskniłem się do swoich białostockich przyjaciół, spotkanie więc było spontaniczne.

15-go października obchodziliśmy uroczyste imieniny naszej Jądzi. Uchwaliliśmy, że w związku z tym trzeba Dziuni kupić jakiś użyteczny prezent, jakąś potrzebną jej rzecz. Dziewczyna samotna, ciężko jej, więc nie można wyrzucać pieniędzy na byle co. Ustaliliśmy, że dziewczyny zrobią rozeznanie, co Dziuni najbardziej potrzeba i to jej kupią.

Dziewczyny ostatecznie ustaliły, że kupią Dziuni ciepłe majtki. Idzie zima, a ona takiej części garderoby nie ma. Nasz prezent pozwoli jej zaoszczędzić trochę pieniędzy, które będzie mogła przeznaczyć na inne potrzebne zakupy. Złożyliśmy pieniądze, zakupu dokonały nasze dziewczyny. W dzień imienin mieliśmy Dziuni prezent wręczyć. Ja na tę okoliczność napisałem nawet wiersz, który zatytułowałem niezbyt chyba sensownie "Rym do majtek". Zanim jednak go zacytuję muszę wyjaśnić, że pod wpływem słuchanych przez nas, niedozwolonych zresztą, audycji Radia Paryż, gdzie był emitowany cykl audycji lwowskich, Zosię Bukowską nazywaliśmy "Ciotka Badylakowa" lub po prostu "Ciotka", a Władzia Swianiewicza nazywaliśmy "Mincio". Mnie nazywano "Jagoda". Wynikło to stąd, że moje nazwisko przypomina poziomkę, a poziomka, ogólnie rzecz

biorąc, jest jagodą, funkcjonowałem więc w naszym gronie jako "Jagoda".

A oto wierszyk: I

Dzisiaj są naszej Dziuni imieniny.
Co jej kupimy, Zbyszek, do cholery.
Już wiem! Kupimy dla Dziuni reformy
Takie welwetowe czy wełniane z normy

II *w zimę*

By naszej Dziuni było *w* ciepło
Aby jej z zimna krew w żyłach nie skrzepła.
By zbyt wielkiego oporu nie włączała
I ~~by~~ swego piecyka by nie przepalała.

III

Kupić nowe majtki to jest żaden problem
Lecz dla kobiety - ona nosi komplet,
Ale dla mężczyzny nowe majtki sprawić
To większy problem niż się w deskę wprawić

IV

Więc Zbyszek rzecze: "Trza siły fachowej
Co się zna dobrze na sprawie majtkowej.
Tą siłą jest Ciotka". Więc rzekłem: "Nie przeczę
Ona baba z werwą, zna sprawy kobiece".

V

I zapyłamy do sklepu w Pdecie
Z nami cotka, więc raźnie, "nie, Zbyszek?"
"no, przecie".

My stoimy z tyłu i się czerwienimy
A ciotka kupuje, bo dziś imieniny.

VI

Więc kupiliśmy przy pomocy Ciotki
Dla naszej Dziuni ciepłe galotki
I dziś jej wręczamy w tym dniu uroczystym
Zadowoleni i z sumieniem czystym

VII

Noś je nasza Dziuniu i każdego ranka,
Gdy będziesz je wciągać na swoje kolanka,
Wspomnij sobie Ciotkę, Zbyszka i Jagodę
Tych, z którymi spędziłaś swoje lata młode

VIII

Czarną Wronę, Szlachciankę, cō się dumnie nosi
Do porządku nawołuje i o spokój prosi,
Mincia i Kazia ze spółki kamrata,
Wspomnij, gdy przeminą młode szkolne lata.

Białystok, dn. 14.10.52 r.

Jak się wcześniej rzekło, Czarna Wrona to Werka Czerwiecka, Szlachcianka to Irka Miliszewska, no i Kazio Bielski.

IX. UCHWYTY

Wakacje skończyły się, zajęcia na Uczelni rozpoczęły się z początkiem października. Po powrocie do Białegostoku zacząłem rozglądać się za pracą. Mógłbym na razie pracy nie podejmować, ale praca w zawodzie związanym z kierunkiem studiów była warunkiem pozostawania w szkole. Byłem w wielu przedsiębiorstwach. Odwiedziłem między innymi jakieś przedsiębiorstwo budowlane przy ul. Botanicznej, Polskie Koleje Państwowe. Dłużej, bo kilka dni zatrzymałem się w Państwowych Zakładach Zbożowych "PZZ", w tzw. "okrągłaku". Oferowano mi tam stanowisko kierownika inwestycji i to nawet z dosyć dużą pensją. Uważany byłem za specjalistę, bo przecież w Zakładzie Energetycznym pracowałem w Dziale Inwestycji. Dwie były przyczyny tego, że pracy tej nie podjąłem. Szybko ~~zdecydowałem~~ zorientowałem się, że dyrekcja "PZZ" zatrudnia mnie na tym stanowisku i chce, żebym zastąpił człowieka, którego z jakichś powodów chce usunąć, a któremu bardzo zależy na utrzymaniu się w pracy. Ponadto zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam żadnego doświadczenia i nie ~~potrafię~~ potrafię uporać się z trudnościami, jakie trzeba byłoby pokonać na tym stanowisku. Po kilku dniach wycofałem się i zrobiłem bardzo dobrze.

Zdałem sobie sprawę z tego, że rzeczywiście powinienem pracować w przedsiębiorstwie, gdzie mógłbym praktycznie uzupełniać i pogłębiać wiadomości w zawodzie i specjalności, której naukę kontynuowałem w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej - takie było założenie tego rodzaju studiów. Kroki swoje skierowałem do Fabryki Przyrządów i Uchwytów, tak zwanych popularnie "Uchwytów". O protekcję poprosiłem pana Poniatowskiego, który w tej fabryce pracował na stanowisku z-cy dyrektora d/s technicznych.

W szkole natomiast z początkiem nowego roku akademickiego 1952/53 doszły nowe przedmioty. Przyszli nowi nauczyciele. Na pierwszej pozycji w indeksie został zapisany, traktowany wówczas za najważniejszy przedmiot, który nazywał się "Podstawy marksizmu". Przedmiot ten prowadził pan, przepraszam, towarzysz, Leon Sliwiński.

Reemigrant z Francji, który tam nauczył się być komunistą. Człowiek na pewno już po pięćdziesiątce, łysy, średniego wzrostu. Posiadał wyraźnie rzucające się w oczy sztuczne obie szczęki. Kiedy mówił, odnosiło się wrażenie, że te właśnie szczęki mu wypadną i znajdą się na stole. Był to człowiek naiwnie i bezkrytycznie wierzący w Stalina i w Związek Radziecki - ot taki infantylny marksista. Omawiał i zachęcał nas do studiowania "krótkiego kursu historii WKP/b/". Nic z tej lektury nie wchodziło mi do głowy. Wydawało mi się, że wszystko to jest tak zawile napisane i taki przeciętny, normalny umysł nie jest w stanie tego "bełkotu" pojąć. Zresztą nie wysilałem się w ogóle żeby to zrozumieć. Wiedziałem, że Buch^orin, Trocki, Kamieniew, Zinowiew i jeszcze kilku innych to są ludzie przeciwni linii reprezentowanej przez Stalina. Ale dla czego ich działalność była zła, nie mogłem pojąć. Nie usiłowałem zresztą nigdy tego zrozumieć, bo i po co? Całe szczęście, że Sliwiński traktował nas bardzo łagodnie. Przedmiot ten zakończył się takim zbiorowym egzaminem. Wszyscy razem zebraliśmy się w sali. Towarzysz Sliwiński zapytał nas, czyuczyliśmy się i czy materiał opanowaliśmy. Któryś z kolegów, zdaje się że Rysio Charytonowicz zapewnił, iż uczyliśmy się zespołowo i dużo oraz zaproponował, aby Arkadiuszowi Antonowiczowi postawić piątkę, bo on jest sekretarzem i doskonale zna materiał. Nam, pozostałym, trzeba wpisać do indeksu po czwórce, - taki bawiem poziom reprezentujemy. Arkadiusz potwierdził, że wszyscy spontanicznie angażowali się do nauki oraz dodatkowo studiowali też życiorys towarzysza Stalina. Niektórzy nawet w swoich domowych bibliotekach egzemplarze życiorysu posiadają. Tak też i było. Arkadiusz otrzymał piątkę, wszyscy pozostali po czwórce i przedmiot był z głowy.

Marian Firek prowadził dwa przedmioty: "Obrabiarki do metali" oraz "Przyrządy i uchwyty". Jan Zubaczek jeden przedmiot, a mianowicie ~~"Obróbka cieplna i podstawy metaloznawstwa"~~ "Obróbka cieplna i podstawy metaloznawstwa". Sergiusz Nikitin rozpoczął w tym semestrze przedmiot "Narzędzia". Przyszli też nowi nauczyciele. Przede wszystkim inżynier Jerzy Niemira, z którym miałem w niedługim czasie spotkać się w Uchwytach. Człowiek, który bezpośrednio kierował moimi pierwszymi zawodowymi krokami i któremu w związku z tym dużo w życiu ~~uawdzięzam~~ wdzięczę. Prowadził on dwa przedmioty: "Opracowania fabrykacyjne" /nie wiem, skąd taka archaiczna nazwa przedmiotu - dzisiaj powiedzieliby się po prostu "projektowanie procesów technologicznych"/ oraz "Pasowania i sprawdziany". Przedmiot, który nazywał się "Elektrotechnika" prowadził znany mi z Zakładu Energetycznego, Bernard Trocki. Przekazywał on nam bardzo szerokie, rzeczywiście potrzebne dla mechanika wiadomości z elektrotechniki, ale nie powiem, żeby była jakaś dyscyplina w czasie tych zajęć. Wszyscy byli czymś zajęci, ale nie elektrotechniką. Jedna tylko Jadzia śledziła na bieżąco wywody wykładowcy. Robiła to nie ze względu na mi-

łość" do elektrotechniki, ale po prostu żał jej było Trockiego. - on wkłada w to wszystko serce, a tu nikt nie interesuje się. Biedny Trocki, nie mogąc opanować sali, w końcu zauważał tylko Jadzię. Co chwilę pytał:

- Pani Jadziu, zrozumiała pani i zanotowała? -

Jadzia odpowiadała:

- Tak -.

Wtedy Trocki przechodził do dalszych zagadnień. Innym razem Jadzia odpowiadała:

- Nie, proszę powtórzyć -.

Wtedy Trocki powtarzał dokładniej i bardziej obszernie tłumaczył całe zagadnienie.

W semestrze tym był jeszcze jeden przedmiot, który nazywał się "Termodynamika". i był prowadzony przez mgr inż. W. Zawodnika. Był to przedmiot odbiegający od specjalności, w której byliśmy kształceni. Egzamin z tego przedmiotu zdałem 30 stycznia 1953 roku, oczywiście na trójkę. Pewnie przygotowywanie się do tego egzaminu nie należało do przyjemności, bo wtedy, kiedy inni byli zajęci rozgryzaniem np. obiegu Carnota, ja wolałem wyłączyć się i napisać wierszyk, pod którym widnieje data 27 stycznia 1953 roku i dokładna godzina 17³⁵. A wierszyk brzmi:

Termodynamiko kochana
Przez studentów uwielbiana.
Wielka nauko o gazach,
O przemianach i o fazach.
Układ, silnik, politropa
Sprawność, czynnik, adiabata,
Izochora, izoterma
Człek myśli, że jest oferma.
Ucz się cztery dni bez przerwy,
Aż ci się poszarpią nerwy.
Choćbyś pękł to nie pojdziesz,
Nie pomoże i sam Mojżesz.
Ef od iks trzeba kapować
I równanka różniczkować.
Trzeba wiedzieć, co się dzieje,
Gdy silnika sprawność maleje.
Weź i pomieść to w swej głowie
Technologu co się zowie.
Lepiej uczyć się skrawania,
Obrabiarek, odlewania.

Z początkiem listopada 1952 roku rozpocząłem pracę w Fabryce Przystawów i Uchwytów. Początkowo zatrudniony zostałem na fizycznym etacie ślusarza z piątą grupą zaszerzegowania osobistego. Przydzielono mnie do narzędziowni z zadaniem pomocy w rozdzielni robót, którą kierował Jasio Jarocki. O pracy bezpośrednio w zawodzie ślusarza, szczególnie w narzędziowni nie mogło być mowy - nie miałem w tym ~~zakres~~ zawodzie żadnej praktyki. Moja pomoc Jasiowi ograniczała się wyłącznie do milczącego obserwowania jego pracy. Nie orientowałem się wtedy w ogóle w pracy, jaką się tam wykonywało, a obrabiarki i narzędzia, które się tam wykorzystywało widziałem po raz pierwszy w życiu. Ponadto odniosłem wrażenie, że Jasio Jarocki w mojej osobie dostrzega konkurenta, który może go "wygryźć" z zajmowanego stanowiska. Na szczęście stan ten nie trwał długo, bo za kilka dni zostałem przeniesiony do Biura Konstrukcyjnego.

Fabryka mieściła się przy ul. Łąkowej 3. Po prostu równoległa do ulicy Sienkiewicza ulica Łąkowa, jakieś sto metrów za ulicą Ryską, przegrodzona była bramą, obok której był drewniany budynek portierni i od tego właśnie miejsca zaczynał się teren Fabryki. Pomiędzy ulicą Ryską a bramą przegradzającą ulicę Łąkową, po lewej stronie znajdowały się tereny Huty Szkła. Po prawej natomiast stał stary, ~~zrujnowany~~ zrujnowany i rozwalający się drewniany budynek przez nikogo nie zamieszkały, w którym przed wojną mieszkwały rodziny robotnicze. Przypominał mi on wiejskie "czworaki".

Po przejściu portierni, na terenie należącym do Fabryki, po prawej stronie, w pewnej odległości od ulicy Łąkowej znajdowała się odlewnia żeliwa z jednym żeliwniakiem i koniecznymi urządzeniami. Dalej za odlewnią znajdowała się hala obróbki wiórowej, gdzie były zainstalowane różne obrabiarki, stanowiska ślusarskie, pomieszczenie, gdzie pracowali technologzy itd. Jeszcze dalej za halą był plac, gdzie gromadzono złom. Rosła tam duża lipa - stąd było wtedy modne w Fabryce powiedzenie "nadaje się do magazynu pod lipą" na określenie czegoś, co nie nadaje się do użytku.

Po lewej stronie ulicy Łąkowej, tuż za bramą był wypalony, piętrowy budynek pofabryczny, w którego wyremontowanej części znajdował się warsztat remontowy i biuro głównego mechanika. Szefował tutaj Wincenty Mosiej, były pierwszy dyrektor Fabryki, a na warsztacie był mistrzem Winiecki, który pracował w tych zakładach jeszcze przed wojną. Dalej był budynek trochę oddalony od ulicy, w którym mieściło się ambulatorium lekarskie i gabinet dentystyczny. / Już dzisiaj nie pamiętam, kiedy te medyczne obiekty zostały zorganizowane / ^{Przez} ~~Przez~~ tym budynkiem rozciągał się, sięgający aż do ulicy, fundament po jakimś dużym, zrujnowanym budynku. W końcu placu, przy ulicy, za tym właśnie fundamentem

był zlokalizowany jeszcze jeden budynek, gdzie mieściła się świetlica i coś tam jeszcze. Za tym ostatnim budynkiem była już ulica Towarowa, z którą Łąkowa nie miała swobodnego połączenia. Ulica Łąkowa bowiem, na jej części od portierni do ulicy Towarowej była niedostępna dla ruchu, - stanowiła teren Fabryki. Jeszcze po lewej stronie terenu, pomiędzy budynkiem, gdzie była zlokalizowana "medycyna" a ulicą Towarową były budynki, gdzie mieściły się magazyny i warsztat szkolny.

Był jeszcze jeden zespół budynków, który był zlokalizowany bezpośrednio przy ulicy Łąkowej, po jej prawej stronie, vis a vis fundamentu po zrujnowanym budynku. Był to piętrowy budynek, w którym na parterze mieściła się narzędziownia, na piętrze natomiast urzędowała dyrekcja, kadry, księgowość, planowanie, zbytek - jednym słowem wszystkie fabryczne "urzędy". Do tego budynku przylegała parterowa budowla przedzielona na połowę - w jednej były zainstalowane urządzenia do obróbki cieplnej, w drugiej pracowało biuro konstrukcyjne.

Jeszcze był jeden nieduży budynek zlokalizowany w okolicach "magazynu pod lipą", w którym miały swoje pomieszczenia związki zawodowe i organizacje młodzieżowe.

Po kilku dniach pracy w Fabryce zostałem, za sprawą pana Poniatowskiego, przeniesiony do Biura Konstrukcyjnego. Konstruowało się tutaj specjalne pomoce warsztatowe /uchwyty, narzędzia, sprawdziany/, które następnie były w metalu wykonywane w narzędziowni i były wykorzystywane w procesie technologicznym. Kierownikiem tego biura był inżynier Jerzy Niemira, ten sam, którego poznałem na prowadzonych przez niego zajęciach w szkole. Był to pan, pewnie z dziesięć lat ode mnie starszy, absolwent Wawelberga, który tę uczelnię ukończył przed kilkoma laty, tuż po wojnie. Panu Niemirze zawdzięczam w swoim zawodowym życiu bardzo dużo.

Magister inżynier Jan Kucko - Zubaczek, obok panów Poniatowskiego i Niemiry był trzecim inżynierem zatrudnionym wówczas w Fabryce. Pracując w biurze, faktycznie spełniał funkcję zastępcy kierownika. Tego pana też znałem ze szkoły. Był on absolwentem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, którą też ukończył po wojnie. W późniejszym okresie przestał posługiwać się nazwiskiem dwuczłonowym - Kucko poszło w zapomnienie, został tylko Zubaczek.

W biurze pracował kolega ze studiów, Miecio Gontarczuk. Dziesięć lat ode mnie starszy, który zaraz po wojnie, razem z Niemirą, usiłował studiować u Wawelberga. Mieli nawet jakieś wspólne wspomnienia. Miecio - wi coś tam się nie powiodło i teraz był z nami. Maturę zdawał ~~po wojnie~~ jeszcze przed wojną. Lubił popisywać się łaciną, z której, trzeba przyznać, sporo pamiętał. Uzupełnialiśmy się na wzajem pod tym względem. Ja przecież tak niedawno tego języka uczyłem się i też sporo pamiętałem.

Miecio mawiał, że tacy porządni ludzie jak my to po śmierci pójdą tam "ubi premia ei, qui in vita sua boni fuerunt, parata sunt".

Byli między nami dwaj działacze młodzieżowi, bardzo zaangażowani aktywiści ZMP - Witek Sciepek i Jurek /Ireneusz/ Gierdo. Pierwszy z nich miał amputowaną lewą rękę powyżej łokcia. Był to efekt niefortunnej zabawy z jakimś powojennym niewypałem. Nosił protezę obandażowaną zawsze brudnym bandażem. Lubił opowiadać o swoich miłosnych sukcesach, o tym, jak prowadził dziewczyny "na Planty" i co tam z nimi robił. Hołdował takiej ruskiej zasadzie: "Wsiej wodka nie propiosz, wsiech diwuszek nie ..., no stremitsia nada". Sciepek był przewodniczącym fabrycznej organizacji ZMP - to była "szycha" obok sekretarza POP. Gierdo natomiast był chyba członkiem zarządu. Miał o sobie wysokie mniemanie. Też "lis na baby". Wysoko sięgał, bo marzyła mu się na przykład córka dyrektora, która była studentką Akademii Medycznej. Oba nie mieli średniego wykształcenia, a w biurze byli "filarami" ze względu przede wszystkim na swoje polityczne zaangażowanie.

Pamiętam, w biurze pracował niejaki Ból. Flegmatyczny młodzieniec, średniego wzrostu, dość dobrze zbudowany, okrągły na twarzy, blondyn, ze szramą na górnej wardze. Po krótkim okresie wspólnej pracy w biurze, nigdy potem tego kolegi nie spotkałem.

W niedługim czasie podjął pracę w biurze Jurek Senk. Pochodził on gdzieś z kieleckiego, a do Białegostoku przyjechał ze Szczecina. Zaraz po wojnie rozpoczął tam studia na Politechnice, ostro działał w partii i ruchu młodzieżowym, ale ze studiami miał kłopoty. Przyjechał więc do nas kontynuować studia i pracę podjął w Uchwytach, w naszym biurze. Był to nawet niegłupi chłopak, tylko nieobowiązkowy. Tak po harcersku mówiąc "Zawiszą to on nie był". Był za to bardzo towarzyski, dowcipny i inteligentny. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą.

Później nieco przyszedł do pracy w Biurze Albert Olechno. Podjął on studia w naszej szkole na którymś z następnych lat i otrzymał dyplom inżynierski w kilka lat po mnie.

Dużo później do biura przyszedł pracować Henio, którego nazwiska nie pamiętam. Opracował on wniosek racjonalizatorski "cechownicy" do podstaw do imadeł maszynowych. Chodziło o to, że obwód podstawy trzeba było podzielić na 360° , wykonać kreski podziału i co 10° wybić liczby. Nazywało się to cechowanie, stąd nazwa przyrządu do wykonywania tych czynności "cechownica". Henio miał pomysł tego całego urządzenia w głowie, ale na papier nie był go w stanie przenieść. Ja dostałem zadanie narysowania tego "ustrojstwa". Trzeba było przeprowadzić sporo obliczeń kinematycznych i wykonać wiele rysunków. Urządzenie to zostało nawet wykonane w metalu, ale w produkcji nie zdało egzaminu.

Henio miał pełną głowę pomysłów technicznych i ciągle marzył o tym, że uda mu się złamać tajemnicę "perpetuum mobile". Z Jurkiem

Senkiem prowokowaliśmy Henia do dyskusji na tematy fantastycznych wynalazków. Henio chętnie takie tematy podejmował i przy okazji wygłaszał różnego rodzaju herezje. Wynikało to z jego niewiedzy.

Ponadto w Fabryce pracowali koledzy z naszego roku. Przede wszystkim trzeba wymienić Wacka Czembrowskiego, słynnego "Siódmego". Był on technologiem i to, jak ktoś kiedyś określił takim "rasowym" technologiem. Uważał, że równego jemu ani tutaj w Fabryce, ani w szkole nie ma, nawet wśród nauczycieli. Jednego tylko Poniatowskiego uważał za fachowca z tego chyba względu, że pracował on przed wojną w Radomiu, w fabryce broni. Wacek zawsze był ponad wszystkimi, zawsze poważny i zamyślony. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że był on na prawdę technologiem z prawdziwego zdarzenia.

Najbardziej chyba eksponowane stanowisko zajmował Adam Falkowski. Był on bowiem szefem Działu Kontroli Technicznej. Pracował także, nie pamiętam na jakim stanowisku, Romek Rosiewicz. Arkadiusz Antonowicz pełnił w Fabryce funkcję pi I sekretarza komitetu zakładowego PZPR. Był on takim utopijnym, infantylnym, idealnym, dalekim od normalnego życia komunistą. Kiedyś, na moje narzekanie, że jest mi ciężko, Arkadiusz całkiem szczerze pocieszał mnie:

- Ażajewa "Daleko od Moskwy" na pewno czytałeś, wiesz więc, jak tam komsomolcom było ciężko. Porównaj. Nam przecież jest bardzo dobrze -.

Arkadiusz był bardzo dobry politycznie, czego nie można powiedzieć o nim, jako o studencie. Ostatecznie egzaminu dyplomowego nie zdał i inżynierem nie został do śmierci.

Przede mną do Fabryki przyszła na nakazy pracy grupa techników, którzy gdzieś w kraju skończyli Technika Mechaniczne i zostali tutaj skierowani. Kilku z nich, jak Jasio Praga, Zbyszek Szafara, Kostek Seliga związało się z Fabryką na stałe. Jasio Majewski odszedł z Fabryki, ale pozostał w Białymstoku. Byli też tacy, jak na przykład Wąsala, którzy po pewnym czasie opuścili w ogóle Białystok.

Wielu ludzi, ich twarze i nazwiska, tłoczą się w mojej pamięci. O wielu z nich mogę coś powiedzieć, z wieloma wiążą się jakieś wydarzenia i fakty, wielu po prostu pamiętam. Taki na przykład kierownik Działu Kadr, Jan Dowbysz, były oficer milicji, a teraz jako "kadrowiec" wszystkich i o wszystko podejrzewał. Każdy w jego ocenie miał "lekkie skłonności do picia wódki". Pytał: "Agdzie wyście byli?", "Co wyście robili?". Bardzo nie lubił tych, co po wojnie wrócili z Zachodu. Taki właśnie reemigrant, który nosił nazwisko Epler pracował w Fabryce na jakimś umysłowym etacie. Byłem świadkiem, jak Dowbysz do niego mówił:

- Wy, Epler, to byście tylko Polskę Ludową doili i doili -

W Kadrach pracowały jeszcze dwie panie. Zaangażowana politycznie Budniakowa, młoda jeszcze kobieta o monstrualnie dużych piersiach.

W związku z tym nazywaliśmy ją "Cycata". Drugą była pani Sareło. Też jeszcze młoda wtedy kobieta, solidnie spełniająca swoje obowiązki, ale bez nadgroliwości.

Planowaniem kierował stary Ledowicki, który w niedługim czasie odszedł na emeryturę. Jego syn, Jan Ledowicki, żołnierz II Korpusu, uczestnik bitwy o Monte Cassino, pracował w Zaopatrzeniu. Ponadto w planowaniu pracował Andrzej Domaszewicz, człowiek bardzo zarozumiały, którego mój szef, pan Niemira, chyba słuźnie, nie lubił. Dochodziło między nimi często do nieporozumień. Niemira zawsze mawiał o Domaszewiczu "ten orzeł". Pracował tam też Witek Zalewski, który potem, w kilka lat po nas, ukończył naszą szkołę. Bardzo podobał mi się sposób opowiadania przez Witka "kawałów", anegdotek czy relacjonowania różnych komicznych zdarzeń - opowiadając rzeczy śmieszne sam był "śmiertelnie" poważny. Pracował w Fabryce od samych jej powojennych początków, kiedy to jeszcze jako Zakłady Mechaniczne produkowała głównie maszyny rolnicze i młyńskie oraz gwoździe. Wyroby te bardzo często kupowane były przez nabywców prywatnych bezpośrednio w Fabryce, a nierzadko średkiem płatniczym była "samogona". Zatrudnione więc w Fabryce towarzystwo miało okazję "ostro" pić. Zdarzały się takie sytuacje, że Witek układał na furze kompletnie pijanych kolegów "pokotem", do każdego przypinał szpilką kartkę z adresem, pod którym on mieszkał, a zatrudniony w Fabryce furman rozwoził ich po całym mieście. Takie to były czasy. A swoją drogą pewnie Witek miał bardzo mocną głowę.

Duże pomieszczenie w budynku dyrekcyjnym na piętrze zajmowała księgowość. Głównym księgowym był w owym czasie Władysław Wenkler, człowiek mniej niż średniego wzrostu, szczupły, nosił nieduży wąsik i był kulawy. Pracował tam też pan Królik, starszy jak mi się wtedy wydawało, łys, mężczyzna, który wojnę spędził w stopniu kapitana w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Kilka razy miałem okazję i przyjemność słuchać jego wojennych opowieści. Poznałem tam też pana Kazaneckiego, którego będący wtedy chłopcem syn, Wiesiek, był po latach znanym w Białymstoku, zresztą i nie tylko, poetą. Pan Aleksander Chalecki, Tatar, bardzo solidny i lubiany przez otoczenie człowiek. Jakaś starsza, mówiąca z ruska pani, która kiedyś przyszła do nas do hiura z pretensjami, że w jakimś dokumencie, który wyszedł od nas i trafił do księgowości, napisana była czwórka w sposób nie jednoznaczny, krzyczała:

- Jak wy piszecie, trzeba pisać takie nasze, prawosławne "cztyry" -.

Kasjerką była Dziunia, z którą nawet do jakiegoś tam kuzynstwa domówiliśmy się, Dziadek Robert, Ojczym mojej Mamy, jeszcze wtedy żyjący, pochodził z Białegostoku i był bliskim krewnym Dziuni.

W transporcie, który też gdzieś tam się mieścił, pracował w tym

czasie jeszcze jeden mój kolega z roku Lolek Jabłoński. Potem Lolek był technologiem, był zależny od Wacka Czembrowskiego, nie nazywał go już "Siódmy", ale było to wiele ~~lat~~ lat później.

Na parterze budynku, jak się już uprzednio powiedziało, mieściła się narzędziownia. Wykonywano tutaj w metalu te wszystkie specjalne pomoce warsztatowe, które były konstruowane w naszym biurze. ~~Zxxxzx~~ Ze względu na charakter pracy zatrudnieni tu byli specjaliści wysokiej klasy. Narzędziownią kierował Edzio Czajkowski, pochodzący ze Starosielc, kilka lat ode mnie starszy, technik mechanik. W celu podkreślenia dokładności i precyzji wykonywanych tu robót mawiał:

- My tu mikrony łapiemy! -

"Drugim po Bogu" w narzędziowni był Felek Łoś, zatrudniony tutaj na stanowisku mistrza. Felka pamiętałem jeszcze z "czasów harcerskich", kiedy to w 1948 roku jechaliśmy wspólnym transportem kolejowym na obóz. Felek wtedy ciągnął ze sobą motocykl - pamiętam, jak w Białymstoku wciągano go do wagonu.

Do narzędziowni przylegała przybudówka, gdzie mieściło się nasze biuro i hartownia. W hartowni, gdzie często z ciekawości zaglądałem, "brylowali" dwaj, w moim pojęciu niemalże czarownicy, Wacek Turlik i Henio Herman. Działy się tutaj różne dziwne rzeczy: Grzanie i chłodzenie - tak na pierwszy rzut oka i nic więcej. Muszą oni jednak posiadać wiedzę Hefajstosa - myślałem. Szamani!

Z narzędziowni, przechodząc obok naszej przybudówki, dochodziło się do głównej hali produkcyjnej. Tu były zainstalowane obrabiarki - tokarki, frezarki, wiertarki, na których obrabiane były produkowane w Fabryce wyroby oraz rewolwerówki, na których pracowały przede wszystkim kobiety i obrabiały normalne elementy/ wkręty, śruby, Kołki/ W Fabryce produkowane imadła maszynowe stałe i uchylne, imadła ślusarskie oraz czteroszczękowe uchwyty tokarskie z indywidualnie nastawianymi szczękami. Każdy z tych wyrobów był produkowany w kilku wymiarach, stanowiących typoszereg utworzony zgodnie z zasadami Reynarda. Były to główne wyroby, do których zaraz po moim przybyciu do Fabryki doszły jeszcze uchwyty wiertarskie. Zaczęto też przygotowywać produkcję cylindrów pneumatycznych do tokarek. Przygotowania te jednak przerwano, aby do produkcji tej wrócić po kilku latach - produkcja tzw. pneumatyki rozwinęła się w Fabryce bardzo i osiągnęła wysoki poziom.

Dzisiaj, po wielu latach, znajduję w swojej pamięci wiele sytuacji z tamtych lat. Wielu, w większości już nieżyjących, ludzi przesuwają się przed moimi oczami. - ich wygląd, postaci, ich zachowania, a nawet słyszę ich głos. Hala fabryczna tętniła życiem, był tu ciągły

ruch. Obrabiarki były bez przerwy eksploatowane, pracowali przy nich ludzie, w większości młodzi, chociaż też byli między nimi i starzy, znani, wytrawni fachowcy. Jak np. Makal, który na dużej tokarce "Poręba" obrabiał żeliwne korpusy dużych wymiarów uchwytów tokarskich.

W hali niepodzielnie panowali dwaj starsi panowie: Romuald Rosiewicz /ojciec też pracującego w Fabryce kolegi z Uczelni/ i Antoni Adamkiewicz. Często słychać było w hali donośny, trochę chrapliwy i ostry głos pana Rosiewicza. Bardzo często z ust jego wydobywały się niecenzurowane słowa, "rzucał mięsem" na lewo i prawo. Był dowcipny, ale ten jego dowcip był wulgarny, czasami nawet bardzo. Drugi z nich mawiał o sobie, że nazywa się Adamkiewicz Jan^{toni}, w związku z tym jego inicjały to J.J. Opowiadał o swojej wielkiej praktyce zawodowej. Żeby zliczyć wszystkie lata pracy z poszczególnych zakładów, w których według jego opowiadań pracował, otrzymałoby się na pewno liczbę przekraczającą jego wiek. Najchętniej i najczęściej opowiadał o firmie "Paschalski", w której przed wojną pracował. Nazywaliśmy go w związku z tym "Paschalski".

Adamkiewicz był bezdzietny i mieszkał wraz z żoną w ~~nowym~~ nowo-
wypudowanym bloku przy ul. Sienkiewicza, tuż przy Rynku Kościuszki. Kiedy wracał z pracy czekała na niego w oknie żona wraz z zaglądną przez jej ramię rasową suką, którą państwo Adamkiewiczowie hodowali. Widząc to pan Antoni mawiał:

- O! moje kobiety czekają na mnie! -.

Czasami na hali można było słyszeć rozmowę tych właśnie filarów -
- Romek! O rany Chrystusa! - krzyczał Adamkiewicz i następnie "wyłuszczał" jakiś problem. Robił to z rzadka "rzucając mięsem". Był on nie tak wulgarny, jak pan Roman. Zaraz potem słychać było przenikliwy przenikający szum na hali, chrapliwy, ostry głos Rosiewicza:

- Antoś! Kurwa jego mać! -

i tu pan Roman "wyłuszczał" swoje stanowisko. Uszy wzięły słuchać go.

Organizacja pracy w Fabryce była nie najlepsza, plany produkcyjne wykonywane były zawsze w ostatnich dniach miesiąca. Decydujący był ostatni dzień miesiąca, a bardzo często noc przed pierwszym. Nierzadko można było widzieć, jak ci dwaj "bohaterowie pracy socjalistycznej" w otoczeniu pomniejszych pomocników, zjawiali się pierwszego rano w gabinecie dyrektora i zaspany, z zaczerwienionymi oczami, Adamkiewicz chrapliwym głosem meldował:

- Dyrektorze! Plan wykonaliśmy! -.

Nie pamiętam przeważnie, kto jakie funkcje na produkcji pełnił. Wiem na przykład, że "wysoko" w hierarchii zarządzających produkcją stał Henio Kotyński. Był to człowiek młody, niewysokiego wzrostu, z bardzo rzadką czupryną, który w początkowym okresie mojej pracy pobierał naukę w wieczorowym Technikum Mechanicznym. Pamiętam, że jego

głos na produkcji się liczył i miał on zawsze coś do powiedzenia.

Na wiertarkach mistrzem był starszy człowiek, mniej niż niskiego wzrostu, o nazwisku Łupacz. Mówiono o nim, że przez całą wojnę przechował przedwojennego właściciela Fabryki, Żyda Gotliba. Teraz Gotlib wyjechał gdzieś na zachód i Łupacz nic z tego nie ma. Z wiertarkami kojarzą się jeszcze nazwiska dwóch przedownic pracy: Niedźwieckiej i Czarkowskiej.

Rysio Lancares był mistrzem chyba na tokarkach. Średniego wzrostu mężczyzna, "dobrze zbudowany", z jakimś znaczkim na oku. Szczycił się tym, że jest warszawiakiem. Wypowiedzi swoje gęsto urozmaicał słowami, które co prawda dodawały im jędrności, ale należały do tzw. "nieprzyzwoitych". Kiedyś przyszedł do nas do biura z jakąś sprawą ~~XXXXXX~~ i zwrócił się do Zubaczka:

- Panie Kuśko! -

Miała to być aluzja do pierwszego członu jego nazwiska "Kucko". Bardzo niesmacznie to zabrzmiało. Fakt ten chyba zdecydował, że pan Zubaczek przestał się w ogóle posługiwać tym członem swego nazwiska.

Najmniej mogę powiedzieć o odlewni żeliwa. Owszem, wiele razy tam bywałem. Formierze kojarzyli mi się z dziećmi hawiającymi się w piaskownicy, ale nigdy nie usiłowałem zgłębić tajemnic związanych z przygotowaniem mas formieskich czy rdzeniowych, nie interesowało mnie przygotowanie wsadu do żeliwiaka, nie pragnąłem poznać innych tajemnic technologii odlewania. Obróbka skrawaniem była mi bliższa, stąd też niewiele mi zostało w pamięci. Wysocki, Białous i chyba nikt więcej. Dobrze natomiast pamiętam pana Adamskiego z modelarni, z którym miałem wiele służbowych kontaktów. Do niektórych konstruowanych uchwytów stosowało się żeliwne korpusy, które były odlewane w naszej odlewni. Przedtem jednak musiały być wykonane modele i ewentualne skrzynki rdzeniowe. Były one wykonywane przez pana Adamskiego z drewna. Lubiłem te rozmowy z Adamskim, to był taki stary rzemieślnik. Jego język techniczny był zaśmieszony obcojęzycznymi określeniami, na przykład zamiast promień, mówił on "radius".

Dudziński, Szafranowski, Łukjaniuk, Czaban... Jeszcze wiele nazwisk ludzi mógłbym wymieniać, jeszcze więcej postaci, których nazwiska zatarły się w pamięci, mógłbym opisać. Kilka osób jednak, z którymi zetknąłem się przychodząc do Fabryki, trzeba bliżej zaprezentować

Przede wszystkim Dariusz Koszałkowski. Chłopak w moim wieku, posiadający wysokie czoło, ale nie łysy. Ojciec jego był adwokatem. Dziwiłem się bardzo, że zamiast za naukę zabrał się on za coś tak niekonkretnego, jak praca xpolityczna w Fabryce. U niego właśnie zarejestrowałem się do Związków zawodowych, on wciągnął mnie na listę członków ZMP. Koszałkowski był wysokiego szczebla aktywistą ZMP

i pełnił dodatkowo jakąś funkcję w radzie zakładowej Związku Zawodowego Metalowców.

Przewodniczącym Rady Zakładowej Janusz Tellos był z zawodu ślusarzem, ale nigdy go w tej roli nie mogłem sobie wyobrazić i nigdy potem nie widziałem go z jakimś ślusarskim narzędziem w ręce. Jego żona, nawet przystojna dziewczyna, pracowała gdzieś na produkcji.

Zastępcą Dyrektora d/s administracyjnych był pan Stanisław Stemler. Starszy już człowiek z wysokim czołem i resztką włosów pokrytych siwizną. Pracował w Fabryce od samych jej powojennych początków. Pokazywano pracujące jeszcze w Fabryce obrabiarki, które Stemler "kupował" za samogonkę od wiozących "trafiei" z Niemiec, a może z naszych Ziemi Odzyskanych, sowieńców. Bezpośrednich służbowych kontaktów z panem Stemlerem nie miałem. Kiedyś, w jakąś niedzielę, kiedy Fabryka nie pracowała, był przeprowadzany spis majątku z natury, tzw. inwentaryzacja. Ja byłem w komisji, która spisywała stan posiadania odlewni. Spisywaliśmy na placu przed odlewnią skrzynki formierskie. Było zimno, zmarzłem okrutnie. Ktoś zaproponował, że dobrze byłoby wypić po kieliszku "na rozgrzewkę". Ktoś inny, chyba Zbyszek Nowakowski zrobił zbiórkę do "kapelusza", wyszedł do miasta i przyniósł butelkę. Weszliśmy do środka. Na stole, koło ciepłego pieca suszarni rdzeni, postawiliśmy butelkę. Znalazła się jakaś szklanka i zabraliśmy się do "rozpijania". Nie było mowy o jakimś pijaństwie - chłopów było kilku a wódki tylko butelka. Nagle do pomieszczenia wszedł Stemler, który kontrolował przeprowadzany spis. Stało się to tak niespodziewanie, że nic nie mogliśmy ukryć. Na stole pełna butelka wódki, przy stole stoi kilku pracowników, którzy zamiast przeprowadzać spis zacierają się do picia. Sytuacja wprost wymarzona do zrobienia przykładowej afery. Stemler był chyba bardziej zaskoczony niż my. Jakieś zdawkowe pytanie nam postawił, zapytał, czy nie mamy jakichś kłopotów i wyszedł nie zauważając tego, co było na stole. ♣

- To jest klasa człowiek - pomyślałem - żeby nie daj Boże na jego miejscu był Dowbysz, biedy pewnie nie zabrakowałyby nam.

Sprawami technicznymi w Fabryce kierował pan Marian Poniatowski, unany mi już dobrze ze szkoły. Cała Fabryka była właściwie na jego głowie. Był to człowiek konkretny, jasno i zrozumiale wyrażający swoje myśli. Niewysoki, raczej drobny, ale wielkiego ducha człowiek. Przed wojną pracował w fabryce broni w Radomiu na stanowisku szefa kontroli technicznej. W czasie okupacji niemieckiej czynnie zaangażowany w konspiracji /dowiedziałem się o tym dużo później/ miał ogromne doświadczenie zawodowe. Cechował go takt, umiar, raczej powściągliwość w ocenie ludzi i zdarzeń. Bezpośrednie moje kontakty z panem Poniatow-

skim były w tym czasie sporadyczne. Rzadko kiedy zaglądał do naszego biura, pewnie nie było takiej potrzeby. Niemira sam sobie dawał radę. Pamiętam bardzo długą i konkretną rozmowę z panem Poniatowskim w naszym biurze na temat konstruowanej przeze mnie "cechownicy" według pomysłu Henia. Podziwiałem krótkie, ale konkretne i kończące się jednoznaczными wnioskami, prowadzone przez Poniatowskiego tzw. "operatywki", w których czasami uczestniczyłem. Zawsze było jednoznacznie wiadomo kto, dlaczego, ~~o~~ i w jakim terminie.

No i wreszcie dyrektor naczelny Fabryki - Włodzimierz Kajdanowski. Sredniego wzrostu mężczyzna, Łysy, w wieku już zaawansowanym, nazywany był po prostu "Kajtek". Nie wyglądało na to, żeby miał ukończone nawet powszechne wykształcenie. Przyszedł do Fabryki z kolei, gdzie był, jak powiadają, nawet niezłym ślusarzem i oczywiście był bardzo zaangażowany partyjnie. Wezwano go do Komitetu i powiedziano:

- Kajdanowski, zasłużyliście na awans społeczny. Będziecie dyrektorem -

Kajdanowski, co do słuszności tej decyzji, nie miał żadnych wątpliwości. Nie miał też żadnych oporów. Zapytał tylko:

- Gdzie? -

I tak Kajdanowski został dyrektorem naczelnym Fabryki Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku. Dostał gabinet dość obszerny jak na ówczesne warunki lokalowe. Do gabinetu wchodziło się z ciasnego sekretariatu, gdzie urzędowała sekretarka, Irena, dobrze zbudowana, niewysoka, jak by się to na Mazurach powiedziało "przysadzista", młoda dziewczyna. Z sekretariatu, po przeciwnej stronie gabinetu dyrektora, prowadziły drzwi do dosyć ciasnego gabinetu pana Poniatowskiego.

Kajdanowski miał do dyspozycji samochód osobowy, którym z rana przywożono go do pracy, a po południu odwożono do domu. Był to jakiś stary, pochodzący chyba z demobilu, Ford. Kierowca nazywał się Lutoński. Kajdanowskiemu uderzyło to wszystko do głowy, Zwierzał się, że jego żona nie nadała za nim i pewnie będzie musiał się z nią rozwiść.

Kajdanowski starał się zapamiętać różne zasłyszane wyrazy i powiedzonka i potem stosować je w swoich wypowiedziach. Wynikały z tego przeróżne komiczne sytuacje, bo albo nie rozumiejąc znaczenia słów, stosował je bez sensu w najbardziej nieodpowiednim kontekście, albo po prostu przekręcał słowa. Mawiał na przykład "aragować", kiedy trzeba było powiedzieć "reagować", albo po prostu działać. Często mawiał, że trzeba "spinpongować" bojową załogę Fabryki - chodziło o to, że trzeba tę załogę zdopingować. Zachęcał do zbierania "nomenklatury", zamiast makulatury. Wyrażał opinię, że jakieś tam sprawy powinien załatwiać główny "agranetyk" - chodziło oczywiście o głównego energetyka.

Mówiąc o kimś powiedział, że ten ktoś jest bardzo porządnym człowiekiem, bo jest on "asystent". Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, wyjaśniał:

- No wiecie, to taki, co nie pije i nie pali -

Kiedys odbiorca zareklamował całą partię imadeł i jako powód podał: "miękkie szczęki". Chodziło o to, że na obu żeliwnych szczękach /stała i ruchoma/ były zamontowane stalowe wkładki szczękowe, które były hartowane i powinny mieć odpowiednią twardość, wyrażaną w stopniach twardości Rockwella. Zdenerwowany Kajdanowski zawołał do siebie Adama Falkowskiego i groźnie zapytał:

- Falkowski! Co to jest? Kto zawinił?

Adam, jak zwykle flegmatycznie i kpiną w głosie odpowiedział:

- Dyrektorze, Rockwell nawalił - myślał oczywiście o awarii aparatu do pomiaru twardości. Kajdanowskiemu to wystarczyło, krzyknął więc gromko:

- Potrącam premię temu Rockwellowi! Całą premię! Miech drugi raz pamięta i dziesiątemu zakaze! -

Najlepiej powiedzonka Kajdanowskiego umiał powtórzyć i wszystkie stworzone przez niego sytuacje umiał opisać Witek Zalewski. Tak po prostu śmiertelnie poważnie i bez zmrużenia oka. Opowiadał Witek, jak to kiedyś Kajtek wezwał go do siebie. Kiedy Witek wszedł do gabinetu, oczywiście wcześniej zapowiedziany przez Irenę, Kajdanowski powiedział protekcjonalnie:

ę Siadajcie Zalewski -

Po chwili milczenia wyjął z szuflady swojego biurka duży suwak logarytmiczny i pokazując go Witkowi zapytał:

- Wiecie Zalewski, co to jest? -

- Suwak, dyrektorze - odpowiedział Witek.

- A wy, Zalewski, tak umiecie, tego, no...

- Umie - odpowiedział Witek.

- To nauczcie mnie, Zalewski, dodawać - łagodnie poprosił Kajdanowski. Zaskoczony Witek nie bardzo wiedział w pierwszej chwili, co ma powiedzieć. Prośbę przełożonego potraktował bardzo poważnie. Chciał dyrektorowi pokazać, jakie działania można przy pomocy suwaka wykonywać, dlaczego nie można dodawać.

- Dyrektorze, a wy logarytmy pamiętacie? - zapytał Witek.

Takie słowo Kajdanowski słyszał pewnie pierwszy raz w życiu. Zaskoczony więc pytaniem, po dłuższej chwili milczenia, powiedział:

- Wiecie, Zalewski, my tę rozmowę odłożymy. Zawołam was innym razem --.

Kiedys Witek był wraz z Kajdanowskim w Warszawie. Załatwiali jakieś sprawy służbowe w Centralnym Zarządzie Przemysłu Narzędziowego,

który mieścił się przy ul. Pułaskiej, tuż za Placem Unii Lubelskiej, a któremu to Fabryka podlegała. Po pomyślnym załatwieniu spraw Witek zaproponował pójście do kawiarni. Kiedy z kawiarni wychodzili, bardzo zdziwiony Kajdanowski zapytał:

- Słuchajcie, Zalewski, co to jest? Taki mały kubek kawy i to czarnej, a my tak drogo zapłacili. Ja niedawno byłem w barze mlecznym. Tam całe pół litra kawy i to z mlekiem kosztuje mniej -.

Innym razem Witek był świadkiem w tym samym Centralnym Zarządzie w Warszawie, jak Kajdanowski spotkał się z kolegą, takim samym jak on dyrektorem z awansu społecznego. Po załatwieniu spraw obaj wybierali się na miasto i umawiali się, gdzie to dzisiaj oni pójdą. Kajdanowski zapytał kolegę:

- Gdzie dziś pójdziem?-

Tamten odpowiedział:

- Ty, Włodek, może na Trasie W-Z, na ruchome schody trochę pojeździć? -

Na to Kajdanowski:

- Ty, ja tam już byłem, może gdzie indziej pójdziem? -.

Zaprezentowana przeze mnie galeria uchwytych postaci pierwszej połowy lat pięćdziesiątych jest niekompletna. To przecież już tyle lat... Na końcu tej galerii zaplanowałem umieszczenie człowieka, którego wszyscy w Fabryce znali. Był to starszy człowiek, zawsze uśmiechnięty, robił wrażenie szczęśliwego, przeważnie nieogolony i brudny na twarzy, zawsze w zimowej czapce na głowie. Nierozzerwalnie zawsze razem: on, fura i koń.

W Fabryce trzeba było przemieszczać wiele ciężarów i to na znaczne odległości. Były to przede wszystkim odlewy żeliwne, pręty stalowe oraz inne materiały i wyroby. Do wykonywania tych czynności zaangażowano wożaka z jego furą i koniem. Dziwnie dla mnie wyglądał zaprzęg inny niż w moich, augustowskich stronach.- chomonto i duga - u nas były po prostu "szleje". Nazywał się Falkowski. Kuzynem Adama nie był, po prostu zbieżność nazwisk. Miał pewnie z dziesięcioro, a może i więcej dzieci i żonę, działaczkę społeczną. Jeden z synów był oficerem. Żona uczestniczyła w jakimś światowym Kongresie Obrońców Pokoju. Dzieci siebie nawzajem wychowywały, żona wyjeżdżała na różne kongresy i wychodziła za zebrania, Falkowski popędzał konia batem i tak całą rodziną budowali Polskę socjalistyczną. Falkowski, między jednym kursem a drugim, podśpiewywał sobie:

A mój ojciec furman, furman,

Co zarobi odda kurwam,

A ja jestem taki sam,

Co zarobię, to im dam.

XII. KONSTRUKTOR

Późną jesienią 1952 roku, z inicjatywy Werki Czernieckiej, zorganizowana została prywatka. Miała się ona odbyć w mieszkaniu koleżanki Werki, niejakiej Gieni. Mieszkała ona przy ulicy Sw. Rocha 4, w mieszkaniu, na które miała formalny przydział. Wraz z Gienią mieszkały tam jeszcze dwie dziewczyny. Poszedłem więc w sobotni wieczór, na podaną godzinę pod wskazany adres. Zgodnie z wskazówkami Weroniki wszedłem na niewielkie podwórko, pozostawiając po lewej stronie ogródek i parterowy, stary dom. Po przejściu podwórka wszedłem do sieni domu, w którym mieszkała Gienia. Podwórko było nieco oświetlone resztkami światła dochodzącego tu z umieszczonej na ulicy latarni elektrycznej. Sień natomiast była bardzo ciemna. Wiedziałem, że po wejściu do sieni, po obu jej stronach były drzwi, które prowadziły do położonych tu mieszkań. Dalej sień zwężała się, po lewej stronie bowiem były schody, które prowadziły do mieszkania na poddaszu. Po ominięciu schodów wchodziło się w znowu normalnej szerokości sień, po obu stronach której były drzwi prowadzące do kolejnych dwóch mieszkań. Mieszkanie po prawej stronie należało do Gieni.

Przestraszyła mnie panująca w sieni ciemność. Nie było w ogóle widać schodów prowadzących na górę, nie mówiąc o dalszej części sieni, do której miałem wejść. Zrezygnowałem z wejścia w dalszą, czarną część sieni i wyszedłem na ulicę. Długą chwilę stałem tam zastanawiając się, co począć dalej. Wydawało mi się, że nie pokonam panujących w sieni ciemności i cała impreza odbędzie się bez mego udziału. Jakaś jednak niepojęta siła kazała mi wrócić do tej ciemnej, odpychającej sieni z powrotem. Wszedłem więc i kiedy tak na początku sieni stałem, otworzyły się drzwi w mieszkaniu Gieni. Światło z mieszkania oświetliło sień i widać było, jak należy iść. Wszedłem do mieszkania, które składało się z kuchni i dość obszernego pokoju. Było tu już sporo osób, przeważnie z mojego najbliższego, szkolnego otoczenia, ale było też parę osób

nieznajomych. Szybko jednak atmosfera stała się bardzo przyjemna. Byliśmy młodzi, otwarci, przyjaźni do innych ludzi. Były kanapki, było wino, co kieliszku wódki, były tańce. Były śpiewy, a śpiewało się wtedy modne w owym czasie piosenki. Była więc:

Głęboko studzienka,
Głęboko kopana,
A przy niej Kasieńka,
Jak wymalowana.
Przy studziencie stała,
Wodę nabierała,
O swoim Jasieńku
Kochanym myślała.

Były też, najmodniejsze wtedy, dwie piosenki:

Tam za górą jest granicą,
Na granicy jest strażnica.
W tej strażnicy, na grynicy,
Żołnierz pisze list.

Tego listu wszystkie treści
W tej piosence żołnierz zmieścił
I powstała tak piosenka,
Której refren brzmi:

Gdzieś za lasem, za mgłą
Jest rodzinny mój dom,
Tam dziewczyna ma śpi,
W mej rodzinnej wsi
Gwiazdy gaszą swój blask,
Bo już budzi się brzask,
Gdy ty śpisz, kraju strzeże ktoś tu,
By cię nikt nie zbudził ze snu.

oraz druga:

Gra i śpiewa bosman młody,
Witar go smaga w twarz,
Szumią fale wielkiej wody,
Płynie okręt nasz
Hej bosmanie, młody bosmanie,
Porzuć smutek, wesoło graj,
Kiedy ranne słońce wstanie,
Wtedy ujrzysz ojczysty kraj

Śpiewy i tańce trwały do rana. Było bardzo miło i przyjemnie.

Rano, rozstając się, umówiłem się z Gienią na spotkanie. I tak się zaczęło to, co miało trwać całe życie. Przed przeznaczenie nie obroni nawet odstmaszająca, ciemna czeluść obcej sieni...

Tymczasem na Uczelni, w Kraju i na świecie, życie szło na przód. Działy się przeróżne rzeczy. W Związku Radzieckim obradował XIX Zjazd KPZR, gdzie nie milkły "burnyje apładizmenty" na cześć "genialnego wodza ludzkości", "obroncy i chorążego pokoju", tego, co to "...leninowski sztandar walski podjął"...". Propaganda zachłystywała się, nie szczędząc superlatywów, komentując epokową pracę Stalina na temat językoznawstwa. W Kraju radio i prasa informowały o setkach toczących się procesów "wrogów ludu", o karach wieloletniego więzienia, o karach śmierci - skóra cierpła na plecach. A na Uczelni? Na Uczelni ta wielka polityka nie wpływała wprost na to, co się tu działo. Praktycznie partie i ZMP przestały w szkole działać, instytucje te przeniosły się prawie całkowicie do zakładów pracy, to znaczy tam, gdzie pracowali studenci. Jediną organizacją skupiającą wszystkich studentów było ZSP. Po wyrzuceniu z Uczelni Edzia Falkowskiego, stanowisko przewodniczącego ZSP objął Czesio Przybylski. Odszedł, bo musiał, Bogdan Jeżykowski. Arkadiusz Antonowicz został sekretarzem partii w Fabryce Przyrządów i Uchwytów, gdzie aktualnie pracował i tam "politycznie" się wyżywał. ZSP więc, pod kierownictwem Czesia Przybylskiego prowadziło pracę daleką od polityki. Z perspektywy czasu patrzac wydaje się, że my, młodzi, prowadziliśmy pracę organizacyjną daleką od polityki (legitymacje, znaczki, pieczątki, pisemka w jakichś socjalno-bytowych sprawach, a starsi koledzy, obarczeni obowiązkami rodzinnymi, nie angażowali się, ale też i nie przeszkadzali nam.

Semestr piąty zaliczyłem w terminie. Miałem tylko jedno, jak się później okazało jedyne w czasie studiów, spotkanie - oblałem u pana Nikitina kolokwium z "narzędzi". Przeżyłem to ogromnie. Materiał znałem, byłem przygotowany i miałem też praktyczny pogląd na narzędzia, który zdążyłem już wyrobić w Fabryce. Nie mogłem dogadać się z panem Nikitinem na temat łamaczy wiórów stosowanych w nożach tokarskich. Wydawało mi się że egzaminator nie chciał po prostu mnie zrozumieć i wysłuchać do końca. Pan Nikitin słynął z tego, że wielu kolegów musiało powtarzać u niego egzaminy lub nawet zdawać egzaminy komisyjne. Ostatecznie kolokwium to, za "drugim podejściem", zdałem. Pozostałe kolokwia zdałem w terminie i bez przygód, a były to "przyrządy i uchwyty", "opracowania fabrykacyjne" i "pasowania i sprawdziany". Z egzaminami też nie miałem żadnych kłopotów. Poza "podstawami marksizmu" i "termodynamiką", o których już była mowa, zdałem "obrabarki do metali", "elektrotechnikę" oraz "podstawy metaloznawstwa i obróbki cieplnej." 13 lutego otrzymałem wpis na semestr szósty.

Na semestrze szóstym kontynuowane były: "obrabarki do metali", "przyrządy i uchwyty", "narzędzia" i "opracowania fabrykacyjne". Dodatkowo doszły: "ekonomia przemysłowa", prowadzona przez pana Henryka

Smaczego, "kalkulacja warsztatowa" przez pana Sergiusza Nikitiha, "metalografia" przez pana Jana Zubaczka oraz "projekt przejściowy" z budowy obrabiarek wykonywany pod kierunkiem pana Mariana Firka.

W Fabryce, po przejściu po krótkim pobycie z Narzędziowni do Biura Konstrukcyjnego, zechciałem naprawdę uczyć się praktycznie zawodu. Do podjęcia tego rodzaju pracy nie miałem dostatecznego przygotowania. Co prawda rysunek techniczny miałem zaliczony i to nieźle, ale przyrządy i uchwyty, obrabiarki, narzędzia, sprawdziany - to były zagadnienia, o których dopiero zaczynałem na wykładach coś słyszeć. Było to o wiele za mało, żeby można było świadomie i odpowiedzialnie konstruować pomoce warsztatowe. Starłem się jednak. Miałem zawsze oczy szeroko otwarte, obserwować, podpatrywać i korzystać chętnie z udzielanych praktycznych rad pana Niemiry.

Pierwszy uchwyt, jaki dostałem do skonstruowania, był to uchwyt wiertarski do wiercenia otworów w cylindrze pneumatycznym do uchwytów tokarskich. Fabryka przygotowywała się wtedy do podjęcia tego rodzaju produkcji. Uchwyt ten jednak nigdy w metalu nie został wykonany - wstrzymano przygotowanie tej produkcji. Produkcję cylindrów pneumatycznych Fabryka podjęła po kilku latach, ale wtedy stare opracowania były nieaktualne.

Zaraz potem otrzymałem zadanie skonstruowania uchwytu frezarskiego do frezowania zespołem frezów stopni ^{niemi} w szczękach do czteroszczękowego uchwytu tokarskiego. Pan Niemira powiedział mi, pokazując dokumentację już opracowaną ^{wcześniej} do takiej samej operacji dla dla szczęk do uchwytu o średnicy 200 milimetrów.

- Tadzium, skonstruuj taki sam uchwyt do frezowania stopni w szczękach do uchwytu o średnicy 630 milimetrów -.

Polecenie to zrozumiałem dosłownie. Obliczyłem, ile razy szczęka od uchwytu 630 jest większa od szczęki od uchwytu 200 i wszystkie wymiary wzorcowego uchwytu pomnożyłem przez uzyskany w ten sposób współczynnik. Skonstruowałem ogromny uchwyt, o wymiarach przekraczających prawie obrabiarkę. Wykonałem poprawnie rysunki wszystkich składowych części, a podstawowym elementem był potężny żeliwny korpus. Nie miałem wtedy żadnego wyczucia i nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Wykonane przeze mnie rysunki były następnie sprawdzane przez pana Zubaczka. Rysunki były wykonane poprawnie, wymiarowo też wszystko się zgadzało. Pan Jan, po analizie rysunków, powiedział:

- Panie Tadzium, wydaje mi się, że ścianki korpusu są trochę za grube. Może tak trochę je pocienimy? -

- Jeżeli pan tak uważa, to trzeba tak zrobić - odpowiedziałem. Pan Jan grubościowe wymiary korpusu pozmniejszał, złożył swój podpis na rysunkach w rubryce "sprawdził" i uchwyt został przekazany do Narzędziowni, do wykonania w metalu. Tam wykonano wszystkie stalowe elementy, a żeliwny korpus zamówiono w odlewni. Pna Adamski wykonał drewniany model. Rysunek był wykonany dobrze, bo nie musiałem udzielać żadnych wyjaśnień. W odlewni korpus zaformowano, wykonano odlew i poinformowano o tym Narzędziownię. Wtedy bomba pękła. Odlew ledwie mieścił się na obszernym wozie Falkowskiego!

Nie spodziewałem się żadnej bury, zdziwił mnie więc bardzo krzyk, z jakim wpadł do naszego Biura Edzio Czajkowski. Krzyczał:

- Co za kurwa konstruktor! -.

Tego, co dalej mówił lepiej nie powtarzać, brzmiało to bardzo wulgarnie, Mimo woli wyjrzałem przez okno. Na podwórzu stał obok swego zaprzęgu roześmiany od ucha do ucha Falkowski, a na wozie leżał ogromny odlew żeliwny. Kształtem swoim - o dziwo! - przypominał niedawno skonstruowany przeze mnie korpus uchwytu do frezowania stopni w szczękach.

Ale, żeby to było aż tak monstrualnie duże?! - pomyślałem. To przecież niemożliwe! -

Niestety, to była prawda. To było moje dzieło. Pomyślałem przerażony, że to mój koniec. Wyrzucą mnie, wyśmieją, albo jeszcze gorzej i koniec mojej, jeszcze na dobre nie zaczętej, kariery.

- Pod lipę go i do żeliwniaka! - ktoś krzyczał.

Wydarzenie to przeżyłem ogromnie. Cała sprawa jednak "rozeszła się po kościach". Nie wiem, gdzie i jak pan Niemita tłumaczył się oraz co i gdzie o mnie mówiono. Dla mnie wydarzenie to utkwilo głęboko w pamięci. Sporo dokonałem na tym tle przemyśleń i wyciągnąłem wiele właściwych wniosków do konstruktorskiej pracy na przyszłość. Prawdą jest, że na własnych błędach człowiek uczy się najlepiej.

Były też i inne wydarzenia zawodowe, które w wyniku niewiedzy prowadziły do kłótni i nieporozumień. Konstruowaliśmy kiedyś uchwyt do frezowania w trzpieniach do rozwertaków wybrań pod wpusty czółenkowe. Był to uchwyt, w którym mocowało się dwa trzpienie, a wybrania były frezowane specjalnym frezem teowym na frezarce pionowej. Była potrzeba ustawienia freza na odpowiednim poziomie. Niemira zdecydował, że w uchwycie tym zastosujemy wstawiak narzędziowy. Długo dyskutowaliśmy nad tym wstawiakiem. Był to pierwszy wstawiak w ogóle w Fabryce, ale nieskomplikowane i proste - co prawda obliczenia, jakie trzeba było przeprowadzić były w na-

szych warunkach jak gdyby obliczeniami wzorcowymi. Stąd, ze względów dydaktycznych, Niemira, ze szczególną wnikliwością zagadnienie to potraktował. Uchwyt w narzędziowni wykonano w metalu, szczególnie dokładnie wykonano ~~wstawiak~~, gdzie trzeba było, jak to Edzio Czajkowski określał, "łapać mikrony". Gotowy uchwyt wzięto na produkcję, gdzie podsumowano to nasze najnowsze osiągnięcie techniki:

- Co to za patent sterczy? Do czego ta płytką? Obciąć to kurestwo palnikiem i już! - krzyczał któryś z szefów.

Nic nie zapowiadało wielkich wydarzeń, które nadciągały. Już funkcjonowała nowa, ~~ustawa~~ uchwalona w 1952 roku Konstytucja PRL, wieś coraz bardziej była zmuszana do kolektywizacji, toczyły się procesy polityczne i ogłoszono wyroki, mówiono i pisano o jakichś "odchyleniach nacjonalistyczno-prawicowych". Powstały nowe określenia "gomułkowszczyzna" i "spychalszczyzna". W Związku Radzieckim odbył się XIX Zjazd KPZR, ogłoszono "genialne" prace Stalina. Wszystko to przygniatało swoim ogromem. Zdawało się, że tak to już zostanie na zawsze, że nie ma na świecie siły, która byłaby w stanie przeciwstawić się temu "imperium szatana", jak to ktoś po latach nazwie. Gdzieś w głębokiej świadomości czułem, że jednak tak nie może być, coś musi się stać, coś pęknąć, coś się zmienić. Ale co, jak, kiedy?

Nagle podano do wiadomości, że Stalin zachorował. Podawano komunikaty o jego stanie zdrowia. Nie miałem radia i nie mogłem śledzić tych komunikatów. Stalin zmarł 5-go marca 1953 roku. Nie wiem, kiedy ten fakt podano do wiadomości. O śmierci Stalina dowiedziałem się rano w drodze do Fabryki. Na ulicy Łąkowej, tuż przed wejściem do portierni spotkałem znanego w Fabryce, bardzo czynnego aktywistę ZMP, Stasia Szymańskiego, który powiedział:

- Stało się, radio podało rano, że zmarł -

Nie mówił kto, ale to przecież było jasne, chodziło o Stalina. Ogarnęła mnie ogromna radość. Oczywiście robiłem wszystko, żeby nie uzewnętrznić swego uczucia. Stasio natomiast mówił to tak beznamiętnie, normalnym głosem, a na jego twarzy zaobserwowałem nawet ironiczny uśmiešek. Czyżby i on też się cieszył? - pomyślałem.

Nie pamiętam już dzisiaj, jak organizowano w Fabryce żałobne obchody. Wiem tylko, że Buniakowa chodziła po Fabryce zapłakana, ona chyba rzeczywiście przeżywała tę śmierć. Pamiętam natomiast wiec żałobny, jaki odbył się na Plantach przy poszniku "wdsiędźności". Wiec ten odbył się chyba w godzinach popołudniowych. Na Plantach wielu ludzi, zakłady pracy, organizacje, szkoły. Ja byłem w grupie studen-

tów WSI - wykłady oczywiście były wtedy zamieszone. Staliśmy w dwusze-
regu, niedaleko pomnika. Była odwila. Staliśmy w mokrym błocie. Na no-
gach miałem dziurawe buty, a wełniane skarpetki, w których byłem, nasią-
kły do kostek wodą. Z rozstawionych megafonów płynęła żałobna muzyka,
jakieś przemówienia. Dzisiaj już nie pamiętam, czy była to jakaś ża-
łobna uroczystość lokalna, czy też transmitowana z Warszawy, a może
z Moskwy żałobna parada.

Uroczystości żałobne trwały kilka dni. W dniu pogrzebu, w połud-
nie czasu moskiewskiego, a o godzinie dziesiątej naszego czasu, wszyst-
kie zainstalowane w mieście syreny przez pięć minut miały być włączone.
Praca na ten czas miała być przerwana, a wszyscy ludzie mieli stać
w milczeniu na baczność. W tym czasie byłem ze wszystkimi współpraco-
wnikami w Biurze Konstrukcyjnym. Nadeszła właśnie godzina dziesiąta.
Włączone w całym mieście wszystkie syreny połączyły się w jeden przeje-
mujący, przeraźliwy dźwięk. Niemira wstał z krzesła i przyjął postawę
zasadniczą. My wszyscy poszliśmy za jego przykładem. Pan Zubaczek stał
przy oknie i obserwował puste w tym czasie podwórze Fabryki. W pokoju
panowała cisza, tylko w uszy wwierzał się zespołowy jęk syren. Nagle
usłyszeliśmy głos Zubaczka, który, cedząc powoli poszczególne słowa,
mówił:

- To jest pogrzeb? Panowie, to jest pogrzeb? Przed wojną,
jak zmarł Piłsudski, to był pogrzeb! Cała Polska płakała! -
Długą chwilę potem panowała cisza, nikt nic nie mówił. Wreszcie do Zu-
baczka przyskoczył Ściepuk. Wydawało się, że za chwilę chwyci go za kla-
py i zduszonym głosem człowieka bardzo zdenerwowanego zacharczał:

- Panie Zubaczek! To pan taki?! -

Z drugiej strony Zubaczka znalazł się zaraz Gierdo z krzykiem:

- Zubaczek! Co pan?! -

Zubaczek nie tracił rezonu. Zaczął tym aktywistom ZMP dowodzić, że oni
są młodzi i nie pamiętają, jak to było, ale on dobrze pamięta, jak wte-
dy wszyscy ludzie płakali. A dzisiaj po Stalinie kto płacze? Chyba ta-
cy, jak Buniakowa i to nie wiadomo, czy szczerze. Tłumaczenie Zubacz-
ka jeszcze bardziej rozwścieczyło szczególnie Ściepuka, który w złości
obiecował, co to on Zubaczkowi zrobi.

Postępowanie Zubaczka graniczyło z szaleństwem. Wreszcie syreny
umilkły, Niemira wezwał wszystkich do pracy. Każdy zajął swoje miejsce.
W Biurze zaległa denerwująca cisza. Pomyślałem sobie:

- No, panie Janie, "naputałeś" sobie biedy i po co ci to było?

Nie wiadomo, czym to się skończy -

Skończyło się niczym, po prostu "rozeszło się po kościach."
Ściepuk do sprawy, przynajmniej na terenie Biura, nie wrócił, Zubaczek
też, tym bardziej nikt z nas nie śmiał o incydencie przypominać.

A mogło być bardzo źle, wtedy nie było żartów.

Stalin został pochowany. Zajął, jak się potem okazało na krótki czas, "poczesne" miejsce obok Lenina. Odprawione zostały wszystkie partyjne "egzorcyzmy" pogrzebowe, życie, po krótkich wstrząsach i "atrakcjach" z tym wydarzeniem związanych, wróciło do normalności. Co prawda ta "normalność" była niezupełnie normalna. Ludzi ogarnęła taka indywidualna i kolektywna, można rzec, schizofrenia. Śmierć Stalina spowodowała, że to społeczne schorzenie zaatakowało ze wzmożoną siłą. Atak miął, ale schorzenie trwało i nadal czyniło spustoszenie. Trzeba było jednak w tej "normalności" żyć możliwie normalnie, pracować, uczyć się i mieć nadzieję, że ten koszmar minie i kiedyś będzie się to wszystko wspominało jak zły sen. Trzeba przyznać, że wtedy nadziei nie straciłem. Wierzyłem, wręcz byłem pewny, że tak będzie. Wtedy jeszcze wierzyłem i byłem pewny. Miały jednak potem przyjść lata, w których straciłem wszelką nadzieję, zwątpiłem i usiłowałem znaleźć jakiś "modus vivendi" w tej utrwalonej i nie do zwalczania rzeczywistości, jaka później nastąpiła. Ale to już późniejsze czasy.

Tymczasem praca w Fabryce bardzo mi odpowiadała. Uczyłem się dużo praktycznie. Tu bowiem byłem w samym centrum, chciałoby się powiedzieć, w samym "ognisku" zawodu, do którego się przygotowywałem. Konstruowałem pomoce warsztatowe, wykonywałem rysunki rzeczy, które natychmiast były wykonywane w Narzędziowni w metalu. Mogłem więc, wręcz musiałem pilotować ich wykonanie, uzupełniać ewentualnie rysunki, wstydię się, kiedy było coś źle, cieszyć się, kiedy było dobrze. Widziałem następnie, jak moje "dzieła" zdawały egzamin w praktyce. To była wspaniała praktyka. Wtedy nauczyłem się najwięcej.

W Biurze panowała dobra atmosfera. Przede wszystkim pan Niemira nie szczędził czasu i wysiłku, żeby nas, młodych ludzi, "przysposobić" do zawodu. "Setnym" kumplem do żartów, często nawet frywolnych, okazał się pan Zubaczek. Włączał się do rozmów z nami, nawet nieraz na tematy "spróbne", a nawet polityczne - kiedyś zaoferował mi stanowisko gubernatora Litwy.

- Wie pan, jak my to wszystko zwalczymy, wtedy będziemy dzielić się stanowiskami - powiedział.

Najgorzej było wtedy, jak Niemira gdzieś wyjeżdżał i wszystkim nam ogłaszał oficjalnie, że Zubaczek go zastępuje. Wtedy pan Jan zmieniał się całkowicie. W czasie pracy można było z nim rozmawiać tylko służ-

bowo. Pędził do pracy i kontrolował na bieżąco jej postępy. Tylko Jurk Senk podejmował z Janem dyskusję, która najczęściej kończyła się awanturą. Jan wtedy bardzo poważnie obiecywał Jurkowi różne groźne rzeczy, ale zawsze wszystko to następnego dnia szło w niepamięć. Myśmy wszyscy siedzieli cicho i nie brali udziału w tych słownych "Przeciągankach".

Nasi dwaj ZMP-owscy aktywiści stanowili swego rodzaju atrakcję. Dzięki Ściepukowi i jego udziałowi w różnego rodzaju "gremiach", wiedzieliśmy, co się w Fabryce dzieje. Trzeba przyznać, że nie należał on do ludzi lubiących trzymać język za zębami. Gierdo natomiast był człowiekiem naiwnym i dawał się "podpuszczać", szczególnie w sprawach tak zwanych "sercowych". Jurka Senka, jako starszego i bardziej "obytego" uważał za eksperta w tych właśnie sprawach. Jurek Senk udzielał na przykład Gierdo porad, jak ma "uderzyć" w konkury do dziewczynki, która sprzedawała w kiosku przy Rynku Kościuszki - dziewczynka ta bardzo się mu podobała i zwierzał się, że nie może jej sobą zainteresować. Najlepsze jednak były listy pisane przez Senka, które następnie Gierdo miał wręczyć Kajdanowskiemu z prośbą o przekazanie ich swojej córce, która była studentką Akademii Medycznej, a do której Gierdo, zachęcony przez nas, zamierzał "uderzyć w konkury".

- Jurek - mówiliśmy mu - nie miej żadnych kompleksów. Każde wykształcenie blednie wobec stanowiska "konstruktor", które ty piastujesz i to w takiej poważnej Fabryce. Wal jak w dym! - Jurek Senk pisał Jurkowi Gierdo listy do córki Kajdanowskiego używając obco brzmiących słów, których znaczenia Gierdo nie rozumiał, a które były stosowane w tekście bez sensu. Gierdo listy te przepisywał, a następnie wszyscy układaliśmy przemówienie, jakie wygłosi on wręczając list dyrektorowi.

W szkole semestr szósty dobiegł tymczasem końca. W czerwcu uzyskałem wszystkie obowiązujące zaliczenia i zdałem egzaminy. Na jesień pozostał mi tylko projekt przejściowy wykonywany pod kierunkiem pana Firka. Projekt ten, którego temat brzmiał "Wykonać projekt tokarki specjalnej do obróbki tulei z kołnierzami na panewki wylwane białym metalem". Tutaj następowały dalsze informacje o przedmiotach obrabianych oraz był podany zakres prac, jakie należy w ramach projektu wykonać. Ustalony początkowo termin wykonania tej pracy na 30 czerwca 1953r. został przesunięty i ostatecznie pracę tę zaliczyłem 9 listopada tego roku. Pracę tę wykonywałem wspólnie ze Stasiem Ziębińskim, z tym, że Stasio projektował napęd główny, ja natomiast napęd posuwów. Na poddaszu budynku przy ulicy Białej urządzono nam kreślarnię. Ustawiono stoły kreślarskie, gdzie mogliśmy pracować. Gros prac nad tym projektem wykonałem już po wakacjach.

Egzaminy na zakończenie semestru szóstego niczym szczególnym się nie wyróżniały. Jedyne było trochę atrakcji na egzaminie z "opracowań fabrykacyjnych". Zdawał właśnie egzamin Sergiusz Szulżyk. Materiał znał, dobrze mu szło. Ostatnie pytanie, które Niemira zadał dotyczyło prac, jakie należy wykonać w trakcie przygotowywania uruchomienia produkcji, aby zapewnić jej normalny, płynny przebieg. Wtedy, kiedy wydawało się, że Niemira poprosi o indeks i wpisze co najmniej czwórkę, a Segiusz był tego pewny, Niemira zapytał:

- I co jeszcze? -

Szulżyk, utrzymując dobry nastrój, odpowiedział:

- No i jeszcze należy chyba zabezpieczyć produkcję od gradobicia -.

Niemira, jak rażony piorunem, chwycił indeks i wpisał dwóję! Kiedy Szulżyk zorientował się, co się stało, złapał indeks i pobiegł z nim do rektora Białkowskiego. Wezwano tam zaraz Niemirę. Nie wiem, jak przebiegała rozmowa. Po pewnym czasie wyszedł Szulżyk, był cały purpurowy. W indeksie, obok przekreślonej dwójki, stała napisana ręką Niemiry trójka. Szulżyk był, co prawda nieszkodliwym dla nas, ale jednak działaczem partyjnym, a to się w takich sytuacjach liczyło. Zrozumiał go stary partyjniak Białkowski. Niemira był wtedy jeszcze bezpartyjny.

Po kilku latach incydent ten bardzo chyba złośliwie przypomniałem. Nie pracowałem już wtedy w Fabryce. Szulżyk był dyrektorem naczelnym Fabryki, a Niemira jego zastępcą do spraw technicznych. Pracowałem wtedy na pełnym etacie w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej. Niemira też w dalszym ciągu tam pracował, a Szulżyk na godzinach zleconych prowadził ćwiczenia z wytrzymałości materiałów. Właśnie wieczorem, po zajęciach, wracaliśmy ze szkoły. Obaj moi towarzysze rozmawiali o kłopotach, jakie aktualnie mieli z nowo uruchamianą produkcją. Ja udziału w rozmowie nie brałem. W pewnym momencie powiedziałem:

- Panowie, ja wiem, dlaczego macie kłopoty -

- No, Tadziu, powiedz - odezwał się Niemira.

Po chwili ciszy odpowiedziałem:

- Bo wy, panowie, produkcji nie zabezpieczacie od gradobicia -.

Zaległa grobowa cisza. Szliśmy długą chwilę w milczeniu. Doszliśmy do miejsca, w którym rozstały się nasze drogi. Powiedziałem - dobranoc - i poszedłem w swoją stronę. Niemira i Szulżyk poszli dalej. Nie wiem, jak się rozstali. Niemira bardzo krótko był dyrektorem technicznym, odszedł w ogóle w Fabryki.

Dla porządku chciałem odnotować, że na zakończenie semestru szóstego, w czerwcu 1953 roku, zdałem dwa kolokwia, a mianowicie: -"kalkulacje warsztatowe" u pana Nikitina i "ekonomika przemysłowa"

u pana Smacznego oraz pięć egzaminów, to znaczy, poza "opracowaniami fabrykacyjnymi", o których już była mowa, "obrabiarki do metali" i "przrzędy i uchwyty" u pana Firka, "narzędzia" u pana Nikitina i "metalografia" u pana Zubaczka.

Przyszło lato, a z nim wakacje w szkole. Ja jednak pracowałem i dla mnie wakacje ograniczyły się do jednego miesiąca urlopu. W tym mniej więcej czasie zmieniłem mieszkanie. Już nie pamiętam, z jakich powodów - chodziło chyba o to, że z Dobrej było daleko do Gieni, na ulicę Świętego Rocha, która już wtedy nazywała się Manifestu Lipcowego. Zbyszek Puchalski zaproponował mi zamieszkanie razem z nim w mieszkaniu przy ulicy Świętego Rocha 7^C. Było to mieszkanie położone w budynku znajdującym się w podwórzu posesji pod numerem siedem - od ulicy stał tutaj dom kilkupiętrowy, w którym, na poddaszu, mieszkała ~~ciotka~~ ^{siostra} Zosi Bukowskiej z rodziną, u której kiedyś obchodziliśmy imieniny Zosi.

Mieszkanie, w którym zamieszkałem wspólnie ze Zbyszkiem, należało do niejkiej pani Wali, osoby samotnej, w "oleciwym" już wieku. Zajmowaliśmy pokój, przez który wchodziło się z kuchni do pokoju pani Wali. Na piętrze-poddaszu, nad nami, mieszkał ktoś, kto "namiertnie" słuchał zakazanej rozgłośni "Radio Wolna Europa". Zawsze rano, wybierając się do pracy, mieliśmy okazję wysłuchać najświeższych wiadomości pochodzących z tamtej strony "żelaznej kurtyny". Czasem jakaś nadawana piosenka wprowadzała nas z samego rana w dobry nastrój. Śpiewał tam, między innymi, piosenkarz o nazwisku Jabłoński. Był to chyba tenor - głos, który bardzo mi się podobał. W jego wykonaniu można było usłyszeć na przykład:

- Gdy ci się jakaś przypomni piosenka
To już będzie cię gnębić co noc
I choć nie chcesz, to musisz pamiętać...

W lipcu Gienia wyjechała do Szczecina, gdzie została skierowana przez szkołę, w której wtedy pracowała, na kurs organizatorów pracy świetlicowej w szkole. W połowie sierpnia odwiedziła mnie Mama. Przyjechała w sobotę, przed odpustem Św. Rocha, było to więc w okolicach szesnastego sierpnia. W tamtych czasach, w Białymstoku, obchodzono bardzo uroczysto i "szumnie" odpusty Św. Rocha. Była to uroczystość prawie na miarę wileńskich "Kaziuków". Do miasta, już poprzedniego dnia, zjeżdżało z całej okolicy sporo gości, a w każdym prawie domu, po odpustowych nabożeństwach i nieszporach, odbywały się huczne przyjęcia.

Mama, jadąc do mnie, trafiła właśnie mimo woli na taki "odpustowy" tłok. Czekaliśmy z Gienią na dworcu na przyjeżdżający wieczorem pociąg z Grajewa, którym Mama miała przyjechać. Pociąg przyjechał

z dużym opóźnieniem i wśród przyjeżdżających niestety Mamy nie odnalazłem. Dowiedzieliśmy się natomiast, że przyczyną opóźnienia pociągu był fałszywy alarm wszczęty przez jakichś chuliganów w Starosielcach o pożarze pociągu. W wyniku tego alarmu część pasażerów w pośpiechu z pociągu wysiadła. Powiedziano nam, że byli i tacy, którzy po opanowaniu sytuacji nie zdążyli wsiąść do pociągu przed jego odejściem. Chwyciłem więc taksówkę i pojechaliśmy do Starosielc. W połowie drogi między Białymstokiem a Starosielcami, na szczęście, w świetle reflektorów zauważyłem Mamę. W takich to okolicznościach Gienia poznała swoją przyszłą teściową.

W końcu sierpnia byliśmy jeszcze z Gienią w Bargłowie. Jakiś wyjazd do Augustowa, kajakowa wycieczka po Hecku i Białym. Odwiedziliśmy też tereny, gdzie w 1947 roku byłem na obozie harcerskim. Spacer po mieście, wycieczki rowerami do lasu. Wszystko to szybko minęło, urlop skończył się i trzeba było wracać do Białegostoku do pracy i szkoły.

W Fabryce czekały mnie normalne obowiązki zawodowe, które mi bardzo odpowiadały, nawet pulubiłem je. Czekały tutaj na mnie też inne obowiązki, które określało się mianem "społeczne", do których wciągał mnie Sciepek. Widział we mnie działacza ZMP i koniecznie chciał ze mnie zrobić działacza partyjnego. W jego ocenie miałem ku temu wszelkie predyspozycje. W jakiejś opinii, którą mi pokazał, a którą napisał w związku z przekazaniem mnie do partii, napisał między innymi: "... bardzo zdolny, chętnie pomaga młodszym kolegom, marksizm zna doskonale...". Nie miałem odwagi wycofać się z tego wszystkiego. Brnąłem więc dalej. Wiedziałem, że to moje "brnięcie dalej" nie przynosi nikomu krzywdy. Takie są czasy - chodzi tylko o to, aby nie przekroczyć dopuszczalnych granic. Ale gdzie są te granice?

Byłem w tym czasie członkiem zarządu ZMP w Fabryce - tak przynajmniej wynika ze strzępów notatek, jakie odnalazłem w swoich "szpargach". Oto zapisany moją ręką brudnopis protokołu z zebrania zarządu ZMP przy PPIU z dnia 8.09.1953 r.oku. Na zebraniu tym byli nieobecni: Prokopowicz Marian, frezer z narzędziowni, który kilka lat później ukończył WSI oraz Borysiewicz - szlifierz z narzędziowni, który, o ile pamiętam, był absolwentem tak zwanego "Technikum dla Wysuniętych" - byli tam kierowani politycznie zaangażowani, przedujący pracownicy i po krótkim okresie nauki otrzymywali tytuł technika. Zebranie to było prowadzone oczywiście przez Sciepuka i było poświęcone planowi pracy na czwarty kwartał. Zadania były "ostre". Zarząd miał obradować 11 razy, ogólne zebrania wszystkich członków miały być przeprowadzone cztery razy i miała odbyć się jedna masówka. Tematyka tych zebrań to, przede wszystkim, rozbudowa organizacji, szkolenie, przekasanie członków ZMP

do partii, prenumerata czasopism, praca kulturalno-oświatowa, sport, organizacja brygad młodzieżowych, współzawodnictwo itd. Jeszcze kilka nazwisk ludzi odpowiedzialnych: sport - Rosiewicz /oczywiście junior/, kultura i oświata - Dankowski, brygady - Koszałkowski, szkolenie - Matwiejuk Eugeniusz, kolportaż - Praga Jan, propaganda - Szafara, a Brygady młodzieżowe mieli zorganizować: na ~~w~~ wiertarkach - Matwiejuk, na rewolwerówkach - Poziemski, na tokarkach - Bujnowski i Sulima, w Harzędziowani - Borysiewicz. Ponadto na zebraniu tym omawiana była "sprawa "Kiersnowskiego Edwarda" i Surowca Jerzego, którzy "na ulicy bili w mordę", ale kogo i za co oraz jak zostali ukarani, tego w protokóle nie zanotowałem. I jeszcze na zakończenie: "Wróblewski Eugeniusz spóźnił się 26 sierpnia o 1 godzinę, Rogacz 19 wyszła z Fabryki. Podanie do Działu Kadr, aby udzielić Zielińskiej nagany za niestawienie się na chór. Zawaliła ona też TPPR. Dać upomnienie i umieścić w Błyskawicy". Zanotowałem także "koniec godz. 17¹⁵".

Jaka była realizacja tych wszystkich zaplanowanych zamierzeń nie wiem. Wydaje mi się jednak, że w tych czasach na pytanie:

- Ja planuję, ty planujesz, on planuje, my planujemy... -
jaki to jest czas? -

należało odpowiedzieć:

- Daremnie stracony -

W tym czasie w Fabryce były organizowane narady techniczno-ekonomiczne. Związek zawodowy i partia patronowały tym naradom. Byli na nie zapraszani wszyscy kierownicy, mistrzowie, brygadziści, cały fabryczny "aktyw". Musiał być każdy, kto chciał w Fabryce coś znaczyć i osiągnąć jakieś zaszczyty. Omawiano realizację planu produkcji, mówiono o trudnościach i kłopotach, usiłowano ustalić przyczyny niepowodzeń. Czasem narada taka przekształcała się w jedną wielką kłótnię. Nikt do niczego nie chciał się przyznać, każdy szukał winy u kogoś innego - nie było nikogo, kto stuknąłby pięścią w stół i swoim autorytetem rozsądził sprawy, które w większości można było jednoznacznie wyjaśnić. Tak te właśnie narady zapamiętałem. Na zakończenie każdej narady zabierał głos Kajdanowski. Mówił zawsze długo, głośno i o niczym. W jego wypowiedzi przewijało się: "spinpongować", "aragować", "bojowa załoga", "socjalistyczne współzawodnictwo" itd. itd. Lubiłem nawet te przemówienia Kajdanowskiego. Nic absolutnie z nich nie wynikało, ale traktowałem je, jako część rozrywkową narady. Wyobrażam sobie, jak musiał czuć się pan Poniatowski zmuszony do słuchania takiego nic nie znaczącego, okropnego "bełkotu".

XIII. WIELKI FINAŁ

W szkole wakacje skończyły się i w październiku rozpoczęły się zajęcia na siódmym, ostatnim już, semestrze, moich inżynierskich studiów. Byłem więc studentem IV roku. Wszystkie przedmioty obejmujące zasadniczą tematykę naszej specjalności mieliśmy za sobą. Przedmioty ostatniego semestru rozszerzały, jak gdyby, nasze wiadomości i były to: "bezpieczeństwo i higiena pracy", którą prowadził nowy na naszym terenie mgr Dominczak, prawnik z wykształcenia, oraz dwa przedmioty prowadzone przez pana Henryka Smacznego: "ekonomika i organizacja przedsiębiorstw" i "księgowość fabryczna". Pan Nikitin wystąpił z przedmiotem "gospodarka narzędziami i sprawdzaniami", pan Zubaczek omawiał "urządzenia hartownicze i obróbkę powierzchniową", a pan Zawodnik "encyklopedię silników i kotłów parowych". Byłem już bliski końca studiów. Ciągłe jednak podświadomie czegoś się obawiałem. Niby wszystko było w porządku, w szkole nie miałem żadnych "tyłów", w Fabryce miałem dobrą opinię i byłem tam zaangażowany społecznie. Jednak coś mnie niepokoiło. Z domu dochodziły niepokojące wieści o sytuacji Ojca, który miał kłopoty z ~~przez~~ pracą. Ojciec nie mógł na swoim terenie otrzymać żadnej pracy. Augustowscy działacze dbali o to, żeby Ojcu maksymalnie obrzydzić życie, a celował w tym, jak Ojciec wielokrotnie wspominał, Dobrenko. W nocy, niejednokrotnie, nachodzili Rodziców jacyś nieznajomi ludzie, przeważnie w mundurach, pytając to o drogę, to o kogoś, kto w Bargłowie nie mieszkał, to prosząc o podwiezienie gdzieś tam końmi. Wszystko to było bardzo denerwujące i wisiało nade mną jak miecz Demoklesa.

Życie jednak szło naprzód i brały górę zwykłe, proste, ludzkie prawa. Prawa natury, których nie mogły stłamsić żadne stalinowskie, bierutowskie, socjalistyczne schizofrenie i głupoty. Trzeba było żyć w miarę normalnie i nie tracić wiary w to, że zło, które ogarnęło świat przeminie, przyjdą normalne czasy i to, co teraz przeżywamy, będziemy wspominali jak zły, koszmarny sen. Z tego właśnie założenia

wychodząc, postanowiliśmy z Gienią się pobrać.

Zapisałiśmy się w kolejce w Urzędzie Stanu Cywilnego w Białymstoku i wyznaczono nam termin na 3 listopada 1953 r. Natomiast ślub kościelny w Gieni kościele parafialnym w Juchnowcu ustalono na 14 listopada tego roku. Mogliśmy sobie na to pozwolić, bo Gienia pracowała wtedy w dwóch szkołach, tzn. Zasadniczej Szkole Zawodowej i Technikum Mechanicznym, prowadząc zajęcia świetlicowe oraz miała samodzielne, jak na ~~nie~~ owe czasy duże, mieszkanie, gdzie po ślubie mogliśmy zamieszkać. Ja natomiast za kilka miesięcy miałem ukończyć studia inżynierskie, które ugruntować miały i tak niezłą moją pozycję w Fabryce, z którą zresztą chciałem związać swoje losy na długą przyszłość.

W dniu 3 listopada zwolniłem się z Fabryki na godzinę przed wyznaczonym czasem ślubu. Obowiązywały wtedy twarde rygory "socjalistycznej dyscypliny pracy". Pan Niemira wystawił przepustkę, trzeba było następnie uzyskać na niej akceptację dyrektora technicznego, zarejestrować swoje wyjście w Kadrach i dopiero wtedy można było przejść przez portiernię i opuścić Fabrykę. Kiedy zaszedłem do pana Poniatowskiego prosić o akceptację przepustki, w której był zapisany Urząd Stanu Cywilnego jako cel mojego wyjścia, zapytał on mnie:

- Kogo pan żeni? -

- Słbie - odpowiedziałem.

Poniatowski zdjął okulary, popatrzył na mnie z politowaniem i powiedział:

- Mężczyzna to tak jak ćma, leci na ogień, wie, że się spali, a mimo wszystko leci - .

Podpisał przepustkę, uścisnął następnie mi rękę i życzył wszystkiego dobrego, powodzenia na nowej drodze życia.

Świadkami na naszym cywilnym ślubie byli: Zbyszek Puchalski i pan Franio Czajkowski. Marynia i Franio Czajkowsy to starsze, bezdzietne małżeństwo, z którym Gienia była związana od ostatnich lat wojny. Wtedy to, jako dziewczynka, mieszkała u państwa Czajkowskich i uczyła się szyć. Pani Marynia była bardzo zdolną i cieszącą się wielkim powodzeniem krawcową. Po wojnie, ucząc się w Białymstoku, Gienia też mieszkała u państwa Czajkowskich, w międzyczasie rozszerzając i ugruntowując swoje krawieckie umiejętności.

Cała ceremonia odbyła się w jakimś wieloosobowym, obskurnym pokoju w Urzędzie Miejskim. Podpisałiśmy odpowiednie dokumenty, dostaliśmy odpisy aktów ślubu. Trochę to dziwnie wyglądało, bo tego "świeckiego" ślubu udzielała nam kobieta. Traktowaliśmy to jednak jako konieczną formalność, którą zgodnie z obowiązującym prawem należało wypełnić przed ślubem kościelnym. Po tej uroczystości poszliśmy do Gieni na mały poczęstunek. Były jakieś kanapki, na stole znalazła

się butelka wódki, z czego najbardziej zadowolony był pan Franio. Należał on bowiem do ludzi, którzy nigdy nie odmawiali kieliszka.

Ślub kościelny zaplanowaliśmy w sobotę, 14 listopada 1953 r. W kościele obowiązywał wtedy zakaz udzielania ślubów w sobotę. Chodziło o to, że goście weselni, po trwającym przeważnie do rana weselu, w niedzielę nie przychodzili na Mszę Św. Trzeba więc było na ślub w sobotę uzyskać indywidualną zgodę biskupa. Ordynariuszem diecezji w Białymstoku był wtedy, pochodzący w Wilna, arcybiskup Romuald Jałbrzykowski. Z polecającym listem od proboszcza w Juchnowcu, księdza Gogola oraz z załącznikiem w postaci banknotu o odpowiednio wysokim nominale, poszliśmy z Ojcem Gieni do Kurii Biskupiej, prosząc o audjencję u Jego Ekscelencji. Sprawę załatwił ksiądz w starszym wieku, który sprawował jakąś funkcję administracyjną w Kurii. Przed "oblicze" nie zostaliśmy dopuszczeni.

Ślub nasz odbył się zatem w sobotę. Był zwykły, szary, jesienny dzień. Starszym drużbantem na naszym weselu był Czesio Przybylski, a Grażyna - jego dziewczyna, późniejsza żona, w owym czasie studentką Akademii Medycznej w Białymstoku - była starszą drużną. Z Białegostoku do Juchnowca pojechałem wrza ze swoimi gośćmi, wśród których byli przeważnie koleżanki i koledzy z mojego najbliższego otoczenia. Pojechaliśmy samochodem, eksploatowanym wtedy w Polsce autobusem firmy "LEYLAND", wypożyczonym w Białostockim Oddziale Komunikacji Samochodowej, gdzie w owym czasie pracował Czesiek. Rodzice moi byli już w Juchnowcu.

Uroczystości w kościele odbyły się po godz. 15⁰⁰ i kiedy po ich zakończeniu przyjechaliśmy do Juchnowca, zapadł już zmierzch. Przyjęcie weselne odbyło się w domu Rodziców Gieni - "U Wawrenów", bo tak nazywano. W Juchnowcu było kilka rodzin Więskławów, nie wszyscy byli nawet kuzynami, więc po to, aby ich odróżniać, ponadawano przezwiska. Ojciec opowiadał, że któryś z antenatów miał na imię Wawrzyniec, stąd "Wawreny". Tańce były w położonej na końcu wsi remizie strażackiej. Goście weselni kursowali więc pomiędzy domem Rodziców a remizą. Zabawa trwała do białego rana. Potem zadbaliliśmy, żeby pójść do kościoła, bo taki między innymi był warunek przy udzielaniu zgody na ślub w sobotę.

Po południu jeszcze sproszone starszych sąsiadów, których też trzeba było ugościć.- taki był zwyczaj. A potem muzyka ucichła, goście rozjechali się, gwar umilkł, a my z Gienią zostaliśmy ze sobą związani na całe życie, na dobre i złe - jak później się miało okazać, bardziej na dobre niż na złe. Tak to się zaczęło i - dzięki Bogu - trwa do dziś.

Tymczasem w szkole, między cywilnym i kościelnym ślubem, zaliczyłem w dniu 9 listopada pracę przejściową. Przeprowadziłem konieczne

obliczenia kinematyczne i wytrzymałościowe, wykonałem kilka dużego formatu rysunków i praca była gotowa. Zaraz też otrzymałem temat pracy dyplomowej, którą miałem wykonać pod kierunkiem pana Firka. W odróżnieniu od pracy przejściowej, była to praca typowo technologiczna. Otrzymałem rysunki urządzenia z poleceniem opracowania procesów technologicznych poszczególnych części, opracowania kalkulacji dla wskazanych części, skonstruowania uchwytu, narzędzia, sprawdzianu dla wskazanych operacji. Moje, nabyte w Fabryce, doświadczenie zawodowe, podbudowane uzyskanymi w szkole wiadomościami teoretycznymi, stanowiło dostateczną podstawę do samodzielnego i poprawnego wykonania tej pracy.

Zajęcia na ostatnim, siódmym, semestrze zakończyły się na początku stycznia 1954 roku i do końca tego miesiąca wszystkie obowiązujące kolokwia i egzaminy zaliczyłem. Pozostało tylko zakończenie pracy dyplomowej i zdanie egzaminu końcowego.

Moja sytuacja w życiu prywatnym zmieniła się radykalnie na lepsze. Zamieszkaliśmy oczywiście w mieszkaniu Gieni, które stało się teraz naszym mieszkaniem. Ten ciemny, długi korytarz, który przed rokiem pokonałem z takim wysiłkiem, teraz nie stanowił dla mnie żadnej przeszkody. Odważnie i śmiało wchodziłem nim do swego mieszkania. W pokoju naszego mieszkania, na ścianie od strony sąsiedniej posesji, była wilgoć. Przyczyną tego był dosyć wysoko sięgający zwal ziemi. Pomiędzy tą ziemią a murem nie było żadnej izolacji chroniącej przed wilgocią. W rezultacie tego ściana była ciągle wilgotna, a przy dużych mrozach na zewnątrz, na pewnej wysokości tej ściany pojawiały się sopelki lodu, które błyszczały, szczególnie wieczorem w świetle elektrycznym. Od samego początku marzyliśmy o jakimś lepszym, większym, docelowym mieszkaniu. Dolegliwość tę traktowaliśmy jako przejściowe zło konieczne. Na brak węgla nie narzekaliśmy, paliliśmy więc w piecu ostro, ogrzewając w ten sposób mieszkanie. Nade wszystko jednak ~~grzała~~ ~~grzała~~ nas młodość. W domu było mi dobrze. Nie zauważałem chyba tych drobnych mankamentów. Na pochodzącej z tamtego okresu, pośliskiej kartce papieru, która zachowała się wśród moich "szpargałów", znajduje się taki oto, napisany przez mnie, wierszyk:

Za oknem pada śnieg dużymi płatami
I nastrojowo świszczę wiatr po drutach
W lesie czmycha zając wielkimi susami
Jakby był w długich, siedmiomilowych butach

Przez pola, od lasu, człapie straszne wilczysko
Idzie, jak w zwyczaju, do wsi na rabunek
Psy we wsi czują wilka bardzo blisko
I ujadają prosząc o ratunek.

Gdzieś w sosnowej dziupli tuli się wiewiórka
Gryzie orzechy, które w lecie zebrała.
Na gałązce siedzi otulona w piórka
Chroniąc się przed zimnem ptaszyneczka mała.

I my siedzimy przytuleni do siebie
Przy ciepłym piecu, na miękkiej kanapie.
Dobrze jest nam jakby w samym niebie
Rzęsistymi kroplami szczęście na nas kapie.

Tulimy się nie z zimna, bo piec nas ogrzewa
I nie dlatego, że nas zima chłodzi
Tulimy się dlatego, jak się w piosnce śpiewa,
"Że my się kochamy, wszak jesteśmy młodzi".

Ogarniała mnie wtedy chyba i jakaś melancholia, bo na innej kartce znajduję takie oto rymy:

Miło wspominać młode swoje lata,
Które minęły jako strzał armatni,
Co to wybuchnie i w niebo ulata,
By echem o sobie wspomnieć raz ostatni.

Szybko minęły i już nie powrócą
Dziecięce lata nad szemrzącą rzeczką.
I tylko wspomnienia miła piosnkę nucią
O dniach, które poszły gdzieś nieznaną steczką.

Ta "szemrząca rzeczką" to rzeczką, która przepływa przez moją rodzinną wieś Tobyłka. Rzeczką ta nazywa się Słuczka i wpada do jeziora Draństwo.

W marcu w szkole wizytował nas profesor Ludwik Uzarowicz z Politechniki Warszawskiej, były rektor Wawelberga. Miecio Gontarczuk powiedział z przestraczem:

- Tygrys przyjechał! -

Tygrys, nie wiem dlaczego tak nazywano profesora Uzarowicza. Miecio znał profesora z czasów, kiedy był studentem Wawelberga. Musiał tę Uczelnię opuścić, kto wie, czy Uzarowicz nie był tego przyczyną. Obleciał więc Miecicia strach - co to będzie, jak Tygrys go pozna? Niepotrzebnie się bał, takich jak on były pewnie setki. Dlaczego więc Uzarowicz miałby pamiętać Gontarczuka?

Wszyscy dyplomanci zebrali się w szkole, Uzarowicz oglądał każdego pracę przejściową oraz pracę dyplomową, określał jej stopień zaawansowania i termin, w jakim praca ta może być ukończona. Była to raczej wizytacja bardziej szkoły niż studentów. Chodziło tu pewnie też o ustalenie ~~egzaminu~~ terminu egzaminu dyplomowego. Potem Firek, komentując tę wizytę, powiedział nam, że Uzarowicz bardzo wysoko ocenił po-

ziom naszych prac. Powiedział też, że nasze prace nie ustępują tego rodzaju pracom dyplomowym wykonywanym na Politechnice Warszawskiej. Jakiegoś oficjalnego podsumowania przeprowadzonej przez profesora Uzorowicza ~~xx~~ wizytacji nie było.

W kwietniu szkoła zorganizowała dyplomantom Wydziału Mechanicznego wycieczkę techniczną. Chodziło o to, żebyśmy jeszcze przed dyplomem mogli zobaczyć "Wielki Przemysł". Trasa wiodła przez Warszawę na Śląsk. Pierwszy etap to "Ursus", potem Katowice, które wtedy nazywały się Stalinogród, jakaś huta i coś jeszcze, dokładnie nie pamiętam. Była to wycieczka kilkudniowa, po drodze nocowaliśmy w Warszawie i gdzieś na Śląsku, chyba w Katowicach.

Była to bardzo pożyteczna wycieczka i bardzo rozszerzyła moje "techniczne horyzonty". Wiele rzeczy, które znałem dotychczas tylko z lektury, zobaczyłem w naturze, o wielu rzeczach dowiedziałem się. Przy okazji była też i "część rozrywkowa". Jak zwykle w grupie razem jadących ludzi młodych szczególnie, a takimi wtedy byliśmy, rodzi się cały szereg wesołych, a czasami nawet bzdurnych, pomysłów. Pamiętam nie zawsze poważne tematy ściśle zawodowe, wesołe rozmowy z robotnikami w "Ursusie". Stary górnik na Śląsku wyjaśniał nam zasady handlu ze Związkiem Radzieckim:

- Bo to widzicie jest tak: my im dajemy węgiel, a oni od nas biorą za to stal -

Opiekunami naszymi z ramienia szkoły byli panowie: Zubaczek i Firek. Zubaczek, którego już możliwie dobrze znałem, był człowiekiem towarzyskim, ale przy tym obowiązkowym. Firek natomiast, w czasie swego krótkiego pobytu w szkole zyskał opinię wielkiego łgarza. Odnosiło się wrażenie, że wszędzie był, wszystko widział i wszystkich, nawet króla norweskiego, znał osobiście. Tutaj, na wycieczce, mieliśmy dużo czasu, koledzy przypominali więc Firekowi różne sytuacje, o których on już wcześniej opowiadał. Firek, bardzo chętnie, po raz już któryś z rzędu, zabawiał nas swoimi opowiadkami, snuł też nowe opowieści.

Firek był Białostoczanie. Tu się urodził i tu chodził do szkoły powszechnej i pewnie gimnazjum. Ktoś z kolegów opowiadał, że jego znajomy uczył się z Firkiem w jednej klasie. Miał on kłopoty, szczególnie z matematyką. Wezwany do odpowiedzi, zawsze szedł do tablicy z wystarzoną miną i zaczynał pisać na jej prawej połowie. Matematyk wtedy krzyczał:

- Firek! Lewiej, lewiej! -

Gdzie i kiedy zdawał maturę nie wiem. Ukończył potem studia na Politechnice Gdańskiej. Był tam asystentem u prof. Geislera. - zawsze podkreślał to, że jest uczniem profesora.

Otrzymał ostatecznie nakaz pracy do naszej szkoły. Nam zawsze opowiadał, jak to prof. Geisler wysyłał go do Białegostoku z "misją" i jak go z tej racji "błogosławił".

Opowiadania Firka o swoich niezwykłych przygodach, których miał w życiu nieskończenie wiele, zanliśmy. Zawsze jednak, powtarzając znane już przygody - trzeba przyznać, że powtarzając swoje opowieści wielokrotnie opowiadał je tak samo - czasami dorzucał do kolekcji nowe. Już przed wojną, kiedy nie miał chyba jeszcze 20 lat, zdarzały mu się różne przeżycia. Oto na przykład był przyjmowany z honorami na norweskim dworze królewskim. Bardzo dokładnie znał radiostację wileńską i prawie z każdym tam był "na ty". Opowiadał, jak to pomagał przysuwać do mikrofonu przyrząd, który na żywo symulował sygnał radiostacji, którym był głos kukułki. Kiedyś był na przyjęciu razem z Kiepurą. Opowiadał:

- Kiedy Jasio zaśpiewał, to stojący na stole kryształ rozsypał się w drobny mak! Rozumiecie panowie, rezonans! - Kiedyś, już po wojnie, leciał jako pasażer samolotu. Była to jakaś pasażerska Dakota z demobilu. Były tam siedzenia, a na środku pasażerskiej kabiny, pomiędzy podłogą i sufitem, był słupek. W czasie lotu stał steward, obejmując ten słupek ramieniem i jadł kanapkę. W pewnym momencie samolot wpadł w tak zwaną "dziurę powietrzną", w wyniku czego raptownie opadł na dół. Wszyscy pasażerowie zaniemówili, a fotele uciekły im spod "siedzeń". Steward tylko nie stracił rezonu, przesunął się po słupek do góry tak, że aż głową dotknął do sufitu i, jak samolot przestał opadać, stanął znowu na nogach.

- Panowie! Nawet nie przestał jeść! -

Największe jednak osiągnięcia miał Firek w czasie pobytu w Gdańsku. Z jego opowieści wynikało, że większość poprawnie funkcjonujących urządzeń w porcie gdańskim, to jego dzieło. Sawnice, windy, żurawie, - jak on to wszystko projektował! A potem próby - jak on na tym wszystkim jeździł! Włos się jeżył!

Kiedyś ładowano węgiel na jakiś szwedzki statek i robiono to bez jego udziału. Ustawiono cały ciąg kolejno po sobie następujących przenośników taśmowych. Na przenośnikach tych znajdowało się ~~wielu~~ dużo węgla -

- Wyobraźcie sobie panowie, ^zapóźno przerwano ładowanie węgla na te przenośniki. Kiedy ta masa węgla z przenośników obciążyła statek, ja patrzę, a tu plum, plum i łódeczki nie ma! Statek przeładowany zatonął!-

Firek był chyba wszędzie, gdzie działo się coś ciekawego. W czasie budowy trasy W-Z w Warszawie drążono tunel pod Krakowskim Przedmieściem. W wyniku tego wykopu zaczęła obsuwać się skarpa,

na której stoi zabytkowy kościół Św. Anny. Kościół ten został uratowany dzięki zastosowaniu opracowanej przez prof. Cebetowicza z Politechniki Gdańskiej metody zeskalania gruntów. Firek oczywiście tam był i asystował przy wykonywaniu tego zabiegu. Opowiadał nam:

- Panowie! To się w głowie nie mieści, jaki tam był potrzebny prąd! Doprowadzono do kościoła z elektrowni kabel gruby jak noga. Taki był pobór, że kabel ten wił się, jak wąż! A my nic, tylko robiliśmy swoje!

Taki to był ten nasz Marian Firek. Ale jednocześnie trzeba przyznać, że miał szerokie wiadomości zawodowe. Szczególnie szybko orientował się nawet w bardzo skomplikowanych rysunkach, stąd cechowała go łatwość porozumiewania się ze studentami w zakresie zagadnień konstrukcyjnych. Nie wiem, czy kiedyś wykonał on samodzielnie jakiś skomplikowany rysunek - po prostu chyba lenistwo.

Tymczasem moje studenckie "boje" zbliżały się do zwycięskiego końca. Dużo przebywałem w towarzystwie kolegów w kreślarni, którą nam zorganizowano w dość obszernej salce na trzecim piętrze - poddaszu, w budynku przy ulicy Białej. Kreślarnia ta była, przede wszystkim miejscem pracy nad pracą przejściową i dyplomową. Była też miejscem, gdzie można było wymienić z kolegami poglądy, usłyszeć i opowiedzieć nowo zasłyszane "kawały", pożartować, zaśpiewać jakąś niekoniecznie poważną piosenkę, rozerwać się trochę, a nawet czasem, w dobrym towarzystwie, wypić kieliszek wódki. Pracowaliśmy tam dużo, nie aż do późnych godzin nocnych, ale, jak się to mówi, nie samym chlebem...

Nie zapomnę nigdy Sergiusza Szulżyka pochylonego, a właściwie leżącego na stole kreślarskim i nucącego pod nosem ^{modną} ~~modną~~ wtedy piosenkę:

Harmonisto mój, czego ci trzeba
Czemu budzisz dziewczęta ze snu...

A potem po rusku:

...Odinokaja brodit harmoni...

W innym końcu sali, ktoś inny śpiewał:

Dajcież w ruki mnie harmoni,
Załatyje błanki
Paryń diwuszku damoj
Proważał z gulanki.

A Zbyszek Puchalski podśpiewywał:

Raz Gungadin zakochał się w Maupie
A Maupa w Gungadim
Gungadin poklepał ją po ... głowie,
A Maupa, po Gungadim

albo:

Po ulicy chodiła
Bałnaja Krachodiła
Ona, ona, krasawica była.

Zbyszek, Wilnianin, wiele znał przyspiewek polskich i rosyjskich, był wesołym chłopakiem i miał poczucie humoru. Podśpiewywał więc ku ucieście wszystkich:

Na kitajskich bołotach
Żyło mnogo czerepach

Nagle ktoś dla odprężenia, wysokim tonem:

Na załore siedit kot
I puskajet kisłorod
Sztoby dzieło razabrat'
Nada chimiū poznat'

- Ej, ty, "czastuszkowy chemik" - krzyczy ktoś inny - może byś tak po polsku -. Na to ktoś inny zaczyna opowiadać, jak to radziecki nauczyciel zaprowadził dzieci do ogrodu zoologicznego i jak wierszem prezentował poszczególne zwierzęta. Koledzy protestują, że już to słyszeli, ale ten ktoś, nie pamiętam, może to był Stasio Kowalczuk czy Tadzio Jeneralczuk, mimo to recytuje:

Pierśed wami dietki słoń
On gromadny i żielon
U niego, kak u Kitajca,
Wyrasli balszyje... uszy, dietki, uszy.

A potem:

Pieried wami dietki lwica
Ona kosteczki gryziot
Lew ģejo.. liżet, dietki, liżet.

- Ej, ty, mister, Twister, bywszy amerykański minister - krzyczy ktoś - przestań, bo mnie zgorszysz.

Nagle ktoś proponuje:

- Panowie, zaraz "ocipieję". Może tak dla rozrywki w "salonowca" - Ktoś inny krzyczy:

- Mów w "dupniaka", to wszyscy będą wiedzieli o co chodzi -.
Wszyscy gomadzą się w jednym miejscu sali i zaczyna się zabawa. W czasie takiego jednego "dupniakowego" seansu Bronek Busłowski ^włożył sobie niepostrzeżenie w spodnie skorupę pochodzącą z potłuczonego izolatora wysokiego napięcia. Chętnie "wystawił się" jako pierwszy. Szczerze uderzył go Zbyszek z lewej, jak zwykle, ręki. Nie było żadnego problemu z odgadnięciem, kto uderzył, bo biedny Zbyszek trzymał się za obolałą rękę, której cudem nie połamał. Nie było też tego dnia dalszej gry - w kreslarni do końca dnia panowała cisza. To był zły dowcip.

Czasem ktoś chwycił czapkę mówiąc:

- Panowie, składka -.

Wszyscy wrzucaliśmy do czapki po parę złotych, ktoś "wyskakiwał" do sklepu po zakupy. Wypijaliśmy wtedy po kieliszku wódki, zagryźliśmy jakąś kiełbasą czy salcesonem. Nigdy jednak nie było jakiegoś wielkiego pijaństwa.

Byli jednak i tacy koledzy, którzy, jak się to mówi, za kołnierza nie wylewali. Zdarzało się to często Tolkowi Wojszkowiczowi, który w takich przypadkach mówił:

- Ja tylko "porterek" wypikem -
stąd Tolek był przez nas nazywany Porterek.

Różne też przypadki zdarzały się Ryśkowi Charytonowiczowi. Kiedyś, po kilku dniach nieobecności, przyszedł, a właściwie przyłazł, do kreślarni. Był zaspany, oczy miał podbrzęknięte i skarżył się, że go bolą nerki. Śmieliśmy się, że Ryśkowi "drżą" nerki, a Rysio siedział ze spuszczoną głową, jak "zbity" pies, niezdolny do żadnej pracy. Nagle drzwi otworzyły się i do kreślarni weszła jakaś starsza pani. Pani ta rozglądała się po sali, wszyscy patrzyli na nią zdziwieni. Tylko jeden Rysio nagle obudził się i otrzeźwiał. Zerwał się i wołając - mama - podbiegł do stojącej w milczeniu pod drzwiami kobiety. Pani ta zaczęła mówić:

- Rysiu, syneczku kochany, to ty tak pracujesz, że nie masz nawet czasu przyjść do domu -

- Tak, mamo - odpowiedział niepewnym głosem Rysio - muszę wszystko zrobić na termin -.

Starsza pani wyciągnęła z torebki pieniądze i dała je Ryśkowi ze słowami:

- Pewnie nie masz pieniędzy, masz parę groszy, pójdź zjedz obiad i pracuj dalej, mój ty biedaku -.

Rysio wziął pieniądze i, dziękując, pocałował matkę w rękę. Starsza pani powiedziała grzecznie - do widzenia - i wyszła. Cała sala wybuchła gromkim śmiechem. Żona Rysia miała na ten temat na pewno odmienne zdanie. Nie byłaby to jednak matka.

Z początkiem 1954 roku szkoła otrzymała duży 3-piętrowy budynek przy ulicy Grunwaldzkiej 11/15. Przed wojną w budynku tym była jakaś fabryka włókiennicza, która w czasie wojny została zniszczona. Po czterdziestym czwartym roku budynek ten odremontowano i dotychczas mieściły się tam jakieś magazyny. Szkoła natychmiast rozpoczęła w tym budynku prace remontowo-adaptacyjne. Prace te były tak zaawansowane, że nasz egzamin dyplomowy mógł się odbyć już tutaj. W całym budynku prowadzone były intensywne prace. Na pierwszym piętrze wykończono

dwa czy trzy pomieszczenia i tutaj właśnie zorganizowano nasz egzamin.

Budynek przy ulicy Grunwaldzkiej stał w pewnej odległości od ulicy i zajmował tam trzy posesje, to jest 11, 13 i 15. Posesja pod numerem 13, od strony ulicy stanowiła enklawę wchodzącą na pewną niewielką głębokość w przynależny do budynku plac. Na posesji tej stał, otoczony ogrodem, dom parterowy z ładnie wykończoną i zamieszkałą górką. Mieszkał tutaj znany i cieszący się dużym powodzeniem lekarz medycyny, neurolog, doktor Kokorzecki. Posesje natomiast 11 i 15 dochodziły do ulicy. Na posesji 15 stał parterowy budynek, gdzie przed naszym egzaminem dyplomowym przeniesiono z ulicy Białej dziekanaty, których wtedy było już trzy. W międzyczasie zorganizowano Wydział Budowlany, który już wtedy pracował "pełną parą".

Piątego maja została przyjęta moja praca dyplomowa i oceniona przez ~~egz~~ prowadzącego, pana Firka, na czwórkę. Została więc tylko formalność, to jest egzamin ostateczny. Termin tego egzaminu ustalono na 10 maja. Logika wskazywała na to, że nie miałem czego się bać. W czasie studiów nie oblałem żadnego egzaminu, poza tym jednym kolokwium u pana Nikitina. Nie przekraczałem żadnych terminów. Moja średnia ocena ze studiów dochodziła prawie do czwórki. Mimo wszystko denerwowałem się, wydawało mi się, że coś tam jeszcze w ostatniej chwili "pęknie". Taka to już chyba moja natura, a może jakaś obsesja powodowana moimi ciągle pamiętanymi, wręcz rozpamiętywanymi niedawnymi porażkami. Prześladowało mnie to niepokojące uczucie wiszącego nad moją głową miecza Demoklesa, który w każdej chwili może spaść i wszystko zniweczyć.

Dzień 10 maja był ciepły i pogodny. Pożegnany przez żonę, spokojną i pewną mego sukcesu, szedłem do szkoły. Było zielono, szczególnie zapamiętałem gdzieś przed budynkiem dziekanatu stojącą majestatycznie jarzębinę. Zbliżał się finał moich prawie czteroletnich biostockich zmagani.

Wszyscy zdający, odświętnie ubrani, zgromadzili się w jednym z przygotowanych dla nas pomieszczeń. W pomieszczeniu obok pracowała komisja egzaminacyjna. Na jej czele stał profesor Ludwik Uzarowicz. Ponadto byli tam: pan Poniatowski, jako dziekan "Wydziału Mechanicznego", pan Nikitin, pan Firek oraz pan Domińczak, który pytał z "polityki". Czy był jakiś czynnik społeczny, nie pamiętam. Byłem zdenerwowany.

Usłyszałem wreszcie swoje nazwisko i wszedłem do pomieszczenia, gdzie pracowała komisja. Długi stół, zasłany zielonym suknem, na którym zobaczyłem swoje prace: przejściową i dyplomową. Za stołem siedzieli członkowie komisji z profesorem Uzarowiczem na czele. Obok, po prawej stronie stał mniejszy stół, za którym siedział pan Domińczak. Z lewej strony, pod oknem, jeszcze jeden stół, na którym leżały prace

przejściowe i dyplomowe wszystkich zdających. Uzarowicz gestem ręki zachęcił mnie, ażebym zbliżył się do stołu i jednocześnie powiedział:

- Proszę -

Ton, którym to powiedział wydał mi się bardzo oficjalny, co trochę zmroziło i tak napiętą atmosferę.

Rozpoczęła się dyskusja nad moimi pracami. Udzieliłem wszystkich wyjaśnień i odpowiedziałem, jak mi się wydawało, wyczerpująco na wszystkie postawione mi w związku z pracami pytania. Rozładowało to trochę napiętą atmosferę. Wreszcie kazano mi złożyć moje prace w wskazano leżące na brzegu stołu kartki z pytaniami. Wyciągnąłem jedną i w napięciu odczytałem. Były tam trzy zagadnienia: wytaczarki, jakiś rodzaj, nie pamiętam jaki, obróbki cieplnej stali oraz rozwiertaki. Odetchnąłem z ulgą. Referowałem, odpowiadałem na dodatkowe pytania. Czułem, że nie jest źle. Na zakończenie Uzarowicz powiedział:

- No, dobrze, to niech mi teraz pan obliczy podzielnice - i podał niezbędne dane. Bez trudu liczyłem i w rezultacie tych obliczeń wyszło mi, że liczbę obrotów korbki podzielnicy określa iloraz trzydzieści sześć podzielone przez dziewięć. Napisałem równa się i... zaniemówiłem. W tym momencie pan Nikitin wyjął suwak i powiedział, dając mi go:

- No, niech pan sobie to policzy -.

Wstyd mi się zrobiło, tym bardziej nie wiedziałem, ile to jest, ~~axex~~ a członkowie komisji uśmiechali się dobrotliwie. Wreszcie uśmiechnięty Uzarowicz powiedział:

- To dziękuję panu bardzo -.

Wychodząc nie miałem żadnych wątpliwości, że egzamin zdałem. Incydentu z tabliczką mnożenia i suwakiem nie można było traktować poważnie w kontekście tych wszystkich zagadnień, które były przedmiotem egzaminu.

Ogłoszenie wyników zapowiedziano za kilka godzin. Poszedłem więc do domu z kilkoma kolegami, którzy bali już po egzaminie, ażeby uspokoić żonę. W domu zastałem Ojca, który znając datę mojego egzaminu przyjechał do nas. Nastrój był więcej niż pogodny, można powiedzieć radosny. Żona postawiła na stole jakieś ciasto, które z tej okazji upiekła, Ojciec wyjął z teczki jakąś dobrą wódkę. Wypiliśmy po kieliszku i po szklance herbaty, zjedliśmy po kawałku ciasta, podzieliliśmy się wrażeniami z egzaminu i pożliśmy do szkoły.

Egzamin zakończył się. Wszyscy zdający zebrali się o wskazanej godzinie pod drzwiami pomieszczenia, gdzie pracowała komisja. Między nami byli i tacy, którzy egzaminu, niestety, nie zdali. Byli to, przede wszystkim, Arkadiusz Antonowicz, wielki aktywista i działacz partyjny, aktualnie sekretarz partii w Fabryce Przychodów i Uchwytów

oraz spokojny nad wyraz i pracowity Wacek Łapiński z nap. Co do Arkaszki werdykt komisji nie zaskoczył nikogo, ale dlaczego Wacek? Wstrząsnęliśmy mu bardzo. Subtelny i delikatny chłobak po prostu zdeenerwował się i nie umiał "się wygadać".

Wszyscy weszliśmy do pomieszczenia komisji, poza oczywiście Arkaszka i Wackiem, którym przedtem zakomunikowano werdykt komisji. Ustawiliśmy się w szeregu. Uzarowicz zakomunikował, że egzamin inżynierski zdaliśmy i przy nazwisku każdego podał ocenę. Mnie oceniono na czwórkę. Piątek nie było. Zakomunikował nam, że od tej chwili możemy posługiwać się tytułem inżynier mechanik. i jesteśmy pierwszymi inżynierami, którzy uzyskali ten tytuł tutaj na miejscu, w Białymstoku. Pomyślałem wtedy sobie, czy temu ubowcowi, który mnie kiedyś w 1949 roku przesłuchiwał w Augustowie, wyrósł na dłoni ~~ten~~ kaktus?

Równolegle odbył się też egzamin dyplomowy na Wydziale Elektrycznym. Elektrycy zdawali przed inną komisją, której przewodniczył ktoś spoza szkoły, człowiek też o znanym nazwisku w branży. Jedną z koleżanek, Halina Reucka, zwana "Hesią", wtedy już żona Pwała Giecewicza, znanego w Białymstoku farmaceuty, kierownika wojskowej apteki, urodziła córkę i przebywała w szpitalu. Komisja zjechała do szpitala i Hesia tam zdawała egzamin.

Dyplomy oficjalnie wręczono nam piątego czerwca. Uroczystości z tym związane odbyły się w teatrze im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku i miały bardzo podniosły charakter. Na scenie zasiadły władze Uczelni, miasta i województwa. Widownia była tylko częściowo zapelniona. Liczono na większą frekwencję. Pani Irena Niczyporowicz, która kierowała administracją szkoły, podsumowała frekwencję raczej jednoznacznie:

- Ale "puchy" -

Były wystąpienia i oficjalne przemówienia. Myśmy wszyscy po kolei wchodzili na scenę, gdzie nam wręczano dyplomy. Ja ów dyplom już widziałem, bo asystowałem przy jego wypisywaniu. Dyplomy nasze wypisywał przed kilkoma dniami Władzio Świaniewicz. Po zejściu ze sceny, czytałem na nowo, z bijącym mocniej sercem: "... po odbyciu studiów wyższych w latach 1950/54, specjalizując się w zakresie Technologii Budowy Maszyn, otrzymał w dniu 10 maja 1954 r. DYPLOM UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH stopnia pierwszego na Wydziale Mechanicznym WIECZORÓWEJ SZKOŁY INŻYNIERSKIEJ W BIAŁYMSTOKU. i uzyskał tytuł inżyniera mechanika". Z lewej strony podpis rektora, pana Białkowskiego, z prawej dziekana, pana Poniatowskiego, a po środku pieczęć okrągła szkoły z Godłem Państwa. Na dole jeszcze "Białystok, dnia 5 czerwca 1954 r." Dyplom nosi numer 12.

Po oficjalnych uroczystościach w teatrze odbyło się przyjęcie w niedawno uruchomionej restauracji "Cristal". Tam też były przemówienia już mniej oficjalne. Głos zabierali: Białkowski, Poniatowski, Rode i jeszcze inni, których niestety nie pamiętam. Nie pamiętam też treści tych przemówień. Pamiętam jednak, że miały one charakter mało oficjalny, nie było w nich wtedy już modnego "socjalizmu". Pan Poniatowski życzył nam na przykład, żebyśmy nabytą w szkole wiedzę wykorzystali dla dobra Rzeczypospolitej, a wtedy już oficjalnie obowiązywała nazwa Polska Rzeczpospolita Ludowa. Pan Domińczak życzył, żebyśmy zawsze mieli dobrych i na poziomie przełożonych - nic w tym przemówieniu nie było z "polityki", z której przecież nas egzaminował. Na przyjęciu tym władze reprezentował towarzysz o nazwisku ~~Łukasz~~ Głęb czy Kaczan - dokładnie nie pamiętam nazwiska i tym bardziej funkcji, jaką sprawował.

To był finał. Tak skończyłem moje boje o studia wyższe. Były to zwycięskie boje, czego nie wróżył start w Warszawie w sierpniu 1950r. Z perspektywy czasu oceniając powinienem chyba, mimo wszystko, podziękować władzy ludowej za to, że zostałem inżynierem, a nie matematykiem. Nie miałem raczej żadnych szans na to, aby zostać matematykiem z prawdziwego zdarzenia. Na pewno cała moja kariera sprowadzałaby się do tego, że zostałem nauczycielem matematyki. Jako inżynier też, co prawda, nie zrobiłem kariery, ale zawód ten dawał mi większe pole manewru. Mogłem pracować w przemyśle, ale szkoła też nie była dla mnie zamknięta. A dlaczego nie zrobiłem kariery, to już sprawa inna... Za to też powinienem podziękować przede wszystkim władzy ludowej.

XIV. ZAUFANIE POLITYCZNE

Przez kilka pierwszych dni po egzaminie dyplomowym jakoś nie mogło do mnie dotrzeć, że jestem inżynierem. Uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, kiedy ktoś zwrócił się do mnie raz i drugi "panie inżynierze". Zdałem sobie wreszcie sprawę, że to o mnie chodzi.

Tuż przed naszym egzaminem Fabrykę opuścił Kajdanowski. Jak z wywieszzonego na terenie Fabryki, podpisanego przez Kajdanowskiego ogłoszenia wynikało, opuścił on Fabrykę na pewien niedługi czas, aby uzupełnić swoją wiedzę na jakiś bliżej nieokreślonych studiach dyrektorskich. Ogłoszenie to było napisane w "napuszczonym", wówczas obowiązującym stylu, a ukwiecone ono było zwrotami języka, którym posługiwał się Kajdanowski. Wniosek stąd był jeden: nie rozpaczajmy, Kajdanowski idzie doksztakcać się, ale niebawem wróci do nas jeszcze mądrzejszy. Narazie pracujmy dla dobra socjalizmu i czekajmy. Kajdanowski po powrocie powiedzie bojową załogą Fabryki, to znaczy nas, do dalszych zwycięstw.

Miejsce Kajdanowskiego na stanowisku dyrektora naczelnego zajął Stanisław Dzikowski. Nie wien skąd on pochodził, ale był to człowiek takiego samego autoramentu jak Kajdanowski. Był w Fabryce niedługo i niczym nadzwyczajnym nie wskawił się - taka sobie miernota, po której nie pozostała w mojej pamięci nawet najdrobniejsza anegdotka.

W tym samym mniej więcej czasie nastąpiła zmiana na stanowisku ~~xxxxxx~~ Dyrektora technicznego - odszedł pan Poniatowski, którego miejsce zajął krzykliwy i wulgarny Rosiewicz Romuald /senior/. Panu Poniatowskiemu powierzono kierowanie w Fabryce inwestycjami. Potem odszedł on z Fabryki w ogóle i na całym etacie zatrudnił się w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej na stanowisku dziekana Wydziału Mechanicznego.

Dla mnie zaczynał się czas normalnej pracy nie przerywanej wcześniejszymi wyjściami do szkoły, czy ustawowymi urlopami okolicznoś-

ciowymi w czasie sesji egzaminacyjnych. Zaproponowano mi stanowisko kierownika planowania warsztatowego. Nawet zacząłem powoli "przymierzać się" do objęcia tej funkcji. Po krótkim jednak czasie zrezygnowałem i wycofałem się. Doszedłem bowiem do wniosku, słusznego, że nie mam predyspozycji do pracy na produkcji. - moje spokojne usposobienie wyraźnie mnie plasowało w kręgu zagadnień związanych z przygotowaniem produkcji. Pozostałem więc na razie, czekając na dalszy bieg wydarzeń. O żadnym stanowisku nie myślałem. Chciałem po prostu wykonywać "robotę" inżynierską, dalej rozwijać się w specjalności, w której otrzymałem dyplom i do której byłem przygotowany w szkole.

W końcu maja wezwano mnie do Kadr. Idąc tam zastanawiałem się, czego oni mogą ode mnie chcieć. Kiedy wszedłem do pokoju, gdzie mieściły się Kadry, Buniakowa wskazała mi obecnego tam nieznanego mężczyznę i powiedziała:

- Towarzysz ma z wami do pomówienia -

Nieznajomy wyciągnął pulchną rękę w moim kierunku i powiedział:

- Romańczuk jestem -. Mam z wami trochę do pogadania -

Wyjdźmy może na świeże powietrze, jest ładna pogoda -
Przedemną stał mniej niż średniego wzrostu mężczyzna w wieku ponad trzydziestu lat. Patrząc na mnie jego oczy osadzone w pulchnej, jakby obrzękłej twarzy. Na ustach jego dostrzegłem zastygły, ~~z~~ ironiczny uśmiešek. Byłem pewny, że mam do czynienia z UB-owcem. - Czego on może ode mnie chcieć? - pomyślałem.

Wyszliśmy z budynku i usiedliśmy na fundamencie, który znajdował się po drugiej stronie należącej do Fabryki ulicy Łąkowej. Było ciepło. UB-owiec - byłem pewny, że UB-owiec - patrzył na mnie z coraz bardziej wyraźnie zarysowującym się uśmiechem na jego obrzękłej twarzy, tak jakby chciał wprowadzić odpowiedni nastrój. Wreczcie powiedział:

- My was, rozumiecie, widzimy w zarządzie wojewódzkim ZMP -

- Jak to - pomyślałem, - UB-owiec chce mnie zatrudnić w zarządzie wojewódzkim ZMP? -

- Nie rozumiem - powiedziałem. - o co właściwie chodzi? Ja nie chcę zmieniać pracy, swoje losy chcę związać z Fabryką -

- Nie zrozumieliście mnie towarzyszu Poziemski - powiedział śmiejąc się nieznajomy.

- Wcale nie proponujemy wam zmiany pracy. Teraz, kiedy skończyliście szkołę i macie dużo czasu, moglibyście więcej popracować społecznie. Wybierzemy was na członka zarządu wojewódzkiego ZMP. Co wy na to? -

Zrozumiałem, że rozmawiam nie z UB-owcem, tylko z jakimś pewnie aktywną ZMP wyższego szczebla. - Niech oni dadzą mi spokój - nie chcę

żadnych stanowisk - pomyślałem. Nie chcę robić żadnej politycznej kariery. Niech oni idą do cholery! - . Propozycja zaskoczyła mnie bardzo.

Drugą chwilę trwało milczenie. Mój rozmówca patrzył na mnie swoim "świńskim wzrokiem". Jego obrzękła, okrągła twarz jakby zastygła z wymalowaną na niej bezmyślnym uśmiechem. Ja wreszcie zrozumiałem o co tu chodzi. Intensywnie myślałem, jak się z tego wszystkiego wykręcić. Muszę powiedzieć, że mój Ojciec to AK-owiec, w 1947 roku ujawnił się, mnie w 1950 roku nie dopuszczono do egzaminu wstępnego na Uniwersytet Warszawski, na WSI w Białymstoku znalazłem się z konieczności. Nie mogę więc angażować się. Zdecydowany byłem to wszystko powiedzieć.

- Ale ja... - zacząłem niepewnie. Romańczuk energicznie mi przerwał:

- Towarzyszu! Nie bądźcie taki skromny. My was bardzo dobrze znamy. Przeanalizowaliśmy was. Wszyscy o was bardzo dobrze mówią: kierownictwo WSI, zarząd fabryczny ZMP, towarzysz Ściepuk pracuje przecież z wami przy jednym stole, egzekutywa partii, towarzysz Antonowicz studiował z wami cztery lata. Dzisiaj jeszcze analizowaliśmy waszą kandydaturę w Kadrach. Nikt nie ma do was żadnych zastrzeżeń. Takich ludzi jak wy nam potrzeba. Wkraczamy w nowy etap, przed nami nowe, bardzo złożone zadania. Potrzebni nam młodzi, wykształceni ludzie. Nie możecie, towarzyszu Pozienski, odmówić. -

Byłem oszołomiony. Słuchając wypowiedzi Romańczuka doszedłem do wniosku, że znają oni całą moją i Ojca przeszłość. W ankiecie personalnej, która była w moich aktach w Kadrach, bardzo wyraźnie było napisane, że Ojciec mój to AK-owiec, że w 1947 roku ujawnił się, że mama za granicą rozległa rodzinę - nigdy w życiu nic z tych informacji nie ukrywałem, niczego nie wstydzikiem się. Wręcz przeciwnie, całe życie byłem i jestem Ojcu wdzięczny za to patriotyczne zaangażowanie w tym bardzo ciężkim i trudnym okresie naszej najnowszej historii. Może rzeczywiście idzie jakaś "odwilż", o której przebąkiwano tu i ówdzie. Jest już ponad rok po śmierci Stalina, może rzeczywiście coś się tam na górze zmienia. W związku z tym są pewnie potrzebni nowi ludzie i dlatego moja przeszłość nie stanowi przeszkody. Mogą więc włączyć się do tworzenia tego nadchodzącego "nowego". Może rzeczywiście trzeba włączyć się? Jakoś to wszystko powinno w najbliższej przyszłości ustabilizować się. Musi (A) przecież w tej powojennej rzeczywistości znaleźć jakiś "modus vivendi".

Znowu zaległo milczenie, które przerwał Romańczuk:

- To co, towarzyszu Pozienski? Uzgodniliśmy. Mogę uważać, że mamy waszą zgodę -

- Może... - zacząłem.

- Nic nie może! - powiedział Romańczuk - sprawa jest jasna! - Wyciągnął do mnie swoją pulchną rękę - Do zobaczenia w drugiej połowie czerwca na konferencji. -.

Pożegnaliśmy się i Romańczuk poszedł w stronę portierni. Ja stałem jakiś czas oszołomiony przy fundamencie. Poszedłem wreszcie do swojej pracy. Przez najbliższe dni ciągle myślałem o rozmowie przy zburzonym fundamencie. -Pewnie rozmyślą się i dadzą mi spokój.-

W Fabryce tymczasem zaszły pewne zmiany, Przede wszystkim pan Niemira objął stanowisko głównego technologa. Księgowość wyprowadziła się opróżniając duże pomieszczenie na pierwszym piętrze budynku "dyrekcyjnego". Pomieszczenie to zajął cały Dział Techniczny, w skład którego wchodziło i nasze biuro. Wszyscy, na czele z panem Niemirą jako głównym technologiem, wprowadziliśmy się tam. Ja otrzymałem angaż na stanowisko z-cy głównego technologa. Pan Zubaczek odszedł z zadaniem zorganizowania gospodarki narzędziowej w Fabryce, do czego zabrał się z miejsca, z sobie tylko charakterystyczną energią.

Jurek Gierdo zmobilizowany został do wojska. Służbę odbywał w Technicznej Szkole Wojsk Lotniczych w Zamościu. Przysyłał listy, w których chwalił się, jak to on działa w organizacji młodzieżowej i jakie to ma osiągnięcia w szkoleniu, a wszystko to dzięki doświadczeniu zdobytemu w Fabryce.

Przyszli też i nowi ludzie. Jednym z nich był inżynier Czapla, absolwent Politechniki Warszawskiej. Lubił on dużo dyskutować. Całymi dniami siedział przy stole kreślarskim, na którym zawsze rano rozpiął nowy arkusz kalki technicznej. Odrywał kawałki kalki, składał je i uzyskanymi w ten sposób twardymi skrawkami dębał w zębach. Kiedy skrawek namókł śliną, wyrzucał go, odrywał nowy i znowu to samo. Arkusz kalki starczał zwykle na cały dzień. Do pracy Czapla zabierał się po godz. 15⁰⁰, kiedy to zostawał w Fabryce, żeby wykonywać prace zlecane. Wykonał na przykład rysunki konstrukcyjne przyczepy przeznaczonej do wożenia tak zwanej "dłużycy". Pracę wykonywał Czapla na prywatne zlecenie jakiegoś przedsiębiorstwa melioracyjnego, a pośrednikiem było Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Mechaników Polskich. Ja też na tej pracy zarobiłem, gdyż wystąpiłem jako sprawdzający tę dokumentację.

Innym człowiekiem, którego z tamtych czasów pamiętam, był pan Kazio Laubsztajn. Przyszedł on do nas z Czarnej Białostockiej i zajmował się sprawami związanymi z normowaniem pracy. Z normowaniem pracy było wtedy w Fabryce co najmniej nie najlepiej. W pochodach pierwszomajowych na czele chodzili przewodnicy pracy obwieszani szarfą czer-

woną, na której widniał procent wykonanej przez nich normy. Nierzadko można było odczytać 250, 300, nawet 400 procent normy. To byli stachanowcy! Jeszcze za czasów pana Poniatowskiego zaczęto sprawy normowania pracy porządkować. Mówiono wtedy o tak zwanych NTU, czyli normach technicznych uzasadnionych. Biedny pan Kazio miał sporo kłopotów.

Szczególnie dobrze, stosunkowo małym wysiłkiem, zarabiającą grupą byli ci, którzy pracowali przy skrobaniu płyt traserskich. Rzecz polegała na tym, że pocierano o siebie dwie płyty pokryte sadzą angielską. Pozostawione na ich powierzchniach ślady należało tak zwanym "skrobakiem" zeszkrobać. Następnie kolejny raz płyty o siebie pocierać aż do momentu, kiedy na jednym calu kwadratowym powierzchni płyty uzyska się odpowiednią, określoną normą, liczbę śladów. Praca to niezbyt skomplikowana, wymagająca bardziej kobiecej cierpliwości niż merytorycznych wiadomości. Pracę tę wykonywały więc kobiety. Osiągały bardzo wysoki procent wykonania normy, a ich zarobki były bardzo wysokie. W ramach akcji ~~porządkowania~~ "wyrównywania kominów" - tak właśnie nazwano porządkowanie norm pracy - normy na skrobanie zredukowano, co pociągnęło za sobą bardzo znaczącą obniżkę zarobków pracujących tam pań. Wywołało to ogromne niezadowolenie. Po pierwszej, otrzymanej na nowych warunkach wypłacie, grupa ~~z~~ kobiet ze skrobakami w rękach wtargnęła do Działu Technicznego i zaatakowała Kazia Laubsztajna, którego decyzje bezpośrednio wpłynęły na ich zarobek. Przestraszony Kazio, z wypiekami na puciołowatej twarzy i ze srebrną cygarniczką w zębach, z którą nigdy chyba się nie rozstawał, wycofał się za biurko w kącie pokoju. Kobiety, z wyciągniętymi rękami uzbrojonymi w skrobaki, atakowały go nie szczędząc przy tym wyzwisk. To nic, że one przed regulacją zarabiałały więcej niż dyrektor, ale jak można było aż tak je skrzywdzić! Nie pamiętam już, jak to się skończyło, ale stracha mieliśmy wtedy wszyscy.

Fabryka tętniła normalnym życiem. Przychodzili nowi ludzie, mniej odchodziło. Inni zmieniali stanowiska i miejsca pracy, jeszcze inni awansowali. Czasami w końcu miesiąca ogłaszano tzw. "mobilizację", która obowiązywała tylko pracowników umysłowych. Wszyscy wtedy musieliśmy stawić się w Fabryce w niedzielę i wykonywaliśmy prace produkcyjne. Było tak wtedy, kiedy był zagrożony plan i trzeba było "nadrobić". Efekt takiej mobilizacji był przeważnie mierny, ale ile przy tym było propagandy, ile szumu! Jednym słowem Fabryka pracowała tak, jak należało pracować w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych i w drugim roku po śmierci Stalina.

Moje sprawy zarówno te bezpośrednio związane z Fabryką, jak i te wychodzące poza nią, toczyły się na tle wydarzeń fabrycznych często

niezależnie ode mnie lub wbrew mojej woli.

Niedługo po mojej rozmowie z Romańczukiem w numerze 141 /1280/ Sztandaru Młodych z dnia 16 czerwca 1954 roku ukazał się nieduży artykuł pod tytułem "Najmłodszy wśród pierwszych inżynierów białostockiej WSI". Autorem był S. Skalmowski, ówczesny białostocki korespondent tej gazety i działacz młodzieżowy, a po wielu latach, już jako starszy pan, znany w Białymstoku adwokat. Rzeczywiście byłem najmłodszy wśród pierwszych inżynierów białostockiej WSI i artykuł był o mnie. Skalmowskiemu wskazano mnie w szkole, tam też otrzymał moje zdjęcie, które było w gazecie zamieszczone i udzielono mu na mój temat informację. W krótkich słowach w artykule zaprezentowano moje zawodowe "curriculum vitae". Wyłaniała się z tego postać o moim nazwisku i imieniu, niewiele mająca wspólnego ze mną. To nie byłem ja, była to postać taka, jaką powinien być absolwent Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. Społecznik, zdolny mechanik, który waże życie, od urodzenia, marzył o tym zawodzie, który dzięki socjalizmowi i wkładzy ludowej mógł osiągnąć. Jednym słowem wzorcowy bohater. Same bzdury. "Po otrzymaniu matury pracuje w Fabryce Przystrojów i Uchwytów w Białymstoku, a niedługo potem daje się poznać jako jeden z najpilniejszych robotników..."

"..."Pierwsza w historii Białostoczczyzny Uczelnia wyższa- Wieczorowa Szkoła Inżynierska. Organizacja partyjna i zetempowska kieruje na nią Poziemskiego..." "...gdym czasie studiów awansuje na konstruktora, nie zamyka się w czterech ścianach pracowni. Nierzadko Tadka można spotkać wśród robotników, którym zawsze chętnie pomaga i przekazuje zdobyte doświadczenie. Kilka dni temu absolwent WSI, 23-letni inżynier, Tadeusz Poziemski, stanął na czele Biura Konstrukcyjnego największej na Białostoczczyźnie fabryki metalowej".

- Ale o tobie dobrze pisali w "Sztandarze" - powiedział mi Ściepuk z aprobatą w głosie.

To nie, że nie wszystko, co tam napisane jest prawdą, o tym przeważnie czytający nie wiedzą. Ludzie myślą, że wszystko jest tak idealnie, a o to chyba propagandzie chodzi.

Ściepuk wręczył mi zaproszenie na wojewódzką konferencję ZMP ze słowami:

- Powodzenia i godnie nas reprezentuj! -

Konferencja miała się odbyć w położonym tuż koło kościoła Farnego budynku, w którym przed laty mieściła się loża masońska. Kiedy w 1950 r. przyjechałem do Białegostoku, budynek ten był całkowicie wypalony. Stały tylko mury, a w piwnicy leżały sterty powichrowanych i pogmatwanych ram rowerowych i motocyklowych. Nawet nie zauważyłem, kiedy został on odbudowany. Nie wiedziałem też, kto ten budynek teraz zajmuje.

W określonym dniu nie poszedłem rano do Fabryki, konferencja rozpoczynała się o godz. 9-tej. Poszedłem więc tam wórk do dziewiątej. Na parterze budynku było już wiele osób. Stały stoły z rozłożonymi na nich listami obecności delegatów, a kartki z napisanymi na nich dużymi literami wskazywały, gdzie należy szukać swego nazwiska. Obok stołów kręciło się kilka dziewcząt z czerwonymi krawatami i w jasnozielonych organizacyjnych koszulkach z przypiętymi na lewej piersi znaczkami ZMP. Kiedy na liście, pod literą P, szukałem swego nazwiska, jedna z dziewcząt zaoferowała mi swoją pomoc. Kiedy usłyszała moje nazwisko, uśmiechnęła się od ucha do ucha i powiedziała wskazując inną listę:

- Tu proszę, towarzyszu, tu właśnie są zaproszeni goście -. Kiedy odnalazłem swoje nazwisko i podpisałem się, dziewczyna bardzo miłym głosem dodała prawie szeptem:

- Towarzyszu, usiądźcie z przodu. Nie wiem czy wiecie, że zostaniecie zaproszeni do prezydium -.

Chciałem uniknąć rozgłosu, a tu do prezydium!. Zdenerwowałem się, ale nie było wyjścia. Trzeba było robić przysłowiową dobrą minę do złej gry. Należało brnąć dalej. Usiadłem więc na sali na pierwszym piętrze i czekałem na dalszy bieg wydarzeń.

Na sali było podwyższenie, na którym prawie całą jego długość zajmował stół nakryty zielonym suknem. Za stołem, w dwóch rzędach, stały krzesła. -Liczne będzie prezydium - pomyślałem. Z prawej strony, patrząc od prezydium, stała mównica z dużym znaczkiem ZMP. Na dole stały, rozstawione w kilkunastu rzędach krzesła, których było na pewno ponad 200. Okna w ścianie przeciwległej prezydium wychodziły wprost na kościół Farny. Z lewej strony prezydium okna wychodziły na ulicę Kilińskiego.

Sala szybko zapełniała się delegatami, którzy w większości ubrani byli w stroje organizacyjne, z czerwonymi krawatami i znaczkami ZMP. Kiedy już wszystkie miejsca były zajęte, na salę weszła grupa około kilkunastu osób, ludzi przeważnie młodych, wśród których rozpoznałem generała Moczara. Pełnił on w tym czasie funkcję przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku. Został tutaj jak gąbry"zesłany" z Warszawy za karę, bo gdzieś, pewnie nieopatrznie, dobrze mówił o Gomułce, będącym wtedy w wielkiej niełasce. Pozostałych osób nie znałem.

Ktoś wszedł za stół prezydialny i ogłosił otwarcie wojewódzkiej, którejś tam z rzędu konferencji ZMP. Zaproponował odśpiewanie hymnu młodzieżowego, zaintonował go, a sala podchwyciła gromko:

... Przez cały świat

Słowa pieśni tej niech niesie wiatr...

Nie zna granic mi kordonów pieśni zew
Nie ucichnie, nie umilknie wolny śpiew...

Wszyscy śpiewali stojąc na baczność. Kiedy skończono śpiewać, stojący za stołem prezydialny, jak się domyślałem był to przewodniczący ustępującego zarządu wojewódzkiego, zaproponował, aby przewodnictwo zjazdu wojewódzkiego powierzyć przewodniczącemu zarządu powiatowego ZMP w Suwałkach, towarzyszewi Henrykowi Bronakowskiemu.

Poczułem jak nagle wszystka krew spłynęła mi do nóg. - Ten głupek jest tutaj - pomyślałem - On na pewno mnie wykończy! - .

Bronakowski był ode mnie młodszy chyba ze trzy lata i pochodził z Nowin Bargłowskich. W tym czasie, kiedy byłem jeszcze uczniem liceum w Augustowie, Bronakowski usiłował też uczyć się chyba w pierwszej klasie. Pamiętam, jak krącił się po szkole ze swoją dużą głową i w czerwonym krawacie. Wydawało mi się, że ciągle jest nastawiony na podsłuch, bez przerwy świdruje zawsze poważnymi i trochę bezmyślnymi oczami otoczenie i nastawia uszu, jakby chciał wszystkó o wszystkich wiedzieć. Zwróciłem na niego uwagę, bo to przecież młodszy ode mnie chłopak z moich stron, z sąsiedniej wsi. Wiedkugo Bronakowski zabawił w szkole. Nałapał dwój i został po prostu usunięty. Nie pomógł czerwony krawat. Wiedziałem od Ojca, że potem Henio działał "ostro" na terenie gminy Bargłów, pracując jednocześnie w Gronadzkiej Radzie Narodowej jako jakiś tam urzędnik. Znał dokładnie przeszłość mego Ojca. Wiedział, że w czasie okupacji Ojciec był w AK, potem, po tak zwanym wyzwoleniu, był wójtem w Bargłowie, w 1947 roku ujawnił się i tak dalej.

Niedouczoney i za wszelką cenę chcący zrobić karierę Bronakowski wykorzystała na pewno nadarzącą się okazję i zdemaskuje mnie jako wroga klasowego chcącego rozbić organizację młodzieżową od wewnątrz. On identyfikował się z "olbrzymem" ze znanego powojennego plakatu, a mój Ojciec, a tym samym i ja, to "zapluty karzeł reakcji". Nawet nie wiedziałem, że aż tak wysoko zabrnął w hierarchii ZMP-owskiej i jak mógł tam dojść, ale zadziałała pewnie zasada obowiązująca w tym czasie: "nie natura lecz chęć szczerą..."

Bronakowski objął przewodnictwo zjazdu. Poważny, wszedł pewnym krokiem za stół na podwyższeniu, podziękował za okazane mu zaufanie i zapewnił, że dołoży wszelkich starań, aby obrady przebiegały sprawnie. Z przygotowanej uprzednio listy odczytał nazwiska osób, które mają być poproszone do prezydium zjazdu. Zebrani jednogłośnie wyrazili zgodę na zaproponowany skład prezydium. Na czele prezydium znaleźli się: przewodniczący WRN - generał Mieczysław Moczar oraz pierw-

szy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii Brodziński. Wśród ponad dwudziestoosobowego prezydium było i moje nazwisko. Zostałem przedstawiony jako "przebudujący inżynier z Fabryki Przyrządów i Uchwytów".

W pierwszym rzędzie prezydium, obok Bronakowskiego, zajęli miejsca: po lewej jego ręce Moczar, po prawej - Brodziński, oraz inne ważniejsze osoby. Mnie wskazano miejsce w drugim rzędzie, tuż prawie za Moczarem. Kiedy zajmowałem wskazane miejsce, mój wzrok spotkał się ze wzrokiem Bronakowskiego. Miał jakiś głupawy uśmiech na twarzy i powiedział mi:

- Cześć! -

Zrobił nawet gest, z którego wynikało, że ma ochotę podać mi rękę. Udałem, że nie zauważyłem tego.

Zebrani przyjęli zaproponowany przez Bronakowskiego porządek obrad. Najpierw ktoś wygłaszał długie sprawozdanie ustępującego zarządu. Nie interesowało mnie to w ogóle, nic z tego sprawozdania nie zapamiętałem. Potem jeszcze sprawozdanie komisji rewizyjnej i rozpoczęła się dyskusja. Z niej też nic nie zapamiętałem. Wreszcie zabrali kolejno głos Moczar i Brodziński. Wystąpienia ich były krótkie i charakterystyczne dla tamtych czasów. Partia liczy na młódzież i nie zawiadzia się i jeszcze wiele tego rodzaju obowiązujących wówczas komunałów.

Ogłoszono potem przerwę i zaproszono wszystkich zebranych na obiad. Prezydium zjazdu poproszono o pozostanie na krótkie zebranie. Na zebraniu tym ktoś odczytał listę kandydatów, którzy mają być wybrani do nowego zarządu wojewódzkiego ZMP. Kandydaci ci mają być zaproponowani przez prezydium, stąd to krótkie zebranie poświęcone zapoznaniu się z listą i ewentualnemu jej przedyskutowaniu. Na liście tej, na pozycji gdzieś chyba dwunastej, znajdowało się moje nazwisko. Nikt nie miał żadnych zastrzeżeń, nie było dyskusji, zebrani przyjęli zaproponowaną listę nazwisk jednogłośnie. Byłoby wielkim nietaktem, wręcz błędem politycznym mieć jakieś zastrzeżenia do towarzyszy z kierownictwa. Naruszałoby to zasadę centralizmu demokratycznego. Kierownictwo wie, co robi i jego decyzje trzeba bezwzględnie popierać i aprobować.

Ja w pewnym momencie chciałem zabrać głos i powiedzieć, że jestem synem AK-owca ujawnionego w 1947 roku i prosić o skreślenie mnie z listy kandydatów, zabrakło mi jednak odwagi. Ostatecznie usprawiedliwiałem siebie tym, że Romańczuk zapewniał mnie, iż moja kandydatura została dogłębnie przeanalizowana. Wiedzą więc, że taką mam przeszłość. Nie mówią o tym tutaj, bo i po co. Nie chcą tego pewnie w ogóle wyciągać. To dlaczego ja sam mam to robić? Doszedłem do takiego wniosku i ostatecznie nie zabrałem głosu. Moczar i Brodziński na tym zamkniętym zebraniu prezydium byli nieobecni i na obrady po przerwie nie przybyli.

Obiad je~~dn~~liśmy na koszt Zarządu Wojewódzkiego w stołówce, która mieściła się - o ile pamiętam - przy ulicy Pałacowej, wówczas już chyba Marchlewskiego, w budynku, gdzie miała swoją siedzibę Komenda Chorągwi ZHP.

Po przerwie ustalono, że najpierw zostanie wybrany nowy zarząd wojewódzki, następnie będzie kontynuowana dyskusja. Na zakończenie zostanie podjęta uchwała, nad którą usilnie pracuje powołana na początku obrad odpowiednia komisja. Na sali kolportowano drukowaną na powielaczu okolicznościową gazetkę zjazdową, w której były omówione obrady przed przerwą. Autorem i jednocześnie kolporterem tej gazetki był S. Skalmowski.

Zacząły się więc wybory poprzedzone prezentacją kandydatów. Najpierw odczytano listę proponowanych kandydatów, a potem przewodniczący zarządu powiatowego ZMP w Siemiatyczach, Mikulski, stojąc na trybunie, prezentował kolejno wszystkich kandydatów. Każdy kandydat, którego nazwisko zostało wyczytane wstawał i pokazywał się wszystkim obecnym. Mikulski następnie z trybuny odczytywał opinię kandydata. Bronakowski zapytywał, czy są do kandydata jakieś zapytania i przechodzono do następnego. Zapytań nie było żadnych, bo to przecież towarzysze z kierownictwa wiedzą kogo można do wyborów dopuścić, dokładnie i wszechstronnie ich analizowali. Tylko jedną przystojną studentkę z AM ktoś dowcipnie zapytał o datę urodzenia.

W miarę zbliżania się do mego nazwiska denerwowałem się coraz bardziej. Obserwowałem Bronakowskiego. Wydawało mi się, że jest on coraz bardziej podekscytowany, staje się jakiś wyraźnie niespokojny. - Na pewno coś złego dla mnie wymyślił - pomyślałem. Zacząłem żałować, że nie wystąpiłem na zamkniętym zebraniu prezydium. Teraz było już za późno, musiałem czekać na dalszy bieg wydarzeń.

Wreszcie zostało odczytane moje nazwisko. Wstałem. Bolesnie czułem, jak wwiercają się we mnie oczy wszystkich obecnych na sali. Mogłem być dobrze obserwowany, bo stałem na podwyższeniu. Po chwili, która przeciągnęła się dla mnie w nieskończoność, usiadłem. Mikulski czytał głośno i powoli: "... lat 23, syn robotnika, urodzony we wsi Tobyłka, w powiecie augustowskim. Pracuje jako zastępca głównego konstruktora w Białostockiej Fabryce Przyrządów i Uchwytów. Jest jednym z pierwszych absolwentów białostockiej WSI. Przeprowadza w pracy zawodowej, jest członkiem zarządu zakładowego ZMP w Fabryce. Jest szanowany i lubiany, koleżeński...". Mikulski skończył. Na pytanie wyraźnie pośpiechanego Bronakowskiego, ktoś z sali poprosił o głos.

- Proszę powiedzieć nam swój życiorys - poprosił. Pomyślałem sobie, że zaczyna się to, co przewidywałem. Wstałem mocno speczony. Urodziłem się..., przed wojną zacząłem uczyć się w szkole

powszechniej, w czasie okupacji tajne nauczanie i praca u kowala, po wojnie gimnazjum i liceum w Augustowie, matura w 1950 roku, potem studia na WSI w Białymstoku i jednocześnie praca, najpierw w Zakładzie Sieci Elektrycznych, a następnie, aż do chwili obecnej, w Fabryce Przynurów i Uchwytów w Białymstoku. Od prawie roku jestem żonaty, przed niespełna dwoma miesiącami uzyskałem dyplom inżyniera mechanika.

Skończyłem i spocony usiadłem prosząc Boga, ażeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Na sali tymczasem ktoś podniósł wysoko rękę prosząc o głos.

- Proszę coś więcej powiedzieć o swojej rodzinie - powiedział jakiś smutny młodzieniec z groźną miną.

Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości, że to za sprawą Bronakowskiego zorganizowano na mnie nagonkę. Trzeba było jednak brnąć dalej: Babka staruszka, Matka gospodyni domowa, Ojciec pracuje w Gminnej Kasie Spółdzielczej, rodzeństwa nie mam - jestem jeden u rodziców. Rodzice żadnego majątku nie posiadają. Skończyłem i znowu usiadłem. Bronakowski nie wytrzymał. Chciał pewnie efektownie zakończyć całą sprawę, udzielił sobie głosu i powiedział:

- Pozwólcie towarzysza, że ja zdam Poziemskiemu pytanie, żeby cała dyskusję zakończyć - odwracając się następnie do mnie, zapytał - czy ktoś z waszej rodziny był w bandzie?

Z wielkim wysiłkiem wstałem. Czuję na sobie ogromny ciężar spojrzeń ponad dwustu par oczu ludzi, którzy w wynikłej sytuacji czekali na bombę, która zaraz pęknie.

- Do bandy to nikt z mojej rodziny nigdy nie należał - odpowiedziałem nieśmiało - natomiast mój Ojciec należał do AK, ale to nie była banda -

Jeszcze jedno pytanie z sali:

- Jak długo wasz Ojciec należał do tej bandy? -

Chciałem, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Wiedziałem, że nie może się to zakończyć dla mnie pomyślnie. Odpowiedziałem, siląc się na spokój w głosie:

- Ojciec mój do żadnej bandy nie należał. Ujawnił się w 1947 roku -.

Siedzący w prezydium, szczególnie w pierwszym rzędzie, ludzie, przysłuchiwali się dyskusji na mój temat w napięciu i z opuszczonymi głowami. Sala natomiast wyraźnie ożyła. Po moim ostatnim oświadczeniu dała jak gdyby zamarka. Wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu na to, co teraz nastąpi. Znowu czyjaś ręka w górze i następna, ja się okazało kończąca sprawę, wypowiedź:

-- Towarzysze, skończmy tę dyskusję. Dla mnie sprawa jest jasna. Proponuję skreślić Poziemskiego z listy kandydatów do Zarządu Wojewódzkiego ZMP -.

Podniecony Bronakowski zarządził głosowanie nad zgłoszoną propozycją. Za przyjęciem propozycji głosowało około 2/3 sali. Przeciw nie było nikogo. Wstrzymała się od głosu jedna trzecia sali. Triumfujący Bronakowski śmiejący się i z dumą w głosie oświadczył:

- Zjazd zdecydował, że Poziemski nie będzie kandydował w wyborach do Zarządu Wojewódzkiego ZMP w Białymstoku -.

Wysłuchiwałem tego werdyktu siedząc. Na sali zaległa cisza, jak gdyby zebrani chcieli w ten sposób przejść od mojej "brzydkiej sprawy" do następnego kandydata. Mikulski też potrzebował trochę spokoju. W milczeniu przekładał kartki i przygotowywał się do prezentacji następnego kandydata.

Ja siedziakem zbulwersowany. Zapragnąłem nagle zdemolować całą salę, napluć w oczy Bronakowskiemu i wszystkim zebrany na sali, powybijać szyby, połamać krzesła... Ogromnym wysiłkiem woli opanowałem się. Co ja tu właściwie robię - pomyślałem. Jak się to stało, że w ogóle znalazłem się tutaj? Jak mogłem do tego dopuścić? Czy ja przypadkiem za dużo się boję? Teraz, kiedy mam już dyplom w kieszeni, mogą mi właściwie "naskoczyć"!

W czasie trwania tej chwili ciszy, zerwałem się nagle, energicznym krokiem zszedłem z prezydium na dół i ostentacyjnie, nic nie mówiąc, opuściłem salę. Z korytarza jeszcze chciałem wrócić na salę i zwinąć to całe zbiegowisko, powiedzieć, kto tu jest "olbrzym", a kto "zapłuty karzeł". Opanowałem się jednak i wybiegłem na ulicę.

Byłem roztrzęsiony. Opamiętałem się niedaleko domu i nagle zdałem sobie sprawę z tego, że w takim właśnie stanie ogromnego zdenerwowania nie mogę pokazać się w domu. - żona była w ciąży. Postanowiłem pochodnić po mieście, uspokoić się chociaż trochę i wtedy pójść do domu.

Na ulicy panował normalny ruch, jak zwykle to bywa w ciepły, czerwcowy dzień przed zachodem słońca. Ludzie szli powoli, niektórzy gdzieś spieszyli, ale wszyscy wydali mi się jacyś tacy spokojni, opanowani, a nawet weseli. Zacząłem się zastanawiać, jak to właściwie się stało, że znalazłem się na takim zebraniu. Jak do tego doszło? Sam byłem temu winien. Najpierw chodziło o to, żeby dostać się na studia. Nie spełniłem jednak do końca stawianych mi warunków, bo to wykraczało poza granicę, której przekroczyć nie mogłem w żadnym wypadku. W rezultacie w planowany sposób na studia nie dostałem się. Wtedy właśnie, kiedy na studia dostałem się "bocznym wejściem", powinienem był nie angażować się dalej. Zabrakło mi wtedy odwagi. Bałem się, że mnie tu dopadną. Ogłoszą dodatkowo dezserterem i wtedy wszystko przepadnie. Teraz, kiedy miałem już dyplom w kieszeni, nie umiałem wyplatać się z sieci, w którą sam wpadłem. Usiłowałem znaleźć jakiś "modus vivendi", doszedłem bowiem do wniosku, że w tej ukształtowanej na długo, a na pewno na całe moje

życie, rzeczywistości pojałtańskiej, należy w jakiś sposób "ustawić się!" Przecież tu, pomiędzy Niemnem, Bugiem, Wisłą i Odrą będę musiał w jakiś sposób przeżyć całe swoje życie i zapewnić swojej rodzinie, którą właśnie założyłem, godne warunki. Szukłem usprawiedliwienia dla siebie.

Targany takimi i podobnymi myślami długo szwendałem się po mieście. Zrobiło się już ciemno, kiedy trochę uspokojony zdecydowałem się pójść do domu. Żona oczywiście zorientowała się od razu, że coś jest nie w porządku. Zrelacjonowałem to, co mnie spotkało starając się zrobić to możliwie spokojnie. Żona słuchała w milczeniu, a kiedy skończyłem, powiedziała łagodnym głosem:

- Nie martw się, bo naprawdę nie ma czego. Będziesz miał więcej czasu dla nas. -

W Fabryce sytuacja moja zmieniła się w bardzo wyraźny sposób. Miby wszystko było w porządku. Pracowałem, nikt mnie nie pozbawiał stanowiska, a tym bardziej nie wyrzucał z pracy. W dalszym ciągu dyskutowano ze mną na tematy zawodowe, ale nic poza tym. Ściepuk wyraźnie unikał rozmów ze mną w ogóle, nie mówiąc już o jakiejś rozmowie na temat konferencji, na którą wysyłając mnie "błogosławił". Arkaszka Antonowicz przestał przychodzić do mnie na pogawędki. Z jednej strony to dobrze, bo nie musiałem wysłuchiwać naiwnych, a często nawet ~~bałaganów~~ ^{bzdurnych} monologów. Kiedy usiłowałem mieć na jakiś temat swoje zdanie, to Arkaszka kazał mi na przykład przeczytać Wasilija Ażajewa "Daleko od Moskwy", to wtedy zrozumiałem, o co tu chodzi. Innym razem sprzeczał się ze mną do upadłego, że jest trzech ewangelistów. Wiedział, że jest Jan i jeszcze jakichś dwóch, których imion nie pamiętał. Był bardzo zdziwiony, skąd ja "wytrzasnąłem" tego czwartego. Z drugiej jednak strony odwrócenie się ode mnie Arkaszki, to był nieomylny znak mojej podłej sytuacji w Fabryce. Na zebrania ZMP przestano mnie zapraszać. Nic innego mi nie pozostało, tylko stąd odejść.

W sierpniu miało miejsce ogromnie wzruszające, wręcz niemożliwe do opisania przeżycie. Otóż 11-go żona moja urodziła córeczkę. Żona zdecydowała, czemu ja się nie sprzeciwiałem, że poród odbędzie się w domu. Mieszkaliśmy sami i jedyną najbliższą osobą była pani Czajkowska. Nie mogliśmy liczyć na ciągłą pomoc kogoś doświadczonego Umówiłem więc ~~zajęła~~ ^{rejonową} położną, którą była pani Kondracka. Kiedy to wszystko odbywało się w nocy w pokoju, pod opieką pani Kondrackiej, ja w kuchni przeżywałem ogromnie. Kiedy na chwilę zdrzemnąłem się na stojącej w kuchni leżance, przysniło mi się, że przedzierałem się przez jakieś gęste zarośla. Panował półmrok, posuwałem się po omacku, rozchylając kłujące gałęzie. Nagle wyszedłem na "przecinkę" leśną i zobaczyłem wspaniały wschód słońca. Zrobiło się jasno.

Obudził mnie płacz dziecka. Zerwałem się i wbiegłem do pokoju. Pani Kondracka trzymała na rękach cudowną dziewczynkę. To była moja córka. Byłem szczęśliwy.

W kilka godzin potem spotkałem w mieście Jadzię Bierdzik. Tryskała ze mnie radość. Na mój widok Jadzia zapytała:

- Co ty dzisiaj jesteś taki słodki?-

Chwyciłem Jadzię w ramiona i zawołałem:

- Jadziu! Dzisiaj urodziła mi się córeczka! Jaka ona śliczna!

Cieszę się! -

Kiedy Gieni Mama zobaczyła po raz pierwszy naszą córeczkę, powiedziała:

- Zobaczcie, jakie ona ma długie paluszki! Pewnie krawcową będzie -

Nie ulegało wątpliwości, że nasza córeczka będzie nazywała się Jagoda, tak jak najbliższe otoczenie w szkole mnie nazywało. Należałoby zatem ochrzcić Jadwigę. Imię to jednak nie bardzo nam się podobało, postanowiliśmy więc naszej córeczce nadać imię Jolanta. i nazywać ją Jagoda. Kiedy Jagoda dorosła, kazała nazywać siebie Jolantą. Tylko jedyna Gieni Mama do dzisiaj o naszej najstarszej córce mówi Jagoda.

Życie szło naprzód. Co robić dalej, jak postępować, gdzie szukać pracy, dręczyły mnie takie i podobne pytania, na które nie bardzo mogłem sobie odpowiedzieć. Postanowiłem zasięgnąć rady u pana Poniatowskiego, który już wtedy był w Fabryce zepchnięty "na boczny tor" - nie był już dyrektorem technicznym, a zajmował się inwestycjami. Co prawda przed Fabryką rysowały się bardzo poważne zadania inwestycyjne, ale obecnie zajmowane przez Pana Poniatowskiego stanowisko należało traktować jako wyraźną degradację.

Pan Poniatowski rozmawiał ze mną bardzo ostrożnie. Wcale nie dziwiłem się temu. Jeszcze wtedy nie znaliśmy się dobrze. Poniatowski pracował jednocześnie na WSI, na stanowisku Dziekana Wydziału Mechanicznego i jak niedługo okazało się, odszedł z Fabryki w ogóle, przechodząc na cały etat w szkole. W czasie rozmowy nie wiedziałem o tych planach, a ostrożny, czemu się wcale nie dziwię, pan Poniatowski nie wtajemniczył mnie w nie. Wniosek z rozmowy był jednoznaczny: odejdę z Fabryki i zatrudnię się na WSI, na stanowisku asystenta. Na razie na pół etatu, a od lutego, kiedy skończy się wypowiedzenie, które w Fabryce złożę, na cały etat. Plan działania był jasny i jednoznaczny. Złożyłem więc w Fabryce wypowiedzenie i od lutego przyszłego roku miałem odejść. Nikt ze mną na ten temat nie rozmawiał, nikt tego faktu nie zauważył. Niewygodny człowiek, a takim wtedy byłem, odchodzi, trzeba mu to umożliwić, niech odejdzie jak najprędzej.

W międzyczasie wrócił do Fabryki Kajdanowski ze "studiów", które gdzieś tam w Warszawie odbył. Był to taki sam "Kajdék" jak niegdyś.

Wcale nie zmadrzał, wręcz przeciwnie. Wypowiedzi jego świadczyły o tym, że te "studia" zrobiły w jego głowie jeszcze większe spustoszenie. Zwierzał się na przykład:

- Rozumiecie, ja tam byłem pierwszy uczeń. W nagrodę oferowali mi stanowisko podsekretarza stanu w centralnym zarządzie. Zrezygnowałem, rozumiecie, bo ja chciałem wrócić do was, do bojowej załogi naszej Fabryki. Ja bez was już nie mógłbym.-

Zatrudniłem się na pół etatu w szkole, życie moje wróciło więc do starego rozkładu. Rano, na godz. 7-mą, biegłem do Fabryki, po 15-tej byłem w domu, szybko jadłem obiad i na godzinę 17-tą do szkoły, na ulicę Grunwaldzką. Tu pracowałem do 21-szej. Soboty były wolne. W szkole na razie nie prowadziłem zajęć ze studentami. Na zlecenie pana Poniatowskiego rysowałem duże plansze, które stanowiły pomoce dydaktyczne. Prezentowały one budowę i zasadę działania różnego rodzaju przyrządów i narzędzi pomiarowych. Później, po wielu latach, jeszcze z tych plansz korzystano.

Na początku listopada, kiedy moje odejście z Fabryki było już zdecydowane - od pierwszego trwał trzymiesięczny okres mego wypowiedzenia - złożył mi wizytę redaktor ze "Sztandaru Młodych", J. Wańkowicz. Poprosił o rozmowę w cztery oczy. Poszliśmy więc do świetlicy. Rozmówca mój wyraził opinię, że na Wojewódzkiej Konferencji ZMP ogromnie mnie skrzywdzono. On chce teraz tę sprawę poruszyć na łamach Sztandaru, wyjaśnić wszystko i podjąć próbę rehabilitacji mnie. To było jakieś wielkie nieporozumienie, chodzi tylko o moją zgodę.

Rozmowa ta na nowo rozgrzała związane z tą sprawą emocje. Wydarzenia tamte jak gdyby oddaliły się w mojej świadomości. Starłem się o nich zapomnieć. Życie moje zaczęło jakoś się stabilizować i miałem nadzieję, że wraz z odejściem z Fabryki koszmarnie te przeżycia przejdą do historii. i nie będę potrzebował do nich wracać. Obiecałem sobie, że przeżycia te kiedyś, po wielu latach, opowiem swoim wnukom, ale już bez emocji i nerwów, spokojnie. Tymczasem jakiś Wańkowicz, który powinien wstydzić się, że nosząc tak sławne nazwisko /chyba nie mające nic wspólnego z panem "elchorem - tego byłem absolutnie pewny/, pracuje w "Sztandarze Młodych" i swój talent, jeżeli go w ogóle ma, oddaje na usługi propagandy zakłamania. Ten właśnie Wańkowicz rozgrzebuje tylko co lekko zablźnione rany i na nowo chce to wszystko analizować, roztrząsać i prostować. Nie, nie chciałem tego. Rozmowa nasza trwała długo. Dowodziłem mojemu rozmówcy, że mój Ojciec to człowiek ciężkiej pracy, że przed wojną czegoś się może dorobił, ale było to efektem ogromnego wysiłku obojga moich Rodziców, że udział mojego Ojca w kon-

spiracji wynikał naprawdę z nieklamanej miłości do Ojczyzny i uzasadnionej nienawiści tego, co przyszło do nas ze wschodu. Zdenerwowałem się bardzo, wtedy było mi już wszystko jedno.

Najpierw mówił Wańkowicz, potem długo trwał mój monolog, którego mój rozmówca słuchał w milczeniu i ze spuszczoną głową. Kiedy skończyłem, długo trwało milczenie. Wreszcie Wańkowicz podniósł głowę i powiedział:

- A ja, mimo wszystko, chcę Ci pomóc. Pozwól, że napiszę o tobie. Nie obawiaj się, napiszę dobrze, o tych sprawach z konferencji, jak wyraźnie nie chcesz, nie będę wspominał w ogóle. A tymczasem głową do góry. Będzie lepiej, wieją już ze wschodu łagodniejsze wiatry, wierz mi -.

Za kilka dni w "Sztandarze Młodych" Nr 271/1410/ z dnia 15 listopada 1954 roku, ukazał się artykuł pióra właśnie J. Wańkowicza pod następującym tytułem: "Program wyborczy Tadeusza Poziemskiego". Zbliżały się jakieś wybory i stąd właśnie taki tytuł. Artykuł ten to jeden wielki ciąg kłamstw i przeinaczeń. Owszem, prawdziwe jest moje i mego Ojca nazwisko, imię mojej córki Joli oraz to, że jestem absolwentem WSI i pracuję w Fabryce Przyrządów i Uchwytów. Ojca mego kreował na "...onego gdajszego robotnika folwarcznego!..". Dalej pisał między innymi o mnie: "...Tuż przed wojną liczył lat 7. Niwiele to lat, ale wystarczy, żeby powiązać nędzę w domu, chorobą Ojca, nie mogącego w żaden sposób wyjednać u swego pracodawcy, obszarnika, możliwości leczenia...". W rozmowie owszem, wspominałem, że mój Ojciec chorował, ale żeby jakiś tam "krwio pijca" uniemożliwił leczenie? Dalej pisał: "...Ojciec Poziemskiego, choć instynkt klasowy musiał go pchać ku naszej prawdzie, stał na uboczu nawet wtedy, gdy w roku 1920 z Białegostoku dochodziły go płonienne słowa wodzów Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego: Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, Kona...". Potem znowu są jakieś dywagacje na temat białostockiego programu wyborczego. Gdzieś w tekście jest zdanie: "...Ojciec jego został wyleczony, co więcej - na możliwość pracy na jeszcze wiele, wiele lat, Odpadka, gnębiąca jak zmora, troska o Ojca... .Stary Poziemski nie łatwo i nie szybko doszedł do naszej i do swojej prawdy..." . Stek kłamstw, jak i następne twierdzenie, że Ojciec jest pracownikiem Woj. Rady Narodowej. W końcu jeszcze jeden bzdur: "... Słowa programu.. napawają Poziemskiego pewnością, że jeszcze lepsze będzie jego życie i życie rodziny, a zwłaszcza córeczki Jolanty...". Artykuł kończył się słowami: "...Głównym będzie za swoim własnym programem odzwierciedlającym jego życie, jego i Joli przyszłość".

Cyniczna kpina z mego Ojca, ze mnie, z mojej córki Joli i z całej mojej rodziny! Byłem bezsilny.

- Oj, Wańkowicz, Wańkowicz - pomyślałem - tylko w mordę bić i patrzeć, czy równo puchnie! A mnie tak zauroczyło twoje nazwisko.

Nikt w Fabryce artykułu tego nie zauważył, tak mi się przynajmniej wydawało. W gruncie rzeczy było chyba inaczej. Kiedyś, spotkany na korytarzu, Rosiewicz, wówczas dyrektor techniczny, roześmiany, powiedział do mnie swoim chrapliwym głosem:

- Ale dobrze o was piszą, inżynierze -.

Nic nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co to było, kpina, czy komplement.

Była to jedyna reakcja na artykuł, zamierzeniem autora którego była chęć przyjscia mi z pomocą. Przypuszczalem, nawet byłem tego pewny, że artykuł był z uwagą przeczytany w zarządzie wojewódzkiej ZNP. Obawiałem się, że stamtąd mogę spodziewać się jakiegoś ataku za to na przykład, że wprowadziłem w błąd ^{redaktora} autora tak poważnego pisma. Wszystko to było oparte na obłudzie. mogłem więc spodziewać się najgorszego.

W pracy tymczasem nie działo się nic nowego. Spełniałem swoje obowiązki, nikt nigdzie szczególnie mnie nie angażował. Czekalem końca stycznia, kiedy wreszcie będę mógł odejść z Fabryki, a tym samym wyrwać się z otaczającego mnie kręgu denerwującego milczenia. Zaczętem powoli, początkowo nieśmiało, marzyć o pracy w szkole, o dalszych studiach, magisterium, a potem może....

Na zlecenie pana Niemiry opracowywałem instrukcję obiegu dokumentów, po prostu rejestrowałem istniejący stan rzeczy, który nie był regulowany żadną pisaną instrukcją. Wszystko to funkcjonowało, bo wszyscy zwyczajowo wiedzieli, że tak to właśnie ma być. Działo się tak na zasadzie "tradycji".

W pierwszej połowie grudnia zawołano mnie do sekretariatu, do telefonu. Dzwonił ktoś z Warszawy. Kiedy, zdziwiony, wziętem słuchawkę i powiedziałem swoje nazwisko, usłyszałem dźwięczny głos młodej dziewczyny:

- Ewa Macowska mówi ze Sztandaru. Ja jutro będę w Białymstoku i chcę zobaczyć się z Wami. Będziecie jutro w Fabryce? -

- Tak, będę - odpowiedziałem zaskoczony.

Następnego dnia, od samego rana czekałem podekscytowany na zapowiedzianą wizytę. Dopiero przed samym końcem pracy tajemnicza Ewa zadzwoniła do mnie i powiedziała:

- Towarzyszu, ja od rana jestem u towarzyszy w zarządzie wojewódzkim. Po obiedzie, chciałabym się z wami spotkać. Gdzie proponujecie? -

- Najchętniej nigdzie - pomyślałem. Ale musiałem być konsekwentny. Przecież wczoraj zgodziłem się na spotkanie. Zresztą do niczego takie spotkanie jeszcze mnie nie zobowiązuje - pomyślałem, zaproponowałem spotkanie w mojej popołudniowej pracy, na WSI przy ul. Grunwaldzkiej, o godz. 17-tej. Prosiłem, żeby czekała na mnie w Dziekanacie.

Kieśy parę minut przed siedemnastą zaszedłem do Dziekanatu, czekała już tam na mnie drobna, niebrzydka dziewczyna w okularach. Była z wyglądu kilka lat ode mnie starsza.

- To jest właśnie pan Tadzio - przedstawiła mnie pani Irena Pawluczykowa. Dziewczyna, z bardzo miłym i przyjaznym uśmiechem na twarzy, podała mi rękę i powiedziała swoim dźwięcznym głosem, który już znałem ze słuchawki telefonicznej:

- Ewa Wacowska, bardzo mi miło. Jesteśmy umówieni - Przeszliśmy do głównego budynku, do pokoju, w którym wykonywałem prace kreślarskie.

Rozmowa rozpoczęła się od pogody, potem parę słów o rodzinnych obowiązkach, o małej Joli i trudach dnia powszedniego. Wreszcie moja rozmówczyni wyraziła opinię, że w wyniku zacofania, jakie w Białymstoku, niestety, jeszcze trwa, zostałem wplątany w tarapaty, spotkały mnie przykrości, które powstały w walce starego z nowym. Starego, które wraz ze śmiercią Stalina zaczęło cofać się, odchodzić zdecydowanie coraz szybciej i niedługo odejdzie w ogóle oraz nowego, które na to miejsce coraz szybciej przychodzi, które dotarło bardzo wyraźnie do Warszawy i zaczyna już powoli drażnić Białystok. Dotrze to ^{nowe} do Polski Wojewódzkiej i niedługo ogranie szczególnie oporny na tego rodzaju sprawy Białystok. Moja "sprawa"/doczekała się rozgłosu: "sprawa Poziemskiego", a ja przecież pragnę tylko spokoju!/ stwarza wspaniały pretekst do wprowadzenia na ten nasz trudny teren idącego "nowego".

- Mówię wam - zakończyła Ewa - idzie wiosna, pękają lody, wierście mi, obracam się w środowisku, które ma dobre w tych sprawach rozeznanie i samo toruje drogę tam właśnie "nowemu". Chcę wam pomóc, przed wami jeszcze całe wasze życie zawodowe, nie możecie wchołzić w nie obciążeni mianem "wroga klasowego".

Ja początkowo oponowałem, nie chciałem robić rozgłosu wokół swojej osoby. Pisanie w prasie o zasięgu ogólnokrajowym, robienie ze "sprawy Poziemskiego" sensacji - to mi nie odpowiadało. Chciałem pozostać cichym, spokojnym, uczciwym, zwykłym człowiekiem. Prasa nada mi rozgłos - myślałem, - odbije się to jakimś echem w Augustowie, dotknie moich Rodziców. Trudno przewidzieć, jakie tego mogą być skutki.

Rozmawiając paliliśmy papierosy "ostro", zarówno moja rozmówczyni,

która paliła "Mentolowe", jak i ja przypalaliśmy prawie papieros od papierosa. Rozmowa była nerwowa, czasami ostra. Ja powiedziałem w końcu, co o tym wszystkim myślę, co to w mojej ocenie jest ten siłą przywleczony do nas stalinowski socjalizm i, doprowadzony do ostateczności, określiłem niegrzecznie, gdzie ja to wszystko mam!

Nastąpiła denerwująca, długa cisza. Siedziałem ze spuszczoną głową i, zdenerwowany, łapczywie zaciągałem się dymem papierosowym. Moja rozmówczyni kręciła się nerwowo i robiła jakieś zapiski w swoim notatniku. Wreszcie odłożyła pióro i bardzo spokojnie, jakby nic nie zaszło, zaczęła mnie przekonywać, że ta rzeczywistość, która, niestety, nas ogarnęła jest nieodwracalna. W tej rzeczywistości musimy przeżyć całe nasze życie, alternatywy nie ma. Chodzi więc o to, żeby z jednej strony wpłynąć na złagodzenie tej rzeczywistości, z drugiej zaś strony - znaleźć jakiś sposób ludzkiego, godnego życia w tej rzeczywistości. To, co ona o mojej sprawie napisze, to będzie właśnie "łagodzenie", jakby humanizacja tej okrutnej rzeczywistości. Nie muszę się bać, ona nie napisze takich głupstw, jak to zrobił Wańkiewicz.

Rozmowa nasza trwała bardzo długo. Późnym wieczorem odprowadziłem Wacowską do hotelu i wróciłem do domu zdenerwowany oraz przesiąknięty dymem papierosowym. Żegnając się przed hotelem Wacowska powiedziała, że zostanie w Białymstoku jeszcze kilka dni, będzie rozmawiała z kilkoma osobami i na zakończenie powiedziała stanowczo:

- A ja i tak o was napiszę, wierzcie mi, to jest konieczne dla waszego dobra -

Nie byłem do końca przekonany, że tak powinno być, ale nie oponowałem. Więcej Wackowskiej nie widziałem.

Były następnie Święta Bożego Narodzenia i zakończenie starego roku. Byliśmy młodzi i tradycyjny bal sylwestrowy nie mógł odbyć się bez naszego udziału. Polityka polityką, a młodość ma swoje prawa. Na noc sylwestrową przyjechał do nas Ojciec. Jola została więc pod troską Liwą opieką Dziadka, my natomiast bawiliśmy się do rana witając nowy, 1955 rok.

Coraz bardziej nabierałem przeświadczenia, że Wacowska zrezygnuje z pisania o "mojej sprawie", śledziłem jednak "Sztandar Młodych" na bieżąco. Wreszcie, w numerze 3 /1453/ ze Środy, 5 stycznia 1955 roku, ukazał się reportaż pod tytułem: "Dlaczego Tadeuszowi Poziemskiemu odmówiono zaufania politycznego?". Przeczytałem go z zapartym tchem. Nie był to paszkwil Wańkiewicza mający bardzo mało wspólnego z prawdą to fakt, Zawarta w tym reportażu relacja wydarzeń tylko w niektórych, mało istotnych fragmentach nie pokrywała się z prawdą.

Na wstępie Wacowska relacjonuje moją rozmowę z Romańczukiem, jaka miała miejsce w maju 1954 roku. W ogólnym zarysie relacja ta jest zgodna z prawdą, ale pointa jest zaskakująca i niezgodna z prawdą: "...Poziemski postanawia dzisiaj właśnie rozstrzygnąć sprawę, o której myślał już od dawna..." - złożyć podanie o przyjęcie do partii"...". To nieprawda, nie składałem podania o przyjęcie do partii, wtedy ta sprawa nawet nie była przeze mnie rozważana. Dalej autorka relacjonuje, jak to ja, w asyście żony, wybieram się na konferencję: "...Ubiera się szczególnie starannie, lekko drżącymi palcami wiąże czerwony krawat. Eugenia nie mówi wiele... Eugenia jest bardziej "obyta" od męża - braku już udział w wielu zetempowskich uroczystościach. Była nawet na zlocie w Warszawie - jako przedująca, młoda nauczycielka..." . Wacowska, w czasie pobytu w Białymstoku, rozmawiała z moją żoną i ta część reportażu jest oparta na rzetelnych informacjach uzyskanych w czasie tej rozmowy. Nie wszystko jednak jest zgodne z prawdą. Żona moja całe życie była i jest przesadnie troskliwa, jak mi się nieraz wydaje, o mój ubiór i wygląd zewnętrzny. Wtedy też na pewno pomagała mi się wybierać. Wiazałem krawat, ale nie drżącymi palcami i nie czerwony! Ponadto moja żona nigdy nie należała do ZMP. W Warszawie owszem była w czasie odbywającego się tam zlotu młodzieży, ale nie z tej okazji. Wraciała właśnie z pielgrzymki z Częstochowy i w zatłoczonej Warszawie miała przesiadkę. Wiele było kłopotów z przejechaniem przez okupowaną przez rozbawioną młodzież Warszawę i dostaniem się do zatłoczonego na dworcu Wileńskim pociągu, stąd wydarzenia tamte utkwiły żonie w pamięci. Mówiła więc o nich Wacowskiej, jednocześnie wyraźnie podkreślając, że nie była uczestniczką zlotu, a widziała go przy okazji, wracając z Częstochowy. Taki obraz żony aktywisty nie pasował, trzeba było zaprezentować ją taką, jaką powinna być, a nie taką, jaką była w rzeczywistości.

Dalej w reportażu jest dość rzetelnie zrelacjonowana prezentacja mojej kandydatury do Zarządu Wojewódzkiego, dyskusja i skreślenie mnie z listy kandydatów. Złagodzona jest moja reakcja: "... W przerwie przed głosowaniem Poziemski znika..." - ja wyszedłem z konferencji zaraz po przegłosowaniu skreślenia mnie z listy kandydatów.

Następnie pisze Wacowska o rozterkach, wątpliwościach i przeżyciach moich i mojej rodziny w związku z narastającą dookoła mojej osoby "mgiełką".

Zwiera się, że w grudniu, to jest w pół roku po konferencji: "...niektórzy ludzie z organizacji, zapytani o młodego inżyniera, marszczą czoła i krzywią się z niechęcią: - Poziemski? Ten z Uchwyków? Jakiś niewyraźny człowiek. Bliżej nie znam tej sprawy, ale to podobno bandzior, czy ktoś taki... ~~syn~~ granatowego policjanta... syn przedwojennego wójta... komendanta AK...". W dalszym ciągu stwierdza: "... Za

kilka lat trudno będzie dokopać się prawdy o Tadeuszu Poziemskim. Postarajmy się zrobić to dziś!...".

Relacjonuje następnie Wacowska rozmowy, które przeprowadziła z wieloma ludźmi na swój temat. Najpierw w Fabryce. Ściepuk stwierdza, między innymi: "...Poziemskiego skrzywdzono. To dobry i ofiarny chłopak. Nikogo nie okłamał... Czemu nie rozmawiałem na ten temat w ZW... Ściepuk milczy. Wyraz jego twarzy i machnięcie ręką upoważnia piszącego do mniemania, że Ściepuk nie wierzył w sens swojej interwencji w ZW". Antonowicz - sekretarz Komitetu Zakładowego partii: "... Nie znałem tej sprawy. Coś mi się tam obijało o uszy, ale niejasno... . Znam go zresztą sam i to dobrze. Uczyliśmy się razem na WSI, należał do wyróżniających się studentów... Usiłowałem z nim rozmawiać, ale był ostatnio jakiś zgaszony... nie miał czasu... i tak zeszło." Nie pamiętam, żeby Arkadiusz usiłował ze mną wtedy na ten temat rozmawiać.

Szymański - aktualny przewodniczący zarządu ZMP w Fabryce: "Nie znam bliżej sprawy... Nie ma nic gorszego niż praca zetempowska z naszą młodą inteligencją techniczną... Ja takiego Poziemskiego nie będę uświadamiał. On jest przecież na wysokim poziomie politycznym..."

Inżynier Niemira - Główny Konstruktor w Fabryce: "... Dobrze pracuje, troszczy się o to, by inni podnosili swoje kwalifikacje... nie zauważył, by w czerwcu /w czerwcu była konferencja/ Poziemski opuścił się w pracy. Jedno tylko jest ostatnio dla niego charakterystyczne - prawie nigdy się nie śmieje..."

Kierownik Kadr: "...Tak, w czerwcu czy w maju przychodzili do mnie towarzysze z ZM i ZW, pytali o Poziemskiego. Tutaj są jego akta personalne... W odpowiedniej rubryce, dotyczącej Ojca, wpisano wyraźnym piśmem: należał do AK, po wojnie ujawnił się. A więc Poziemski nie zataił tego w ankiecie..."

Przeprowadziła następnie Wacowska rozmowę z Cieślakiem, przewodniczącym zarządu miejskiego ZMP: "... Coż, towarzyszko... Konferencja nie wybrała, a potem? Pewno, że należało przynajmniej z nim rozmawiać. Przykra historia."

Wreszcie w zarządzie wojewódzkim ZMP rozmowy z Romańczukiem, wiceprzewodniczącym, Całkiewiczem - kierownikiem wydz. kadr, Bukowskim - wiceprzewodniczącym, Roszczenko - kierownikiem Wydziału Organizacyjnego: "...Romańczuk liczył na kadry, kadry na Romańczuka. Wszystkich zaskoczyły zarzuty Bronakowskiego..." "Robił wrażenie" człowieka, który zna świetnie historię Poziemskiego..., a miało się wrażenie, że są i inne sprawy, o których Bronakowski nie mówił... Popełnili błąd, bo nie sprawdzili od strony ankiety, co to za człowiek..."

No i wreszcie sam "cymes" - rozmowa, którą Wacowska przeprowadziła w Suwałkach z Bronakowskim. Wyobrażam sobie, jak w czasie tej rozmowy

zachowywał się on. Człowiek średniego wzrostu, o krzywych, kabłąkowatych nogach, dużej, pochylonej do przodu głowie, rozbieganymi oczami patrzącymi, jak to się mówi w Augustowskim "spode łba". Chciałoby się rzec "czł~~o~~kokształtny". On, taki o ruchach goryla "homo sapiens", w rozmowie z drobną, przystojną, subtelną dziewczyną... Tych wszystkich cech Wacowska nie zauważa, przynajmniej o nich nie pisze. Stwierdza natomiast: "...Związany jest z naszą organizacją każdym włókienkiem ciała, wyrósł w niej niemal od dziecka. Dziś jest przewodniczącym ZP w Suwałkach, kiedyś pracował w Zarządzie Gminnym w Bargłowie, we wsi, w której mieszka Ojciec Tadeusza... Bronakowski bacznie przygląda się mnie... A więc Poziemski was interesuje... Ojciec - kierownik AK na tamtejszym terenie... Stary Poziemski, rządca przedwojenny... wójt... ja mam wiele zarzutów do Ojca Poziemskiego... A znacie Bronakowski Tadeusza Poziemskiego, inżyniera z białostockiej Fabryki?... Nie spotykałem się z nim. Tyle, że raz w pociągu, no i na konferencji... On się wychowywał u Ojca Akowca, u Ojca, który... On przyjeżdżał czasami do Bargłowa. Jako przewodniczący gminny nie widziałem jakoś jego zetempowskie postawy. Siedział w domu..."

Na zakończenie reportażu zostało postawione pytanie: "...Przypuśćmy, że mamy dwóch kandydatów na członka ZW. Człowieka, którego Ojciec był w AK i człowieka, którego Ojciec nie był w AK. Którego trzeba wybrać?..."

W postscriptum, które na zakończenie długiego reportażu Wacowska zamieściła, zapytała wprost czytelników: "...Powiedzcie towarzysze, czy mamy prawo odmówić zaufania politycznego Tadeuszowi Poziemskiemu tylko dlatego, że Ojciec jego dawno temu był w AK?"

Z początkiem lutego odszedłem z Fabryki. Chciałem zapamiętać o tych koszmarnych przeżyciach, nie wracać więcej do tego, nie przypominać, wykreślić... Nie zaglądałem więc do "Standardu Młodych" i nie śledziłem dyskusji, która została przeprowadzona w związku z reportażem Wacowskiej i postawionym przez nią pytaniem. A szkoda, bo dzisiaj byłaby to na pewno ciekawa lektura.

Wiosną sprawa ta wróciła raz jeszcze. Zostałem wezwany do zarządu wojewódzkiego ZMP. Mieścił się on nadal w budynku, w którym odbyła się opisana konferencja. Przyjął mnie w swoim gabinecie Romańczuk, który pełnił wówczas funkcję wiceprzewodniczącego zarządu Wojewódzkiego. Obszerny pokój, na podłodze miękki dywan, stolik okolicznościowy, miękkie fotele, oszklone regały, pełne "dzieł" w bogatej oprawie, rozłożysta palma, no i oczywiście biurko. Meble wszystkie na "wysoki poziom". Za biurkiem siedział pucułowaty Romańczuk, na którego "księżycowatej" twarzy gościł ledwie zauważalny, ironiczny uśmiešek, pełen złości, którą łatwo można było zauważyć. Siadając na krześle stojącym przed

biurkiem, do czego nie wstając zachęcił mnie gestem ręki gospodarz, mimo woli pomyślałem:

- Nie dumał żyć bogato, no przyszłość" -

Rozmowa była co najmniej "drętwa". Romańczuk oświadczył, że konferencja miała rację, nie wybierając mnie do zarządu, a Wacowska zupełnie niepotrzebnie "rozdmuchala" tę sprawę w "Sztandarze". Wysłuchałem do końca monologu gospodarza, który nawet nie był ciekaw /wynikało to z jego słów co ja o tym sędzę. Zapytałem więc, czy to już wszystko, co na mi do powiedzenia.

- No, chciałbym z wami na ten temat porozmawiać - powiedział Romańczuk.

-Chcielibyście na pewno - powiedziałem - żębym wam przyznał rację. Pozwólcie, że nie podejmę z wami żadnej rozmowy - Nie pamiętam, czy wychodząc podałem Romańczukowi rękę. Wyraźnie już wtedy odczuwało się powiew "wiosny", bez trudu zauważało się, że idzie "coś nowego" . Do budynku, w którym Romańczuk urzędował nie jeszcze nie dotarło. Tam panowała jeszcze prawie stalinowska zima, a on sam był jednym z sopli trzymającym się kurczowo topniejącej powoli, z wierzchu góry lodowej.

Później, już chyba w maju, otrzymałem od Wacowskiej list, niestety bez daty. List ten brzmiał: "Drogi Towarzyszu! Bardzo ciekawa co sądzicie o reportażu, który pisałam o Was i o listach, które drukowaliśmy w związku z Waszą sprawą. Ciekawa jestem również, czy przesłacie towarzysze z instancji rozmawiali z Wami. Widziałem się z Bronakowskim na zjeździe. Wydaje mi się, że to uczciwy chłopak i on najpewniej zrozumiał, na czym polegał błąd w postępowaniu w stosunku do Was i nie tylko do Was. Słyszałam z dziesiątych ust, że nie bardzo byliście zadowoleni, że wyciągnęłam Waszą historię na światło dzienne. Może napiszecie dlaczego?. Widzicie, to dla mnie bardzo ważne, bo piszę i choć pogad im, a nie robić przykrości. Bardzo czekam na Wasz list. Serdeczne pozdrowienia dla Was, Waszej miłej żony i córeczki - Ewa Wacowska".

Postąpiłem bardzo niegrzecznie - na list ten po prostu nie odpowiedziałem. Cóż była winna Ewa Wacowska. Chciała mi pomóc, a ja tak nieładnie ją potraktowałem.

Miałem tego wszystkiego naprawdę dosyć. Odłożyć do lamusa, przekreślić, porwać, wymazać, zapomnieć. Niestety... życie udowodniło, że tak się nie da. Wszystko to zapadło głęboko w mojej pamięci i do końca życia tam zostanie. W całym moim późniejszym życiu tante lata wracały. Wtedy, kiedy już nic nie można było mi zarzucić, różni nieprzychylni mi ludzie wyciągali, przypominali tante wydarzenia i mówili :
- Do wicie, towarzysze, ten Pozienski to... -
Wracało to jak bumerang, ale to już inny "fragment".

POSTSCRIPTUM

Jest wrzesień 1990 roku. Oboje z żoną zajmujemy mieszkanie, do którego wprowadziliśmy się w 1958 roku. Było tu kiedyś gwaro, czasami nawet bardzo, tu dorastały nasze dzieci, kończyły szkoły podstawowe, średnie i studia. Potem poszły "na swoje". My zostaliśmy sami, teraz cicho tu i spokojnie. Żona jest na emeryturze, ja natomiast do końca września korzystam z rocznego urlopu "na poratowanie zdrowia", który przysługuje mi jako nauczycielowi akademickiemu. Jola, ze swoim synem Łukaszem, mieszkają w Białymstoku, często nas odwiedzają - wtedy mieszkanie nasze napełnia się, jak za dawnych lat, dziecięcym szczebiotem. Łukasz, nasz najstarszy wnuczek, jest bardzo ładnie rozwijającym się, mądrym chłopakiem. Rozpoczął właśnie naukę w piątej klasie szkoły podstawowej.

Bliźniaki nasze, Małgosia już siódmy rok, Janusz szósty, przebywają w Chicago w Stanach Zjednoczonych. Tam pozakładali swoje rodziny. Właśnie tam, w Chicago, spędziliśmy pół roku - od października 1989 roku do końca marca 1990 r. W czasie naszego tam pobytu Małgosia urodziła wspaniałą córeczkę, która ma na imię Athinka i w przyszłym miesiącu skończy roczek. Zaraz po naszym przyjeździe do Chicago, a następnego dnia po urodzeniu Athinki, odbył się ślub Janusza. Z uroczystością tą czekali na nasz przyjazd.

Nasz półroczny pobyt w Chicago to ogromne przeżycie. Przede wszystkim spotkanie, po latach niewidzenia się, naszych dzieci i to w powiększonym składzie. Wyjechało ich z kraju dwoje, po przyjeździe do Chicago zastaliśmy czworo: przybyła żona Janusza Małgosia - Polka pochodząca z Tarnowa oraz mąż naszej Małgosi Jurek, narodowości greckiej. Zaraz potem przyszła na świat nasza wspaniała wnuczka Athinka - imię to wybrał Jurek, a oznacza ona gracką nazwę bogini Ateny. Niedawno Janusza Małgosia też urodziła córeczkę, która otrzymała na imię Kasia. Kasięki niestety jeszcze nie znamy. Kiedy w kilka godzin po urodzeniu Kasi Janusz telefonował do nas, żeby przekazać tę radosną nowinę, po-

wiedział:

- Żebyście widzieli, jaka Ona jest śliczna - wcale się nie pomylił.

Rodzice moi w 1976 roku przeprowadzili się z Bargłowa do Białegostoku. W 1979 roku, na kilka miesięcy przed urodzeniem się Łukasza zmarła Mama. W 1988 roku zmarł Ojciec. Oboje są pochowani na cmentarzu św. Rocha w Białymstoku.

W 1981 roku zmarł też Ojciec mojej Żony, Dziadek Antoni Więskaw i jest pochowany na cmentarzu w swojej parafii tj. w Juchnowcu. Żony Mama, Babcia Paulinka żyje samotnie w Juchnowcu. Nieraz myślę, że przewidywania Babci Paulinki nie spełniły się, - Jola nasza nie została krawcową.

Skończyłem pisać wspomnienia z lat 1945-1955. Był to dla mnie okres, który wspominam z mieszаныmi uczuciami. Dorastanie, wchodzenie w życie, poznawanie świata, nauka, młodzieńcze przyjaźnie, sztubackie miłości, prawdziwa miłość i żeniaczka, pierwsze dziecko. Ale także i udział, mimo woli, w rozgrywkach politycznych, walenie się ideałów, które uważałem za swoje i którym chciałem pozostać wierny, pogarda, prowokacja, potrzeba wyboru zachowań w różnych sytuacjach, decyzje, których konsekwencje miały wywrzeć wpływ na moje późniejsze dorosłe życie... Wszystko to obarczało młodego, niedoświadczonego człowieka, jedynaka wychowanego w cieplarnianych wprost warunkach, na jakie tylko było stać moich Rodziców. Okres ten, przez całe późniejsze, dorosłe życie, czułem w sobie. Był ciągle żywy, rozpamiętywałem i analizowałem swoje ówczesne zachowania, kalkulowałem, co byłoby, gdyby... Żył to we mnie ciągle i fermentowało jak dojrzewające wino. Teraz, kiedy to wszystko przelałem na papier, czuję się jak gdyby spadł mi z serca ogromny ciężar. Tań, jak bym spełnił obowiązek, który ciążył na mnie od wielu lat. Wreszcie go wykonałem.

Tante lata ciągle były obecne w moim życiu. Zawsze o nich pamiętałem, ale były wydarzenia i okresy,^w których intensywnie kondensowały się tante wspomnienia. Pierwszą okazją do wrócenia pamięcią do tantych, augustowskich lat był zorganizowany w 1977 roku zjazd wszystkich roczników absolwentów Liceum Ogólnokształcącego w Augustowie. Zdzisio Badowski, mój kolega z klasy, był wtedy dyrektorem Liceum. Szkoła miała za patrona Grzegorza Piramowicza i mieściła się w nowym, ładnym budynku wzniesionym na miejscu, gdzie za moich augustowskich czasów było uprawne pole. Z naszej klasy przybyli, poza oczywiście Zdzisławem Badowskim, Irena Prawdzikówna /Chmielewska/, Jadzia Rutkowska /Borucińska - dzisiaj już nie żyje/, Irka Wysocka, dwie siostry Polejewskie: Dalka i Rita, Rajmund Badowski, Wojtek Romanowski i to wszyst-

ko. Nie przybyli ci, którym wtedy chciałem spojrzeć w oczy, chociaż niektórzy z nich byli niedaleko, niektórzy nawet nieszkali w Augustowie.

Nie wiem, czy wtedy tym "moim winowajcom" spójrzałym z pogardą w oczy. Był przecież Józef Dobrydnio - Jozwe, któremu miałem szczególnie powody spojrzeć z pogardą w oczy, a nawet z czystym sumieniem napluć w twarz. I co... Nie wiem, w jakim charakterze Jozwe był na zjeździe, przecież absolwentem naszego Liceum nie był, nie zdawał u nas matury. Kręcił się on szczególnie koło Jaworskiego, który wyraźnie z aprobatą przyjmował jego unizgi. Dobrydnio, na lewo i prawo, rozdawał dwoje wizytówki. Ja też taką wizytówkę dostałem. Przed nazwiskiem stał napisany tytuł "inżynier", warszawski adres, gdzie mieszkał, numery telefonów: prywatny i służbowy oraz miejsce pracy: "Trybuna Robotnicza" - organ Komitetu warszawskiego partii, gdzie pracował jako fotoreporter. Rzeczywiście w gazecie tej często można było zobaczyć zdjęcia podpisane "Foto Dobrydnio". Dostał maturę i tytuł inżyniera nie wiadomo gdzie i jak. Partia o swoich dobroczyńców dbała...

Spośród naszych nauczycieli w zjeździe brali udział: pani Czesława Bielawska oraz panowie: Kacper Rogowski i Aleksander Frąckiewicz. Był też pan Edward Rzepecki, no i oczywiście Ludwik Jawor^Ski, który, obwieszany aparatami fotograficznymi, był zajęty wykonywaniem zdjęć. Panie: Lekszycka, Pinsker i Winiarczyk były chore, nie mogły przyjechać, przysłały depesze z życzeniami.

Drugą okazją do jakiegoś kompleksowego powrotu do białostockich wspomnień był zjazd pierwszych absolwentów Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej, który zorganizowaliśmy w 1984 roku, w 30-tą rocznicę naszego egzaminu dyplomowego. Zebraliśmy się w nowym, ładnym, nowoczesnym gmachu Politechniki Białostockiej przy ulicy Wiejskiej, w sali Senatu. Sergiusz Szulżyk przewodniczył komitetowi organizacyjnemu, w którym działał też Władzio Świaniewicz, niemówiąc już o naszej Jadzi Gronadzkiej /po mężu/, no i oczywiście my dwaj z Władziem Rutkowskim, jako pracownicy Politechniki. Nie wszyscy na spotkanie przybyli, ale było nas dostatecznie dużo, ażeby wspominać tante młode, dobre lata. Powstał i chwilą ciszy uczciliśmy pamięć naszych kolegów, którzy odeszli na zawsze: Tolek Wojszkowicz, Broniek Buskowski, Kazio Kackieko, Eby-szek Puchalski, Wacek Czembrowski, Iolek Jabłoński. Dzisiaj wymienić trzeba jeszcze Romka Rosiewicza no i Arkaszkę Antonowicza, który wprawdzie nie zdał egzaminu dyplomowego i inżynierem nie został, ale na swojej białostockiej drodze życiowej często go spotykałem.

Spośród naszych nauczycieli mieliśmy okazję spotkać tylko panów

Poniatowskiego i Zubaczka.

Wspomnienia augustowskie i biakostockie przeplatały się ze sobą. Różni spotykani ludzie i różne okoliczności wspomnienia te wywoływały. Tak na przykład: w 1987 roku znalazłem się w zatłoczonej poczekalni Wydziału Komunikacji Urzędu Miejskiego w Biakymstoku. Wiele osób stojących w kolejce do okienek, gdzie załatwiano się różne sprawy. Tłok, zapach potu ludzkiego, gwar. Kiedy tak stałem w kolejce do okienka, gdzie miałem załatwić swoją sprawę, usłyszałem nagle górujący nad całym gwarem jakiś znajomy, ostry głos. Długa chwila minęła zanim przypomniałem sobie, czyj to jest głos.

- Tak, to przecież głos Romka Stankiewicz - pomyślałem. Pilnie przyglądałem się tej części poczekalni, skąd dochodził znajomy głos. Długo przyglądałem się, ale Romka tam nie było. W końcu zidentyfikowałem nieznanego, starszego mężczyznę, który posługiwał się Romka głosem. Kilka lat nie widzieliśmy się. Romek przez ten czas na pewno się zmienił, pewnie postarzał, ale żeby aż tak? Podszedłem i niepewnie zapytałem:

- Romek, to ty jesteś? -

- Tadeusz - usłyszałem - cześć, kopę lat! -

Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości - to był Romek Stankiewicz.

- Tempora mutantur et nos mutamur in illis - pomyślałem.

Są dwie okoliczności, które prawie na codzień przypominają mi tante czasy. Pierwsza z nich związana jest z naszą działką. Mamy bardzo ładnie urządzonej działkę. Jest tu wspaniały domek, szklarnia, basen, drzewa owocowe, wiele przepięknych kwiatów. Wszystko to zasługa mojej żony. Działka urządzona jest według pomysłów Żony, a wspaniałych pomysłów Jej nie brakuje. Nade wszystko to rezultat ogromu pracy, jaki włożyła i wkłada tutaj nadal. Na tych samych ogródkach, niedaleko nas, posiada swoją działkę syn Jasi i Mariana Błachnów. Są oni tutaj bardzo rzadkimi gośćmi i spotkania z nimi na działkach w związku z tym są bardzo rzadkie. Spotykamy częściej Jasię, Mariana lub ich oboje w nieście. Wtedy jest okazja do wymiany, naprędce, kilku zdań. W takich okolicznościach przeważnie nigdy nie ma czasu na dłuższe pogawędki.

Inną działkę, niedaleko nas, uprawia Wacek Dyczewski. Jest on na działkach bardzo częstym gościem, w odróżnieniu od swojej żony Ewy /Wińska - też Augustowianka/, która tymi sprawami za dużą się nie interesuje. Moja Żona i Wacek są w Zarządzie. Zebrania Zarządu odbywają się zawsze w naszym domku. W międzyczasie też jest wiele spraw do załatwienia. Wacek jest w związku z tym bardzo częstym gościem u nas. Przeważnie przy tych spotkaniach wracamy do augustowskich wspomnień. Wspominamy różnych ludzi, różne okoliczności. Wspólnie jesteśmy

zdolni wygrzebać z pamięci nawet najdrobniejsze sytuacje. Nie mówimy jednak nigdy o wystawie 800-lecia Moskwy, o opluciu Józefa Wisserjonowicza, o zebraniu klasowym ZMP, o rezygnacji z przynależności do Kościoła. Wacek myśli pewnie, że ja o tym wszystkim zapomniałem, a ja wiem, że on o tym dobrze pamięta. Temat tabu.

Wreszcie druga okoliczność, która związana jest z moim miejscem pracy. Tu spotykam Henia Bronakowskiego, tak, tego samego, z wojewódzkiej konferencji ZMP obrońcą socjalizmu, który chciał ustrzec go przed wrogiem elementem, "zapłutym karłem reakcji". Bronakowski przyszedł do nas na Uczelnię w końcu lat siedemdziesiątych z Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, gdzie pracował jako lektor. Posiadał już wtedy tytuł doktora. Partia o takich bezkrytycznych, głupawych, ale wiernych swoich ludzi dbała. Gdzie on ten tytuł dostał, nie mówiąc już o ratu-rze, którą też pewnie mu podarowano, lepiej nie dociekać. Został kierownikiem Zakładu Nauk Społecznych i ogłupiał młodzież dzieląc, między innymi, ekonomię na tę dobrą, socjalizmu, i tę okropną, kapitalizmu. Pracując już u nas zdażył jeszcze otrzymać habilitację za jakiś "bełkot" na temat spółdzielczości. Został docentem. To nic, że teraz już diabli partię wzięli, ale tytuł został. Teraz Henio jest bezpartyjny, ustawia się z nowym prądem. Twierdzi, że jest tylko jedna ekonomia, a ten podział, który kiedyś ktoś tam wprowadził, nie ma sensu.

Z Heniem spotykamy się. Kiedyś rzadziej, ostatnio częściej, bo pracuje w tym samym budynku. Rozmawiamy przeważnie krótko i to zawsze o bieżących sprawach. Nigdy żadnych wspomnień. On wie, że ja tante sprawy pamiętam - jestem o tym przekonany. Z czasem nabrak pewności, że do tych spraw nie wrócę. Pewnie nie wrócę, ale nigdy nie zapomnę. Pan Bóg też nie zapomni.

Jestem wierzącym chrześcijaninem i wiem, że kiedyś wszyscy zostaniemy wezwani przed Oblicze Sprawiedliwego Sędziego. Stalin, Bierut, Mikołajczyk, ci z NKWD, UB, AK, WIM, ZHP, ZMP, ludzie uczciwi, zbrodniarze, prowokatorzy, głupcy - nikt nie zostanie pominięty. Ostateczny Sędzia Sprawiedliwy będzie każdemu wskazywał jego miejsce - po lewicy lub po prawicy. Według tych wskazań będziemy szli na wieczność - jedni ze wzniesioną do góry głową i radością w oczach, inni z rozpaczą i opuszczoną głową.

Ja już dzisiaj szczerze, po chrześcijańsku mówię z nadzieją, że Ostateczny Sędzia Sprawiedliwy weźmie pod uwagę mój głos: "Ojcze nasz... odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!"

S P I S T R E Ś C I

	<u>Strona</u>
I Powrót	1
II Długi korytarz	17
III ZHP	28
IV Mała matura	43
V ZMP	51
VI Augustowski finisz	62
VII Twarde lądowanie w Warszawie	80
VIII Czysta trzy	89
IX Dobra osiem	102
X Kromkowska	119
XI Uchwyty	132
XII Konstruktor	147
XIII Wielki finał	160
XIV Zaufanie polityczne	174
Postscriptum	197